9827
III

BJ

9827

III

Bibl. Jag.

II

Na przełomie dwuch wieków

Wspomnienia kresowe
niezidentyfikowanej ziemianki
z Podola

Część I : Kraj w przyrodzie i obyczaju
strony 1-107 /dalszego ciągu brak/

Część II: Ludzie w życiu i anekdocie
strony 1-64

Do wydawcy

Posyłając maszynopis mojej książki p.tyt. "Gawędy kresowe o niedalekiej przeszłości" (Materiały kronikarskie), pragnę dołączyć parę słów pod adresem tych, co będą czytać te kartki, kwalifikując je do druku.

Pisząc te "Gawędy" zahaftowałam jakby bardzo gęstą kanwę szeregiem drobnych, drobniutkich ściegów. Powstał z tego miękki kobierzec o spłowiałych barwach, w który wtuli się z rozkoszą myśl każdego kresowca.

Dla obojętnego czytelnika jest to obraz obyczajowy, który może go zainteresować - lub nie.

Dla kolegów-literatów (a o nich pisząc myślałam specjalnie) są to materjały kronikarskie, wśród których odrzucą sto szczegółów, aby znaleźć ten jeden ciekawy, który jest im specjalnie potrzebny.

Nie układałam opowiadania w porządku chronologicznym, gdyż wydaje mi się, że przy tak drobiazgowym materjale, byłoby to niesłychanie nudne i suche. Rzucałam szczegóły na tło chaotycznie, w miarę jak się nasuwały mojej pamięci, jak się zazębiały o siebie analogją tematu lub tożsamością osób, sądziłam bowiem, że w ten sposób więcej jest ruchu i życia na tych kartkach, a mniej szablonowej metody.

Sądzę, że każdy ktoby pragnął pisać powieść z tych czasów znajdzie tu wszystko, co potrzeba, aby podmalować tło, narysować postacie i umotywować akcję.

Bogusławice, luty-maj 1939 r.

Wstęp

Książka niniejsza nie jest pamiętnikiem w ścisłym tego słowa znaczeniu. Są to materjały kronikarskie o życiu na Kresach na przestrzeni lat od 1870-go do wybuchu I WIELKIEJ WOJNY.

Impuls do napisania tej pracy dała mi "Trembowla" Zofji Kossak. W miarę czytania uprzytomniłam sobie, jak dokładnej znajomości drobiazgowych szczegółów potrzeba, aby oddać życie pewnej epoki w całej prawdzie.

Może te kartki przydadzą się komuś, kto zechce pisać powieść obyczajową z tych czasów. W tej myśli je społeczeństwu oddaję.

Gdyby kto w nich dopatrzył zaślepionego ukochania Kresów, niech na usprawiedliwienie autorki zaliczy jej nostalgję za krajem lat dziecinnych "co zawsze zostanie
"drogim i świętym jak pierwsze kochanie...

Gawędy Kresowe

Część I Kraj w Przyrodzie i Obyczaju
Część II Ludzie w życiu i anekdocie

Jeszcze jeden, drugi lat dziesiątek - a nieutrwalone - znikną z kliszy, na którą je bujne, przebogate życie kresowe rzuciło, - wspomnienia, obrazki, tysiączne szczegóły, z których Mistrzyni Historja dzierga tło dziejów ludzkości.

Zawierucha wojenna i pogromy zniszczyły na Kresach ogromny materjał bibliograficzny w postaci listów, zapisków, pamiętników, niejednego "sztambucha" starannie w głębi panieńskiego biurka ukrytego.

Drukiem uwiecznione zostały raczej pełne grozy obrazy z lat zmagań orężnych, z lat zamętu, klęski i rozpaczy. Pożoga, Burza od Wschodu, Na ostatniej placówce, lekko tylko, mimochodem dotykają tego, co było "przedtem"... I właśnie o tym chcę pisać.

Przedwojenne życie na Kresach nietylko miało swoisty urok i rozmach i bogactwo form na tle najcudowniejszego, pełnego rozmaitości i poezji krajobrazu. Miało ono pewien charakter. Na stworzenie tego charakteru różne składały się pierwiatki. Ale niezatarte cechy nadała mu przedewszystkim Przeszłość, która pieczęć swą wycisnęła na ludziach, osiadłych tam od pokoleń.

Tych ludzi rozproszonych, rozbitych, wyrzuconych z gniazd odwiecznych i tak strasznie przez kataklizm dziejowy sponiewieranych, poznać można do dziś nietylko po śpiewnym akcencie, który zwolna zatracają, ale po postawie i ustosunkowaniu się do życia, po stalowej, niesłabnącej woli wytrwania, i potej jakiejś "pańskiej" fantazji, która sprawia, że kresowiak prawie nigdy się nie deklasuje, prawie nigdy nie schodzi niżej społecznie, a nawet w biedzie zachowuje pewien "gest" i w geście tym się kocha...

Od pokoleń wychowany w niezależności, swobodzie i dobrobycie, potrafił się kresowiak dzielnie przystosować do twardych warunków życia powojennego. Przed wojną miał przestrzeń: szumiące pszenicą złote łany bez końca, rozległy, cudownie piękny kraj. Wzrok jego orli gonił sine dale lasów, ciemną klamrą spinające widnokrąg, lub rozśpiewany step - morze zieleni. Były na tej ziemi kresowej pałace i dwory, były ogromne salony przepełnione skarbami Sztuki i były niskie, obszerne pokoje, pod rozłożystym dachem gontami krytym, mieszczące meble pradziadów i prababek

portrety... W stajniach pełno koni, pojazdów i stangretów, we dworze służby wszelakiej... i Bogactwa pełno... Kresowiec przed wojną nie wiedział prawie, co to materjalna troska. I tego to wolnego dziedzica powietrza, przestrzeni, nieskrępowanego bytu przerzuciło nagle życie w jakże odmienny świat!... Pokoik od północy z oknem na studnię-podwórko warszawskie, do 4-tej praca w biurze, gdzie od rana lampy się palą, i w tych ramach walka o byt, o chleb powszedni, o szkołę dla syna, lekarstwo dla córki, o jutro zawsze niepewne ... Ciężko było.

A w oczach trwała i nigdy nie gasła wizja rodzinnej ziemi, rodzinnego domu, wsi białej w głębokim jarze nad migotliwą taflą stawu, szumiącego w cichy wieczór letni szuwarem i tatarakiem, wizja starego ogrodu pełnego lip i bzów kwitnących i słowików zanoszących się pieśnią... Przetrwali najcięższe lata.

Dziś już dzieci ich, - pokolenie młode - idą w życie. Jest inne. Mniej kocha, a więcej myśli... Wychowały je inne warunki, inne środowisko kształtowało charakter. I inne przed nimi życie...

Ale płynie w nich kresowa krew, - i stąd pewność, że się pod życiem nie ugną, tak jak się ojcowie ich i matki nie ugięli!...

Tym dzieciom - dziś już dorosłym, które nie znały kresowego życia, dzieciom ich, dla których to życie będzie już tylko legendą, poświęcam te kartki, pulsujące realną prawdą, w ich całej bezbronnej prostocie.

Część I

Kraj w przyrodzie i w obyczaju.

Ogromne połacie kraju objęte niegdyś granicami Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej: Podole, Wołyń i Ukraina, - nosiły pod zaborem rosyjskim miano guberni Podolskiej, Wołyńskiej i Kijowskiej. Kraj, o obszarze 167 tysięcy klm kwadratowych, a więc przewyższający o 40 tysięcy kilometrów tak zwane Królestwo Kongresowe był na przekór tym, co o nim sądzono na wskroś przesiąknięty polskością. Piętno to nadawały mu gęsto rozsiane dwory szlacheckie, skupiający się wokoła dworów żywioł oficjalistów, urzędnicy w licznych fabrykach cukru, inteligencja w miastach i miasteczkach, a prócz tego na Podolu i na Wołyniu trafiały się całe wsie mazurskie i katolickie (koloności), gdzie polskości ściśle złączonej z katolicyzmem strzeżono bardzo pilnie.

Rosjan - Moskali, jak ich nazywaliśmy pogardliwie i nienawistnie, było bardzo niewielu. Urzędnicy, szumowiny najgorsze, z którymi się liczono o tyle tylko o ile to było konieczne, i którzy nigdy nie przekraczali progu "kancelarji", gdzie ich przyjmowano... Nieliczni ziemianie Rosjanie prawie nigdy na wsi nie siedzieli, bo obco tu się czuli i zupełnie z ziemiaństwem miejscowym się nie łączyli. Na Ukrainie było ich nieco więcej, i tam spotykało się ich czasem w towarzystwie, ale tak pojmowali swoją wśród nas sytuację, że w rozmowie posługiwali się wyłącznie językiem francuskim, którym władali wybornie.

W mojej najbliższej okolicy do Moskala należała K Tarnoruda, miejscowość słynąca z cudownego obrazu Pana Jezusa. Do tego kościoła zjeżdżano się z dalekich stron, prosząc o łaski i liczne składając wota. Kilka razy do roku odbywały się tam odpusty. Na przyjęciach, które wówczas urządzał u siebie proboszcz, bywał zwykle ów moskal, nazwiskiem Mordwinow. Nieznosiliśmy wszyscy tego rudzielca i zawsze nazywaliśmy go "Mordoplujew".

Drugi w okolicy majątek należący do moskala to była Medwedówka, o kilka wiorst od nas. Właściciel wybudował sobie na górze dominującej nad ogromnym stawem biały dom kryty zieloną blachą, typową "daczę" moskiewską, do której przez kilka lat zjeżdżał z rodziną na sezon letni. Ale przekonał się, że okolica go nie przyjmie, że pozostanie tu intruzem. I długie lata patrzyłam na to, jak biały dom pod zieloną blachą stał niezamieszkały, na pustej, nie obsadzonej drzewami górze. Raził na tle wsi podolskiej, odcinał się obcą plamą, i nie zlał się z krajobrazem, tak jak właściciel jego nie zlał się nigdy z miejscowym ziemiaństwem.

Wreszcie w nadzbruczańskim cudnym zakątku miał majątek niejaki senator Petrow, który dosłużywszy się emerytury, mieszkał tu stale z żoną i córką. Byli to ludzie z najlepszego towarzystwa, zupełnie "europejscy", bardzo kulturalni i dobrze wychowani. Ale nie wiedzielibyśmy nic o nich, a oni o nas z powodu muru narodowościowego, który nas dzielił, gdyby nie przypadek. Jeden z naszych starszych sąsiadów był obywatelem austrjackim. Syn jego, aby odziedziczyć na Podolu rosyjskim rodzinny majątek matki prześliczną Żaglówkę musiał się starać o poddaństwo cara... Komuś przyszło na myśl, że senator Petrow mógłby się przydać w tej sprawie. Złożono mu wizytę i poproszono o poparcie w Petersburgu, gdzie miał duże stosunki. Pomógł istotnie i między obu domami zawiązał się etykietalny wprawdzie i daleki, ale poprawny stosunek. Córka Petrowa wyszła za oficera i podczas wojny japońskiej wyjechała z mężem na front. Oparli się gdzieś aż o pogranicze Chin i tam przyszedł na świat ich synek. Zgodzili do niego jako niańkę Chinkę Chińczyka, a gdy po zawarciu pokoju wrócili na Podole, przywieźli ze sobą tę egzotyczną piastunkę. Chińczyk był do dziecka fanatycznie przywiązany i doskonale się ze swych obowiązków wywiązywał. Nie wiadomo, czy tęsknił za krauną Żółtego Smoka, ale podobno tęsknił strasznie za chińską herbatą... Pod tym względem nie można mu było dogodzić, choć kupowano dla niego najdroższe gatunki!...

Był jeszcze w okolicy jeden dom polski, ale zruszczały. Właściciel pułkownik B. całe życie spędził pomiędzy Petersburgiem a Kaukazem. Tam wychowali się dwaj synowie (Tolka i Lolka), którzy obaj pożenili się z moskiewkami, i trzy córki. Dwie starsze były niepospolitej urody. Toteż kiedy pułkownik wysłużywszy swoje lata, osiadł na Podolu w swoim majątku, i kiedy panny zobaczono pewnej niedzieli w kościele, sensacja była nielada i fama o nich rozeszła się lotem ptaka. Okoliczne panie trzymały się z rezerwą, uważając ten cały dom razem z jego ruszczyzną za niezupełnie "bon genre", ale młodzi ludzie, którzy nie ryzykowali nic (prócz siebie) wnet się tam wkręcili, i dalejże bywać ! Asystowali pannom, kochali się (wreszcie jeden się ożenił), opowiadali różne anegdotki. Pułkownikowa, zacna z kościami kobieta, nigdy się dobrze po polsku nie nauczyła, mówiła np. zawsze zamiast "ja byłam" - "ja buła" - i stąd przystało do niej przezwisko "Buła", pod którym była ogólnie znana. Panny opowiadały o dwóch młodych ludziach, bywających w domu: "Pana Włodzimierza ja już rozebrała, a pana Ludwika jeszcze nie..." Można sobie wyobrazić jaką radość ogólną wzbudzały takie "powiedzonka" !

Ostatecznie przez małżeństwo jednej z nich weszły w miejscowe towarzystwo, w którym zawsze trochę raziły skażoną mową, akcentem i sposobem bycia innym , niż ten, do którego się przywykło. Ale byli to bardzo zacni ludzie i zwolna zżyli się z sąsiadami, którzy pokpiwając z śmieszności i drobiazgów, umieli jednak ocenić prawdziwą wartość i obdarzyć ich szacunkiem i przyjaźnią.

Tyle dałoby się powiedzieć o "rusczyźnie" na naszem Podolu. Językiem "urzędowym" mówili tylko mężczyźni i to ci, którzy przeszli przez szkoły rosyjskie. Natomiast kobiety, wychowane bądź w domu, bądź też w klasztorach galicyjskich, języka rosyjskiego nie znały wcale. Babka moja, właścicielka tego dworu, o którym tak często na tych kartkach przyjdzie mi mówić, miała w biurku swym kartkę z wykaligrafowanym na niej imieniem swem i nazwiskiem i w razie konieczności podpisania się na jakimś papierze urzędowym, wyjmowała z szuflady ten bruljonik i starannie, litera po literze podpis kaligrafowała... Nie nauczyła się nigdy podpisywać się "od ręki"... Prawdopodobnie nauczyć się nie chciała... Zato po rusińsku mówiliśmy wszyscy biegle i chętnie. Z otaczających nas wsi rusińskich rekrutowała się nasza służba domowa i folwarczna. Polonizowanie tych ludzi nikomu nie przychodziło na myśl... Żyło się z nimi od wieków w sąsiedztwie, szanując ich religię, mowę i obyczaj. Śpiewna gwara rusińska nie raziła naszego ucha, i posługiwaliśmy się nią z niewyrozumowanym poczuciem, że czynimy dobrze nie pogardzając mową ludu, wśród którego nam żyć przyszło... że przyczyniamy się tem do zbliżenia dworu i chaty. Myślę, że w późniejszych, pogromowych "rozgrywkach" rzecz ta raczej na nasz plus była zaliczana, jak wynika np. ze wspomnień Elżbiety Dorożyńskiej "Na ostatniej placówce".

Mieliśmy w tym roku w Królestwie trochę śniegu. Przez kilka dni wkoło nas było biało, trzymał lekki mróz, utarły się drogi. Raz nawet jeździłam sankami. Zamknęłam oczy i śniłam, że płozy suną po znanych szlakach, po znanych zakrętach.. Ot, tam na górce wiatrak, przedemną "kołowrót" śniegiem zawiany, wieś, łyskająca światłem z mnogich okien przytulonych do ziemi, grobla, brama, biała, dwór. Przez kilka dni żyłam tym snem... Teraz znów dokoła czarno, ponuro, wyje wicher zimowy, za oknem dudnią wozy po grudzie...

Na Kresach już w połowie listopada była sanna "murowana", to jest taka, która bez przerwy miała przetrwać do wiosny. Zimowe zamiecie dokładały raz wraz puszystych warstw na drogi, biegnące często spodem głębokich jarów. Z dwóch stron piętrzyły się ogromne, na kształt

ścian wały śniegu, iskrzącego się w słońcu, sanie pędziły ze śpiewnym graniem "grelotów" przyczepionych do uprzęży. Dźwięk ten ostrzegał jadących naprzeciw i polecał im zatrzymać się u wstępu do jaru, rozminąć się bowiem było bardzo trudno. Tor twardy, ujeżdżony znajdował się pośrodku, skręciwszy w bok, konie zapadały odrazu po brzuchy w miękki, sypki śnieg i zwłaszcza jeżeli były młode i niespokojne, to wydostać się było bardzo trudno. Wogóle przygód z zimową jazdą było bez liku. Wyjechawszy z jaru, który bądź co bądź prowadził zwykle do jakiejś wsi, trafiało się na szeroką, równą drogę, przechodzącą w niemniej szerokie, niemniej równe łany pokrytej śniegiem oziminy lub zoranego ugoru. Żadnej widocznej granicy pomiędzy polem, a drogą, żadnych drzew. Rów, jeżeli nawet był - to po brzegi zasypany śniegiem... Stepowy szlak, po którym w zamieć, można było jeździć błądząc do rana! Najlepiej było w takim wypadku "zdać się na konie", które instynktem drogi się zwykle trzymały. Nie należało wówczas kierować niemi wcale. Ale bywało, że i konie traciły orientację i zaczynały kręcić się w kółko, powracając wciąż na własny ślad. Zdarzyło mi się kiedyś objeżdżać tak nieskończoną ilość razy budynki naszej małej stacji kolejowej, na której wysiadłam wracając ze Lwowa. I doprawdy jakimś cudem udało nam się wydostać z tego błędnego koła!

Opowiadali u nas, że przed laty, jeden z obywateli kręcił się całą noc dookoła jakiejś sterty, stojącej w polu i nie mógł do wsi swojej trafić. Przemarznięty, na wpół żywy, czując, że ginie, że za chwilę zapadnie w złowrogi sen, poprzedzający śmierć - podpalił przy pomocy furmana stertę. Okazało się, że to była jego własna pszenica, o kilka kroków od dworu... Jeden z moich krewnych jadąc do mieszkającej w sąsiedztwie narzeczonej błądził tak długo w mroźną noc, aż ręce odmroził i wskutek tego musiał się poddać amputacji dwóch palców.

O ile na otwartych przestrzeniach groziło błądzenie, o tyle w jarach było się narażonym na zasypanie żywcem, lub ugrzęźnięcie w masach śniegu, z którego konie nie mogły się wydostać. Jeżeli to się zdarzyło w pobliżu jakiejś wsi, to krzykiem wzywało się pomoc. Przychodzili chłopi z łopatami i odkopywali zaprzęg.

W pamięci pozostał mi jeden fakt, świadczący jak bardzo śnieżne i długotrwałe były nasze zimy. 19-marca, na św.Józefa (kalendarz starej daty, więc 14 dni później) obchodzono w sąsiedztwie naszym imieniny pana Józefa Ż. w Żuczkowcach. Jechała na te imieniny jedna z moich ciotek, i tak w śniegu ugrzęzła, że musieli ją chłopi odkopywać!... Rzecz nie do wiary, gdy dziś o tem pomyślę.

Dobrze jeszcze gdy wieś, chłopi i ich łopaty były w pobliżu!... Trzeba jednak pamiętać, że w tym kraju stepowym ludzie od wieków swe osady zakładali wzdłuż rzeczek, strumieni i tworzonych przez nie rozlewisk i stawów. Cała ta sieć wodna szła oczywiście w jednym kierunku i wzdłuż niej osady były gęste, czasem nawet się ze sobą łączyły. Zato w kierunku poprzecznym, tj. pomiędzy jedną żyłą wodną a drugą, ciągnęła się nieraz przestrzeń kilkunastu wiorst, bez śladu ludzkiego osiedla. Łupiną na tle olbrzymiej przestrzeni śnieżnej czuł się człowiek, istotą słabą i bezbronną, wydaną na pastwę groźnego żywiołu zimna i przestrzeni... Może dlatego bliższym był Boga, a strofy hymnu "Kto się w opiekę poda Panu swemu" umiał z nas każdy na pamięć... Zaś dusza mocna i odważna kształtowała się od wczesnej młodości, gdy raz po raz przychodziło czoło stawić niebezpieczeństwu i śmierci zaglądać w oczy...

Zapewne nikt wyjeżdżając w sąsiedzkie odwiedziny do odległego o kilkanaście wiorst dworu, nie liczył się z tem, że w każdej chwili może się zerwać zamieć, w tumanach jej znikną wszelkie ślady, a śnieżna kurzawa uściele biały grób... Ale podświadomie nosiło się w sobie tę odporność na trwogę i niebezpieczeństwo, będąc zawsze w "ostrym pogotowiu".

Czasem trafiały się noce bardzo ciemne. Wówczas posługiwano się kagańcem. Kagańców było kilka typów: naftowy, bardziej nowożytny karbidowy (oba wstrętnie cuchnące) i najprymitywniejszy a ulubiony - smolny. Wówczas jadący konno i wyprzedzający zaprząg chłopak stajenny trzymał wpoprzek konia długi drąg, na końcu którego zwisał druciany kosz wypełniony gałkami pakuł mocno skręconych i umączanych w smole. Od czasu do czasu dorzucał gałkę i potrząsał koszem, a wtedy sypał się deszcz iskier i spadał świetlistą ulewą na biały śnieg. Było coś fantastycznego w tej jeździe, coś niewypowiedzianie pięknego. Tych wrażeń w nie doświadczę już nigdy, bo niema kresowych przestrzeni, gdzie sypać iskry ze smolnego kagańca można było śmiało, bez obawy zaprószenia ognia.

Uwielbiałam zimę na Kresach. Jej niepokalany, biały czar, jej rzeźwość, czystość powietrza i ten śnieg, raz miękki, jak puch, w którym się tonęło, to znów zmarznięty, skrzypiący pod nogami, w słońcu roziskrzony. Gdy go tak dużo, dużo napadało, lubiłam iść do ogrodu i brnąć po nieprzetartych alejach. Nogami w białych kwalinx "Walonkach" żłobiłam pierwszy ślad, nieraz po pas zapadałam, wydobywałam się z trudem i przemoczona, zziajana, radosna wracałm o wczesnym zmroku do domu, rada z siebie, jak po rozegraniu trudnej partji w jakiejś sportowej grze.

W pokojach tymczasem zapalano lampy, w stołowym Piotr stary lokaj brzęczał talerzami i srebrem nakrywając do stołu.

Dom... Stary dwór, jak tyle innych na Kresach. Stał jeszcze nietknięty w roku 1917-tym, gdy byłam tam poraz ostatni... Niski, szeroki, rozłożysty, pod dachem z gontów, na którym w nocy księżycowe harcowały ku wielkiej naszej uciesze kuny, gnieżdżące się na strychu. Stary Piotr zastawiał na nie zimą sidła i zdaje się, że miał wcale pokaźny dochodzik ze sprzedaży skórek ale nie lubił,gdy go o to pytano... Ostatecznie, co nam było do tego! Kuna to nie jest zwierzę domowe, choć też pod dachem sobie mieszka...

Nieraz, w głuche noce, gdy cały dom pogrążony był we śnie, na strychu odbywały się szalone gonitwy. Na kogoś, kto po raz pierwszy usłyszał te hałasy, mógł paść strach... Ale dom widawski zbyt jasny był i przejrzysty i nie chował w swej głębi żadnej tajemnicy. Szeregiem okien otulonych w białe firanki patrzył pogodnie na zalany słońcem dziedziniec wjazdowy z jednej strony, na kwiatowy, tak zwany "mały" ogródek babuni z drugiej. Jeden tylko był w nim pokój ciemny: pokój pra-babuni, tak nazwany na pamiątkę tego, że w nim mieszkała zawsze, bawiąc w Widawie matka mego ojca dziada, pani Pelagja z Grabowskich Rościszewska (siostra literata i krytyka Michała Grabowskiego). Przed oknem rosły dwie wielkie lipy i te z czasem zupełnie pokój zaciemniły. Za moich czasów nie mieszkał tam nigdy nikt. Stały szafy jakieś i kufry stare, które, gdy byłam dzieckiem, nęciły mnie swoją z tajemniczą zawartością. W późniejszych latach przekonałam się jednak, że złudzenia i fantazja są zawsze bardziej ponętne, niż rzeczywistość...

Dom widawski był duży, liczył z górą 30 ubikacji. Spędzałam w nim niejednokrotnie zimę z babunią i nigdy się źle nie czułam w szeregu tych licznych, nie zamieszkałych pokoi, gdzie kroki moje odbijały się echem, i co godziny z różnych kątów biły stare zegary. Oświecony skąpo - bo gdy nie było gości, paliło się tylko trzy lampy, w stołowym, w saloniku babuni i u mnie, - był zato dom ten doskonale ogrzany i nie pamiętam nigdy, abym w nim zmarzła, choć przecie zimy bywały u nas ostre.

W piecach palono słomą. Tak, słomą, to nie żarty! Można sobie było pozwolić na to, w tej krainie czarnoziemów, gdzie nawożenie odgrywało bardzo małą rolę, wobec ogromnych zasobów próchnicy w roli. Słomą palono we wszystkich dworach kresowych, to też dwory te były specjalnie do tego przystosowane. Pośrodku domu, wzdłuż, biegł zwykle długi korytarz, na który wchodziły otwory pieców ze wszystkich pokoi. Piece te były normalnych rozmiarów, nie kaflowe hanaj-

mniej, tylko z cegły, malowane farbą klejową w kolorze obicia ścian, czasem, o ile piec był w ścianę wgłębiony, bywał oklejony tą samą co ściany tapetą. Paliło się dwa razy na dobę: wczesnym rankiem i o zmierzchu. Był to obowiązek dwóch specjalnych stróżów. Pamiętam z jaką przyjemnością o szarym, zmowym świcie słyszało się szelest słomy na korytarzu, i w chwilę potem wesołe buzowanie ognia. Wieczorem widziałam nieraz przez okno starego Hrycia, niosącego na plecach olbrzymią wiązkę słomy i znikającego z nią w czeluściach ciemnego korytarza. Wtedy manipulacja ta wydawała mi się zupełnie naturalna i nie wzbudzała nawet zainteresowania. Dziś, po tylu latach, przyzwyczajonej do maszynki gazowej i elektrycznego imbryka ten cały proceder palenia słomą przedstawia się jako rzecz niesłychanie trudna... Najprzód nie mogę pojąć, jak z luźnej słomy można było ułożyć taką ogromną wiązkę, jak ją powrozem okręcić i na plecy zarzucić. Wiązka była tak wielka, że Hrycia wcale pod nią nie było widać, tylko jego nogi w wysokich butach poruszały się w dole - i wiązka "szła"..

Zrzuciwszy słomę na ziemię otwierał stróż czeluście wszystkich pieców po obu stronach korytarza, skręcał twarde, małe garście i pchał w piec, pomagając sobie długim, żelaznym drągiem, którym żar rozgarniał. Spaliwszy odpowiednią ilość słomy, zakręcał wszystkie drzwiczki i szedł do "piekarni" na kolację, gotowaną również na słomianym ogniu...

Ale o tym pomówię osobno. Wracając do pieców, trudno mi dalej zrozumieć dziś, jak przy tym gatunku paliwa, nie dającego długotrwałego żaru, mogą piece utrzymać się ciepłe, od rana do wieczora i od wieczora do rana.. A jednak tak było, i nie pamiętam, abym w owych czasach, w tym starym, ogromnym dworze kresowym nosiła jakieś swetry, pończochy wełniane, szale, ciepłe pantofle i tym podobne zimowe rekwizyta, w każdym domu dziś używane, pomimo pieców kaflowych i węgla

Z biegiem czasu różne ulepszenia i inowacje w gospodarstwach rolnych sprawiły, że zdecydowano się palić torfem, którego duże pokłady miały niektóre majątki na swych łąkach, a w innych gdzie był las - drzewem. Ogółem zaczęto na opale oszczędzać. Były dwory, gdzie nie wszystkie pokoje opalano, w innych palono mniej. Nie skonstatowałam coprawda, by urodzaje przez to wzrosły, i aby pszenica lepiej "sypała"... Ale "postępowe" gospodarstwa nie marnowały słomy...

U nas było po staroświecku do końca, to jest ciepło!

Babka moja, z jednej strony znana, twierdzą, z konserwatyzmu, z drugiej uchodziła za niesłychanie postępową. Od szeregu lat spędzała po kilka miesięcy corocznie na Riwierze Francuskiej, dbała o modne ubranie, jadała obiad zawsze o 6-tej wieczorem. Była to wogóle bar-

dzo silna indywidualność, nie poddająca się wpływom, o wielkiej dozie odwagi osobistej w urządzaniu sobie życia tak, jak to uważała za odpowiednie i wygodne dla siebie. Nigdy nie oglądała się na to, czy się co ludziom podoba, czy nie. Tych wieczornych obiadów nazywanych kpiąco "szpinakiem przy kandelabrach" nie mogło długie lata sąsiedztwo darować... Przyjeżdżał np. ktoś w lecie popołudniu i marzył o szklance herbaty, a zamiast niej dostawał barszcz zabielany i pieczeń po husarsku... Ale nie było na to rady! Gdy dorosłam, próbowałam trochę wpływać, chciałam choć czasem dostosować tryb domu do gości... Napróżno! Ostatecznie wszyscy przeszli nad tym do porządku dziennego, a my nie jedliśmy nigdy kolacji, tylko o wpół do dziewiątej podawano herbatę i owoce. Było to trzeba przyznać bardzo hygieniczne.

Zacytowałam jeden taki rys charakteru mojej babki (której portretu nie kuszę się skreślić), ponieważ chciałabym zwrócić uwagę na pewien szczegół, dotyczący ludzi kresowych. Jeden w drugiego, prawie wszyscy - to były typy. Każdy odcinał się wyraziście od ogólnego tła, i z tego tła występował, każdy posiadał swoją indywidualną fizjonomiję, nikt nie starał się utożsamiać się ze swym otoczeniem. Każdy miał odwagę być sobą. Nie chcę bynajmniej powiedzieć przez to, że ci ludzie byli lepsi... Byli inni - i dlatego byli ciekawi.

Towarzysko odznaczali się kresowcy niesłychaną ogładą i jeżeli tak wielką wagę przywiązywali oni do form, to dlatego, że ta wytworność stała się ich drugą naturą, a prostactwo raziło. Ale nie zauważyłam nigdy, aby ten wykwintny sposób bycia zaciążył w czemkolwiek na swobodzie wzajemnego obcowania. Podlegaliśmy wszyscy pewnemu uświęconemu protokułowi towarzyskiemu (starsze panie należało całować w rękę, młode mężatki siadały na kanapie), ale nikt nie czuł się skrępowany. To wypływało z natury rzeczy, inaczej nietylko być nie powinno, - ale być nie mogło. Uchybienie, wyłamanie groziło natychmiastową represją, za którą nikt się nie obrażał, bo w swej obrazie pozostałby odosobniony... Starsi byli od tego, aby młodzieży mówić prawdę w razie potrzeby. Nie uchylali się też od tej powinności, którą poczytywali sobie za obowiązek. Pewnego razu zdarzyło się, że młody człowiek, doskonale skądinąd wychowany, nie wstał, tylko słuchał siedząco co mówi jedna z pań, która do niego podeszła. Natychmiast z drugiego końca ogromnego salonu zbliżyła się pani domu i bez ogródek złajała młodzieńca jak smarkacza, bo zachowuje się jak "smarkacz". Sam mi to opowiadał po latach, z uznaniem dla energicznej moralizatorki.

Ta sama pani domu nie zawahała się na sali balowej podejść z ga-

zowym szalem do jednej z panienek i okryć nim zbyt śmiały w ówczesnym pojęciu dekolt... Była bezkompromisowa, była weredyczką, zdarzało się, że nie miała racji.. Ale była zawsze sobą. Otaczał ją powszechny szacunek. Liczono się z nią ogromnie. Tę pozycję, tc poważanie umiała wyzyskać w odpowiednich momentach. Pamiętam chwilę, kiedy zachowanie się jej zrobiło na mnie niezatarte wrażenie. Wybitnie religijna, nietylko gorliwie praktykująca, ale wojująca katoliczka,że się tak wyrażę... A jednak wtedy...

Było tak: w sąsiedztwie 18-to letnia panienka zakochała się nieszczęśliwie i w rozpaczy, widząc obojętność młodzieńca, targnęła się na swoje życie. Fuzja była nieco zardzewiała, strzał niezbyt celny, dość, że zraniła się lekko i już po paru dniach wstała. Ale w okolicy trzęsło się od plotek. Opowiadano sobie to co było, i tego czego nigdy nie było... W owych czasach surowych, przedwojennych obyczajów, na wsi, w domu obywatelskim taki wypadek!... Panna była zgubiona w opinji. Bo mniejsza już o tę miłość! Ale zamach samobójczy!... Grzech śmiertelny, nie do darowania!...

W najbliższą niedzielę w parafjalnym naszym kościele klęczałam jak zwykle w ławce, gdy jakiś szmer, jakieś szepty skłoniły mnie do podniesienia głowy z nad książki do nabożeństwa. Spojrzałam i z największym zdumieniem ujrzałam, że do ławki naprzeciwko weszła nie licząca się z nikim, tylko z własnem sumieniem i sercem pani Martyna Z., a za nią ki blada jeszcze trochę po przebytym wstrząsie i upływie krwi - niedoszła samobójczyni... Kiedy po skończonem nabożeństwie wszyscy wyszli z kościoła, przywitano się z panienką jakgdyby nigdy nic. A staruszka wsiadła z nią do swojej karety i zabrała do siebie na kilka tygodni... Od tej chwili nikt nie śmiał słowa pisnąć, ani ze słowami krytyki wyjechać... Znając panią Martynę trudno przypuszczać, aby się tam bez morałów i siów prawdy obyło.Ale fakt pozostał faktem. Wzięła młodą dziewczynę w obronę wbrew wszystkiemu i wbrew wszystkim, wszystkim narzuciła swój sąd i swoje zdanie, i uratowała biedną istotę, która odtrącona i zbyt surowo osądzona, niewątpliwie byłaby się załamała. Czyniąc to, spełniła naprawdę dobry uczynek! A mogła sobie pozwolić na spełnienie go dzięki tej swojej nieskazitelnej niezależności moralnej, dzięki swej bezkompromisowości i swej silnej indywidualności.

W kresowych dworach trzymano bardzo dużo służby. Domy mieszkalne były obszerne, zamieszkiwali je ludzie bogaci, lub co najmniej zamożni, przyzwyczajeni do wygód i wyręczania się. Nieraz, patrząc

dziś na zalatanę od rana do wieczora dziewczynę "do wszystkiego" robię sobie w duchu uwagę, że "zdobycze socjalne" nie wyszły tak znowu bardzo klasie pracującej na korzyść... Pomijam już, że za ówczesną pracę każdy ze służby dworskiej męskiej czy żeńskiej mógł sobie kupić o wiele więcej, niż za te "duże" pieniądze, które obecnie dostaje... Jedzenia nikt nie skąpił, było obfite i smaczne. Mąka, sera, jaj, śmietany nie sprzedawano, każdy miał tych rzeczy do woli, czy to pan, czy sługa. A co do pracy, to była ona rozłożona na więcej rąk i dzięki temu, nikt nie był "zaharowany". W kuchni był zwykle kucharz, kuchcik i tak zwany "stróż", którego obowiązkiem było narąbać drzewa "pod płytę", nawieść wody do kadzi stojącej w sieni, i po obiedzie poczyścić rondle miedziane, które lśnić musiały jak złoto. Kuchcik podawał kucharzowi patelnie, łyżki, rano obrał kartofle i oskrobał jarzyny. Pozatem pilnie się wszystkiemu przypatrywał i uczył. Po kilku latach takiej nieumówionej praktyki, mógł zwykle gotować samodzielnie.

Lud ruśiński był bardzo inteligentny i zdolny. Toteż bez żadnych szkół gospodarczych, mieliśmy zawsze wszyscy doskonałych kucharzy. Młodzi automatycznie zastępowali schodzących z pola starszych. W Widawie służył z górą lat 40 stary Jan, o którym mawiano, że gdy sos zrobi, to "trzaski" z nim zjeść można! Po nim zajął miejsce zięć jego Kostek Adamski, a jeszcze później długoletni stróż Daniło. Ze starszą córką Jana prześliczną Hanisią ożeniony był lokaj nasz Piotr. Miał on 6 córek i 3 synów. Rodziny całe trzymały się jednego dworu, na tem samem miejscu żyły i wymierały. Piotr do śmierci mego dziada Bolesława R. był w Widawie "młodszym" lokajem, odkomenderowanym specjalnie do usługi mojej babki. Lokajem "starszym" był Bazyli, faworyt dziadunia, z którym chodził na polowanie. Obowiązkiem Bazylego było utrzymanie w porządku broni myśliwskiej i opiekowanie się psami, których było zawsze kilka do pola i do błota. Prócz tych dwóch lokajów było jeszcze dwóch chłopców w kredensie.

Piotr służył w Widawie od małego chłopca. Miał podobno 10 lat, gdy zaczął się "przyuczać". Matkę moją znał w kołysce, i opowiadał mi, że nieraz od mamki dostawał kawałek cukru, żeby dziecka w ogrodzie popilnował, gdy ona wymykała się na gawędę do dziewczyn z "piekarni".

Piotr długie lata mówił mi po imieniu, a ja uważałam go niemal za kogoś z rodziny... Mniej więcej znałam Bazylego, który odszedł z Widawy po śmierci dziadunia. Po latach miałam go we własnym już domu jako lokaja. Staruszek odnosił się do mnie z wielkim szacunkiem i tytułował "panią dyrektorową" (mąż mój był dyrektorem fabryki), ale zdaje się, że w gruncie rzeczy uważał mnie za "smarkatą" i traktował

mnie z odpowiednią pobłażliwością i wyrozumiałością. Mówił np. "Już to o robieniu kawy niema pani dyrektorowa pojęcia!" Oczywiście, robił ją stokroć lepiej odemnie, i chętnie rezygnowałam z moich gospodarskich, często nieudolnych prób... Bazyli był do nas wszystkich bardzo przywiązany, a służbistą był takim, jakich się rzadko widzi! Choć byliśmy z mężem moim sami, ubierał się zawsze w czarny żakiet do obiadu, a wieczorem wkładał długi surdut. Był u nas do wyjazdu naszego z Podola, na wiosnę w r.1914. Potem wrócił do Widawy, gdzie tymczasem umarł stary Piotr i pilnował starego dworu, pustego po - wyjeździe kuhwki babuni do Kijowa.

Widziałam Bazylego po raz ostatni w r.17-tym, kiedy przyjechałam na Podole z Ekaterynosławia, gdzie nas zagnała wojna. Odwiedziłam wtedy stary dwór rodzinny, przywożąc ze sobą najstarszą moją córeczkę, która miała niespełna dwa lata. Chodziłam z dzieckiem po ogrodzie, szumiały nad nią drzewa, które tyle naszych pokoleń wykołysały!... Miałam jakieś gorzkie przeczucie, że już nigdy w Widawie nie będę, pragnęłam całą duszą, aby mała wchłonęła w siebie coś z tych tradycji i ukochań, których pełno tu było na na każdym kroku... A stary Bazyli wziął dziecko na ręce i rozpłakał się. "Trzecie pokolenie, trzecie pokolenie, które noszę w ramionach!" powtarzał głęboko wzruszony.

Obaj ci starzy lokaje widawscy właściwie całe swe życie spędzili u nas. We dworze wzrośli, pożenili się, doszli do zamożności, pobudowali sobie chaty, założyli gospodarstwo. Obaj rusini i prawosławni, mówili jednak doskonale po polsku. Oczywiście, czytać nie umiał z nich żaden. Obaj szkolili chłopców, którzy dorósłszy, szli w świat jako młodsi lokaje do innych dworów.

Starszy lokaj miał obowiązek nakrywania do stołu i podawania półmisków. Młodszy lokaj i chłopiec "kredensowy" ubrany zwykle po kozacku pomagali w usłudze, gdy było więcej osób, obnosili sosy i sałaty. Drugi chłopak kredensowy przynosił półmiski z kuchni, która była w drugim budynku, o kilkanaście kroków od dworu. Nigdzie we dworach kresowych nie było kuchni pod jednym dachem, nikt by się wówczas nie zgodził na to, aby mu w pobliżu smażono cebulę lub gotowano kalafiory!... Chłopak latał więc po każdą potrawę do kuchni, w deszcze nieraz i śnieg, po wyślizganej ścieżce. Nie przypominam sobie jednak wypadku, aby się przewrócił, lub aby potrawa podana na stół była zimna... Nawet mi wówczas na myśl nie przyszło, aby to przedstawiało jakiekolwiek trudności... Trudności te, jak tyle innych usuwał od nas doskonale wyszkolony lokaj. On czuwał nad cało-

kształtem porządku w domu, i tresował sobie odpowiednich pomocników. Pokoje sprzątali chłopcy kredensowi. Posadzki froterowali woskiem i z niesłychaną wprawą jeździli na szczotkach nożnych. Lokaj "przecierał" po nich suknami "parkiet" i ścierał kurze. Pozatem utrzymywał w porządku srebro, które codzień wieczorem rachował, chowając do szuflady w bufecie.

Ponieważ na kresach jeździło się prawie zawsze 4-ką, a często 5-ką lub nawet 6-ką koni, więc do pomocy furmanowi jeździł na koźle jeden z chłopców kredensowych. Ubrany po kozacku, więc szerokie spodnie, długa bluza od pasa w fałdy układana i szeroki, wełniany, barwny pas, pąsowy, zielony lub szafirowy, który się dokoła stanu okręcało, puszczając w luźno z boku dwa końce. Na głowie czapka na bakier, często z denkiem w kolorze pasa. Furman był ubrany identycznie. Było to ładne, barwne i posiadało dużo charakteru, zwłaszcza, gdy konie były zaprzężone "w poręcz", tj.cztery rzędem. Chłopak miał obowiązek podać jadącym rękę przy wsiadaniu i wysiadaniu z powozu, ax otulić im nogi pledem lub futrem (baranicą), zatrzasnąć drzwiczki powozu czy karety. Wskakiwał wtedy zgrabnie na kozioł, furman palił z bata i ruszano. W ciągu drogi trzeba było jeszcze kilkakrotnie z kozła zeskakiwać, otworzyć i zamknąć bramę wjazdową (o ile nie było przy niej osobnego stróża), otworzyć i zamknąć "kołowrót" w każdej wsi, przez którą się przejeżdżało. Kołowrot - był to zwyczajny drąg, zakładany wpoprzek pomiędzy 2 słupy u wjazdu do wsi. Jaki był cel i praktyczne znaczenie tego zamknięcia - trudno powiedzieć! Ale kołowrót był, i trzeba go było przejechawszy za sobą zamknąć.

Ważną funkcją jadącego na koźle kozaka było "halmowanie" przy zjeżdżaniu z gór. Na Ukrainie drogi były równe jak stół, jedyne wyniosłości stanowiły samotne kurhany stepowe, wspólne mogiły rycerskie, z których pług nie rzadko wyorał pobielałe kości. Ale Wołyń, a zwłaszcza Podole falowało zieloną przestrzenią, która to, pięła się w górę, to spadała nisko, nieraz aż po koryto rzek i strumieni w szumiących na dnie głębokich jarów. Jechało się np. drogą gładką, ubitą, bez jednego kamienia. Dokoła pola olbrzymie, ani śladu ludzkiego osiedla, łany buraków cukrowych, gdzieniegdzie białe pola hreczki kwitnącej, jak kadzielnica pachnącej latem gorącym i miodem. I nagle, u stóp ukazywała się wieś w głębi jaru, wtulona w sady wiśniowe, kapryśnie rozrzucona szeregiem pobielanych chat dookoła stawu, z zieloną kopułą prawosławnej cerkiewki, z wyniosłym żórawiem studni, z zamkniętym kołowrotem... Zjechać trzeba było do niej

w dół nieraz na łeb, na szyję, po gładkiej, często w czasie deszczu bardzo śliskiej drodze. Wówczas, aby koniom ulżyć, i powóz zabezpieczyć od zbyt gwałtownego staczania się po pochyłej powierzchni, kozak zakładał pod jedno z kół tylnich "halmę". Tak się to potocznie nazywało, zamiast wywieść od słowa "hamowanie" nazwę tego kawałka żelaza uczepionego na łańcuchu z tyłu powozu, ~~na dole~~ furma i zatrzymującego ruch obrotowy koła. Kozak szedł z góry piechotą obok powozu, na dole, furman zatrzymywał konie, a on oswabadzał koło i zaczepiał z powrotem "halmę". Sposób ten był w powiatach górzystych ziemi kresowej stosowany powszechnie, nawet przez chłopów, gdy jechali z ciężarem.

W Widawie chłopcy kredensowi tak zwani "kozacy" zmieniali się kilkakrotnie za mojej pamięci, natomiast furmanów pamiętam tylko trzech przez wszystkie te lata od wczesnego mego dzieciństwa: starego Zacharka i Michała, a po śmierci tego ostatniego zięcia jego Demedia. Wówczas byłam już dorosłą i Demed towarzyszył mi na moich wycieczkach konnych na ukochanym Hazardzie, jeździł ze mną na wszystkie majówki, kuligi, wieczory i zabawy sąsiedzkie, zawsze chętny, pogodny, życzliwy.

Michał przesłużył w Widawie 54 lata... Jeździł w swoim czasie z bratem mojej babki wujem Zygmuntem Z. końmi do "Petersburga", a z dziadkiem moim do Warszawy. Chętnie opowiadał o tych podróżach, o "popasach" w karczmach, po drodze, o koniach, które wtedy "szły". Siadywałam często na ławce przed stajnią i słuchałam tych gawęd starego, gawęd nie pozbawionych trafnych uwag i humoru, a przenoszących mnie w świat tak inny i tak odległy, że mi się wydawał bajką.. Dziś - stary Michał, Widawa, ławka przed stajnią - wydają mi się również bajką...

Michałowi nadano w okolicy przezwisko "Trawiata". W przeciwieństwie do sztywnych, milczących stangretów, którzy tylko lejcami i delikatnym muśnięciem bata kierują zaprzęgiem, ten stary furman kresowy przez całą drogę bezustannie przemawiał do koni, pokrzykiwał wesoło a ochoczo śpiewną gwarą rusińską, od czasu do czasu podnosił się na koźle, rozwijał bat czterokonny i trzaskał z niego rozgłośnie, jednocześnie żelazną dłonią trzymając lejce w garści, tak, że żaden z koni nie zarwał nigdy galopa. "Michał odśpiewuje całą operę na koźle" powiedział ~~kai~~ ktoś. Stąd powstał ten jego przydomek "Trawiata".

Ja mam go do dzisiaj w oczach jak rusza ostro, z fantazją z przed ganka, a w uszach brzmi mi jego okrzyk: "Wiuuu...malutkie!..." Bajka... bajka...

Lubiłam też chodzić z Michałem do "wozowni", gdzie stały stare powozy, karety na saniach, ogromne, pakowne walizy, które na dachach tych ekwipaży się przytwierdzało, walizy zawierające balowe szaty, turniury i krynoliny.

Do pakowania tych strojów, do utrzymywania ich w porządku potrzebnym był cały sztab kobiet... panna służąca, garderobiana, dziewczyny służebne. Prócz tego praczka specjalna i jej pomocnice.

Najpierw o tak zwanej "garderobie".

W każdym dworze kresowym był taki pokój, gdzie panowała jakaś "panna"rządząca sztabem podwładnego "fraucymeru". Panna ubierała "panią", czesała ją, ona utrzymywała w porządku bieliznę i "tualety". Oprócz tego zajmowała się zwykle "kluczykowym " gospodarstwem, mając sobie powierzoną domową spiżarnię i wydając kucharzowi.

Do Widawy przybyła przed laty wraz z babką moją "wyprawna panna", panna Elżbieta Kosecka. Doskonale pamiętam jeszcze staruszkę szczupłą, żywą, ruchliwą, w białym rorkowanym czepeczku i czarnej sukni, nieznoszącej zapachu mydełek tualetowych, których zaczęły używać w latach późniejszych "dziewczęta" w garderobie. Uważała to za "grzeszny zbytek" z ich strony i za coś nieledwie obrażającego moralność... Trzymała je zresztą krótko, a zapytana co o której sądzi, odpowiadała niezmiennie jednym słowem:"Łatawiec!".

Do panny Kosseckiej chodziło się na rodzynki, które wydzielała z małej, przylegającej do garderoby spiżarenki, tak zwanego "składziku". Co pewien czas odbywało się też w garderobie "rąbanie cukru" przy którym pilnie asystowała. Cukier w najlepszym gatunku nabywano wówczas w dużych głowach pudowych (40 funtów). W oznaczonym na "rąbanie" dniu, rozścielało się na białej, czyściutko umytej podłodze prześcieradło, a dziewczyna garderobiana przykucnąwszy na ziemi, przy pomocy tasaka i młotka rozbijała "głowę" na szereg kawałków, mniejwięcej jednakowej wielkości, które "Kosuneczka" (tak ją nazywaliśmy pieszczotliwie) chowała do dużych, szklanych słoi. Tego cukru używało się do słodzenia herbaty i do smażenia konfitur. Do kuchni "szedł" piasek, czyli kryształ. Również dbała panna Kosecka o to, aby zawsze był zapas tłuczonego wroździeżu i miałko przesianego cukru do owoców, których w Widawie jadano bardzo wiele. Ona też pamiętała o tem, aby w spiżarni nie zabrakło zapasów i co parę tygodni podawała mojej babce spis koniecznych sprawunków. Spis ten był stałym powodem naszej młodzieńczej uciechy z powodu swoistej ortografji... I tak np. "wermiszel" pisała staruszka zawsze w dwóch słowach:"wer miszel", co dawało chłopcom (młodszym braciom mojej

matki) asumpt do twierdzenia, że musiała się za młodu kochać w jakimś Michale, i przez wspomnienie i szacunek dla ukochanego używa dużej litery w łowie "Miszel"... Ale w oczy nie kpiło się z niej nigdy, nawet nam to do głowy nie przyszło!

W garderobie panny Koseckiej pachniało wprost czystością. Podłoga musiała codzień być wyszorowana, łóżko ze spiętrzonemi na nim poduszkami było zasłane kapą śnieżnej białości. Staruszka umarła pewnej zimy (gdy byłam jeszcze w klasztorze) po krótkiej chorobie, i złożona została na wieczny spoczynek na parafjalnym cmentarzu w Kumanowie, gdzie babka moja postawiła jej nagrobek. Spadkobiercom swoim w osobie, jedynego siostrzeńca zostawiła ręczną maszynę do szycia i kapitalik w sumie 100 rubli... O pieniądze nie dbała nigdy, nie potrzebowała ich dla siebie, co miała, to za życia biedniejszym od siebie rozdała. Pozostał po niej żal w naszych sercach i wielka pustka, której według mnie nie wypełniła już nigdy żadna jej następczyni w dużej, jasnej, słonecznej garderobie...

Za dawnych czasów, to jest gdy matka moja i młodsze jej rodzeństwo byli dziećmi, garderoba ta była pokojem dziecinnym. Mieściła się na drugim końcu domu, oddalona od apartamentów rodziców i szeregiem pokoi od nich oddzielona. Tam żyły wówczas dzieci swoim życiem (coś nakształt "nurserie" angielskich), pod opieką zaufanej bony i podległego jej sztabu nianiek i mamek. Nieraz zastanawiało mnie to, jak taki system nie wpływał ujemnie na uczucia dziecięce, przeciwnie, jak w tych dawnych latach synowie i córki dorastając nietylko szanowali rodziców swoich, ale i więcej kochjali, niż dzisiaj... daleko więcej poczuwając się przytem do obowiązków względem tych, którzy (w dzisiejszym mniemaniu) obowiązków swych jako rodzice nie spełniali... Jest to jakiś paradoks, jakieś potworne nieporozumienie w dziedzinie uczuciowej! Nie wyciągając dalszych wniosków, nie dociekając psychologicznych przyczyn - z obowiązku kronikarskiego notuję fakty. Zresztą, to samo zjawisko możemy po dziś dzień obserwować w Anglji, gdzie rodzina jest przecie niesłychanie zwarta... Na Kresach żadna z pań tego starszego pokolenia sama nie karmiła. Byłam już dorosłą, gdy młode matki, jedna po drugiej zaczęły się poczuwać do tego świętego obowiązku. Mnie również wykarmiła mamką, a że urodziłam się w Kijowie, była nią Moskiewka Matrona Iwanowna. W każdym razie z piersi jej nie wyssałam ani odrobiny sympatji do jej narodu!... Boną moją, która po śmierci mamusi zajęła się mną całkowicie, była niejaka pani Djoniza Kuczukowa z Litwy. Miała ona 19-ro rodzeństwa! co mnie jedynaczkę, pozbawionej dziecięcego towarzystwa, strasznie imponowało i budziło zazdrość w osamotnionym serduszku. Pani Kuczko-

wa, która mnie bardzo kochała, rozumiała to doskonale i za jej przyczyną w tych pierwszych latach moich dziecinnych przydzielono mi do towarzystwa Walercię, córkę naszej klucznicy Kowalewskiej. Opiekę nademną objęła pani Kuczukowa parę dni przed śmiercią mamusi (miałam wówczas 4 lata), która mnie jeszcze poleciła jej staraniu i sercu. Serca tego nie poskąpiła mi ta zacna dusza, niewiem, czy można sierotę otoczyć większem ciepłem i miłością. I ja byłam do niej fanatycznie przywiązana i tonęłam we łzach, gdy odeszła po kilku latach, ustępując miejsce nieodzownej w owych czasach francusce. Pani Kuczukowa leczyła mnie zawsze homeopatją, której była wielką zwolenniczką. Posiadała specjalną szkatułkę-apteczkę, a w niej szereg malutkich ampułek z pigułeczkami, drobnymi jak mak, które ordynowała przy różnych dolegliwościach z doskonałym zawsze rezultatem. Tylko olej rycynowy był niezastąpiony, będąc w owych czasach tak jak i dziś zmorą dziecięcego wieku. Sympatję do białych pigułeczek pani Kuczukowej zachowała, dotąd, i może przez pamięć tej zacnej kobiety, która umiała kochaniem i pieszczotą owiać moje wczesne dzieciństwo, - wierzę jeszcze teraz w homeopatję!

Starsze odemnie pokolenie w Widawie, to jest mamusię i jej rodzeństwo wychowała niemniej legendarna z dobroci i poświęcenia Arciszewska. Skąd wtedy w tych prostych kobietach brały się takie skarby serca i oddania?... Skąd rodziło się poczucie obowiązkowości!?... poczucie odpowiedzialnośei za te dzieci powierzone ich opiece prawie bez żadnej kontroli?... Skąd one czerpały zasady hygjeny i wiedzę pedagogiczną?... Nie było żadnych szkół specjalnych, żadnych kursów, żadnych książek traktujących o tych zagadnieniach... Intuicja i serce musiały starczyć za wszystko. I starczały!

Matka moja miała 4-ro rodzeństwa, trzech braci i siostrę. Młodsi dwaj chłopcy bardzo się kochali i byli w tych latach dziecinnych nierozłączni. Łagodny, słodki Franio ulegał starszemu o rok Włodziowi, który zdaje się nawet troszkę go tyranizował... Spali w dziecinnym pokoju w dwóch łóżeczkach, obok siebie. Włodzio był lunatykiem, i w noce księżycowe, światłem nasiąkłe, wstawał ze swego posłania i wędrował po pokoju, aż w końcu zmęczony, na ~~nóż~~ wpół rozbudzony, chcąc się położyć, nie trafiał do swego łóżeczka, tylko właził do Frania, i rozgniewany wypychał go wołając gniewnie: "Va t'en Petiau".. A malutki, zawsze potulny i uległy posłusznie odstępował kołderki i poduszeczki i kładł się na dywaniku, obok łóżeczka, gdzie go nieraz rano znajdowano, smacznie śpiącego, z piąstką podłożoną pod buzię różową...

Ulegał wszystkim całe życie... i niezbyt dobrze na tym wychodził ... Ale ożeniwszy się późno, miał pogodną starość, opromienioną gorącem przywiązaniem zacnej kobiety, otoczony jej czułą troskliwością i staraniem.

W Widawie był zwyczaj przebierania się do obiadu, który jadano o 6-tej. Było to nieco na modłę zagraniczną, z tą różnicą, że nie wkładało się tualet wieczorowych, tylko zrzucano zmiętą sukienkę, zakurzone obuwie, myto ręce, poprawiano włosy. I obiad, który nas zgromadzał dokoła okrągłego stołu w mrocznej jadalni, na ścianach której wisiały portrety rodzinne: damy w robronach, panowie w kontuszach - obiad ten był zawsze jakby odświętną chwilą rodzajem "uroczystości", a jednocześnie odprężeniem. Wraz z porannymi szatkami zostawiało się w swoim pokoju szarą powszedniość dnia i nudną, jałową troskę . Błyszczały świeżo przemyte chłodną wodą oczy, błyszczały urywki rozmowy barwnej, ożywionej, zahaczającej w tej godzinie wypoczynku chętnie o problematy szersze, o zagadnienia Sztuki, muzyki, kultury. Mówiło się o nowej książce, o nowej, granej w teatrze sztuce. Ten obiad, do którego się "przebierano" był nietylko "posiłkiem", on wymagał pewnego wysiłku, bo sama jego pewna uroczysta forma wytwarzała pewien nastrój, do którego należało się podciągnąć. Więc miało to swoje dobre strony i swój wpływ wychowawczy na młodzież. Z tych czasów do końca życia zapamiętałam, że stół - to nie jest żłób, przy którym się ludzie gromadzą jedynie w celu zaspokojenia głodu.

Kiedy dorosłam, przebieranie się do obiadu nie było już tak ważną funkcją jak za lat moich dziecinnych. Przedewszystkiem sam strój kobiety się uprościł. Mniej haftek, mniej "szlarek", mniej spodnic... I uczesanie nie tak kunsztowne... A potem, ten nasz żywiołowy pęd do samodzielności i samowystarczalności, który sprawiał, że czesałyśmy się same, same nakładałyśmy obuwie, potrafiłyśmy nawet bluzkę z tyłu same zapiąć... Może to było przeczucie nadchodzących zmian, może instynktowne zbrojenie się do życia, które nas po wojnie czekało - dość, że przed ślubem moim zupełnie mi wystarczała usługa jednej tylko Magdusi, a potem Wiktusi...

Ale dawniej bywało inaczej! Jeszcze kiedy przyjeżdżałam z klasztoru na wakacje, przy ubieraniu się moim i ciotki mojej (wówczas jeszcze nie zamężnej) asystowały zawsze dwie służące: "panna" i "dziewczyna". Dziewczyna nalewała wodę do miednicy, panna podawała ręcznik, w który się ręce wycierało. Panna zarzucała na plecy "pe-

niuar" i pomagała rozczesywać włosy, dziewczyna stała na boku i wręczała kolejno gorące żelazka, grzebyki i szpilki, a potem czyściła starannie szczotki i grzebienie. Dziewczyna sznurowała buciki, panna wkładała suknię tak umiejętnie, aby "koafiury" nie zburzyć, obciągała spódnicę, wiązała szarfę...Ubieranie się w tych ramach nabierało doprawdy cech jakiegoś rytuału. Nie dogadzało mi to nigdy, byłam na to za żywa. I dziś bynajmniej za tym nie tęsknię, najchętniej sobie sama obuwie i suknię wyczyszczę, i nawet nie lubię gdy służąca, ta jedyna, "do wszystkiego" po pokoju się kręci, gdy się ubieram... Ale notuję te szczegóły z tak niedawnej przeszłości, jako przyczynek do minionej bezpowrotnie epoki...

Panna służąca miała pozatem obowiązek słania łóżek, których "dziewczyna" nie dotykała nigdy. Codziennie wieczorem leżała na poduszce wyprasowana przez nią "letnim" żelazkiem koszula nocna. Bardzo miło było wkładać na siebie tak odświeżoną, nie zmiętą bieliznę! Również do "panny" należało cerowanie pończoch, które wówczas były "fildekosowe" i nie darły się prawie wcale... Ona utrzymywała w porządku bieliznę i suknie, ona robiła drobne reperacje i przeróbki. Każda z tych "panien" umiała trochę szyć i miała pojęcie o kroju. Wreszcie panna dozorowała prania i sama prasowała delikatniejsze sztuki. Dawniej były po dworach osobne praczki, z biegiem lat, już za mojej pamięci skasowano je ze względów oszczędnościowych i wówczas te obowiązki ich przejęły "panny". Zresztą, nie były one przepracowane. Pranie odbywało się rzadko, zwykle raz na trzy miesiące. Zapasy bielizny w szafach były ogromne. Całymi tuzinami leżały na półkach prześcieradła, poszewski, obrusy, wszystko z cieniutkiego płótna lnianego, z ozdobnymi, haftowanymi monogramami. Pranie obywało się w specjalnym lokalu, gdzie był wmurowany kocioł do grzania wody i stał ogromny magiel, z ciężką korbą, którą wprawić w ruch było w latach dziecinnych moją niedościgłą ambicją... Na wielkim stole praczka albo panna mydliła pojedyńcze sztuki, które pod jej dyrekcją przepierały w balji piekarniane dziewczęta w liczbie trzech, czasem czterech.

Piekarnia - był to osobny budynek i osobna, wyodrębniona jednostka społeczna w całokształcie służbowego zagadnienia. Na czele stała "klucznica", podlegała jej "gospodyni", to jest kucharka czeladnia, oraz zwykle 4 dziewczyny. W zakres obowiązków tego kobiecego sztabu wchodziło pieczenie chleba i gotowanie dla czeladzi, dojenie krów, robienie masła i sera, doglądanie drobiu, karmienie wieprzy na tucz, wreszcie uprawianie "ogrodu", to jest sporego kawałka

pola, gdzie sadziły kartofle i buraki na barszcz, siały cebulę, fasolę oraz konopie służące do wyrobu domowego płótna. Przędły też, w długie wieczory zimowe kądziel (prawie nigdzie nie spotykało się kołowrotka), a wdrugiej połowie zimy przędziwo oddawano do tkacza; latem zaś bielono na trawie ogromne sztuki płótna, tem cieńszego, im lepsze były prządki i staranniejsza "klucznica".

Lnu nie siano wcale na naszych południowych kresach. Konopie zarastające latem zwartą, ciemno-zieloną gęstwiną są jak wiadomo rośliną dwupienną. Lepsze, cieńsze i cenniejsze włókna dają pędy męskie tak zwana "płoskoń", wyrywa się je w ciągu lata wraz z korzeniem i zaraz, związawszy w nieduże snopki umieszcza na brzegu strugi lub stawu, przykrywając błotem. Ten prymitywny i niezbyt hygjeniczny proceder służył do tego, aby zdrewniałe części łodygi pod wpływem wilgoci zgniły i dały się od włókna oddzielić. Oczywiście w czasie gnicia wydzielał się wstrętny fetor, zatruwający powietrze. To też moczyło się konopie o ile możności daleko od domów mieszkalnych. Rośliny żeńskie zwane "maciurką" dostarczały włókien pośledniejszego gatunku, ale dawały prócz tego ziarno, siemię, z którego tłoczono olej, używany przez cały 40-dniowy post jako jedyna okrasa. Po wymłóceniu ziarna z łodygami maciurki postępowano tak samo, jak z płoskonią. Kiedy części zdrewniałe dobrze odgniły, wyjmowano konopie z błota, i stawiano snopki na słońcu do wysuszenia. A potem wczesną już jesienią, w chłodne, słoneczne poranki rozlegał się po wsiach miarowy odgłos "terlic", na których gospodynie i dziewczęta "tarły" konopie, to jest oddzielały włókna od przegniłego i kruchego drzewa. Spadało ono na ziemię i chrzęściło pod stopami, a kobiety grube przygarście włókien wiązały w kukiełki i odkładały starannie do zimowego przędzenia.

Robotę tę w piekarni spełniały dziewczęta pod nadzorem klucznicy i w każdej spiżarni piętrzyły się na półkach zwoje domowego płótna, z którego robiono ścierki, koszule dla służby, i tak zwane "werety" to jest płachty, w których noszono chwasty, trawę dla krów itp.

Krowy dojono dwa razy dziennie, rano i wieczorem. Dzień cały spędzały one na pastwisku, przy doju karmiono je trawą koszoną w ogrodzie i liśćmi z buraków. Cały ten system był wysoce nieracjonalny ze względu na kanony gospodarcze, ale z tym liczono się w naszych stronach mało. Krów trzymano 30,40 poto, aby mieć nabiał dla siebie... Wystarczało oczywiście zawsze nawet przy takim systemie żywienia... O nawóz na tych bogatych czarnoziemach nie dbano, a sądzę, że stałe przebywanie bydła na powietrzu wychodziło ma raczej na zdrowie. Jakoż o gruźlicy krów nie słyszano u nas podówczas wcale.

Od wiosny do późnej jesieni dojono również na dworze. Przed oborą, tak zwaną "krowiarnią" były umieszczone poziome drągi, do których przywiązywano krowy sznurem za rogi. Dziewczyny dojące myły wymiona i wycierały do czysta płóciennymi ścierkami. Istnieje powszechne przekonanie, że lud rusiński - to brudasy. A jednak tak starannego, hygjenicznego i czystego obchodzenia się z mlekiem nigdzie nie widziałam. Po umyciu wymion przystępowano do dojenia w drewniane skopki, wyparzone codzień i wysuszone na wolnem powietrzu. Zlewano mleko do drewnianego również naczynia, ogromnej kadzi, zwanej "spustem", starannie owiązanej płótnem, przez które się mleko cedziło. W lecie niektóre klucznice lubiły kłaść na płótno garść pokrzyw, w wodzie opłókanych, na których włochatych liściach doskonale zatrzymywały się najmniejsze nieczystości z mleka. Dziewczyny dojące po każdorazowym wylaniu mleka ze skopka do spustu, zanim wzięły się do dojenia drugiej krowy, myły ręce w stojącym obok naczyniu z czystą wodą i wycierały w specjalną na ten cel przegotowaną ścierkę. Patrzyłam na to dzień po dniu przez lata, i dlatego nie lubię, gdy mi kto prawi o "kresowym niechlujstwie".

Po skończeniu doju, dwie dojarki brały na ramiona drąg, na którym był przewieszony spust z mlekiem i niosły go do piwnicy ("lochu"), tam w chłodzie, nowe cedzenie przez bielutkie płótno do glinianych, niepolewanych "hładyszek", których szereg czysto umytych wisiał na specjalnym w kołki zaopatrzonym słupku. Masło robiło się sposobem zupełnie prymitywnym, ale jakże było doskonałe! Ogromna "maśnica" napełniona zebraną z "hładyszek" śmietaną kwaśną potrzebowała obsługi dwóch dziewczyn. Klucznica mająca różne zajęcie zamykała je na kłódkę w "lochu", aby po pewnym czasie powrócić, gdy masło było na ubiciu. Dziewczęta nie skarżyły się na tę niewolę, i zwykle, w doskonałych humorach, na cały głos śpiewały rusińskie piosenki. Po wyjęciu zrobionego masła u maśnicy, płókano je w kilku wodach, a potem solono czystą, miałką solą i składano do dębowych "fąsek" mocno ubijając. Zwykle taka faska zawierała 1 pud, tj.40 funtów masła i sprzedawano ją za 10 rubli... Solonego masła używano do kuchni, do stołu podawano zawsze świeże, z ostatniego ubicia. Dużą rolę odgrywał na kresach ser. Przyprawia się go specjalnie, rozcierając po oddzieleniu od serwatki z solą i układając również do drewnianych fasek. Tak przyrządzony mógł stać w chłodnym "lochu" całe miesiące, a używano go gdy nieco skwaśniał do pierogów, mieszając czasem z kartoflami gotowanymi, lub obsypując nim kluski. Kraszono te potrawy suto słoniną ze skwarkami. Kartofli jadano u nas bardzo niewiele.

Zato rusińskie przysłowie mówiło: "barszcz i kasza matka nasza". Kasza hreczana lub jaglana, to jest z prosa, ta ostatnia gotowana na mleku - to była codzienna chłopska potrawa, dodatek do barszczu. Na drugie danie kluski z serem lub pierogi. Mięsa jadała wieś bardzo niewiele, chleb tylko razowy, doskonale wypieczony, niesłychanie smaczny. Kapusta i ogórki kwaszone dopełniały jadłospisu. Barszcz gotowano zawsze na kwasie z buraków, z fasolą, kapustą świeżą i paru kartoflami, zabielając na wydaniu świeżą, surową śmietaną. I tu muszę wrócić do słomy, jako do materjału opałowego. Bo wszystkie te specjały, takie smaczne i doskonale przyrządzone (za które dziś jeszcze oddałabym najwymyślniejsze frykasy) gotowano przy ogniu ze słomy!... Czyż to nie zakrawa na bajkę?...

W piekarni dworskiej i w każdej wiejskiej chacie znajdował się ogromny piec. Górna jego część służyła zimą do spania, a mogła się na niej pomieścić cała rodzina - w dole była ogromna czarna czeluść. W niej piekło się chleb, odgrzewało ser i gotowało obiad w przedziwny sposób, który nieraz oglądałam. Gospodyni w Widawie, stara Paraszka, czarna jak czarownica, oświecona migotliwym płomieniem pełgającym z pieca, zasuwała w jego głąb gliniane garnki z kaszą, barszczem czy mlekiem, przy pomocy drąga z żelaznym końcem obtykała je twardo skręconymi pękami słomy i póty powtarzała tę czynność, póki smakowita woń ugotowanej potrawy nie rozeszła się po piekarni. Wówczas wyciągała garnek "kociubą" i rozlewała jedzenie na miski. - Ponieważ pierwszy posiłek, tak zwany "obiad" jadano w piekarni około 8-mej rano, schodził się on z mojem pierwszem śniadaniem i bardzo często zamiast pić herbatę, kazałam sobie przynosić talerz barszczu z piekarni i zajadałam go z apetytem. Piotr, stary lokaj, który był "gurmand" i nie lubił "kuchni" Paraszki, kazał sobie przynosić "obiad" z domu. Czasami mnie częstował. Nie odmawiałam nigdy, bo rzeczywiście, Hanisia gotowała znakomicie.

O 12-tej ludzie jedli "południenek", chleb z serem lub ogórkiem kwaszonym, a wieczorem kolację, najczęściej kaszę jęczmienną lub jaglaną na mleku lub hreczany krupnik z kartoflami, kraszony słoniną. W postne dnie używało się do kraszenia oleju - oto cała różnica. Dużą rolę na Podolu jako przegryzka do chleba, a także jako doprawa do niektórych potraw - odgrywał czosnek , ale służbie dworskiej, stykającej się z nami jeść go nie było wolno.

Może wyda się komu dziwne, że w tych bynajmniej nie "demokratycznych" czasach, w tych dworach przepełnionych służbą, zasobnych, żeby nie powiedzieć bogatych, każda z nas panienek znała doskonale

wszystkie lokalne sekrety gospodarskie. Ja np. pamiętam doskonale jakby to było wczoraj najdrobniejsze szczegóły tych zakulisowych zagadnień, o których nigdy przecie w "salonie" się nie mówiło!...Gdy się dziś nad tym zastanawiam, myślę, iż może dlatego, iż nic i nikt nie zmuszał do wglądania w te sprawy, że leżały one na dalekiej płaszczyźnie - interesowały nas i pociągały. Taka jest bowiem przekora młodości!... Przytem ci, co koło tego "chodzili", czy to w stajni, czy w pralni, czy w piekarni, witali nas chętnie, pracowali przy nas bez ponurego przymusu (który tak często w Królestwie obserwuję) wesoło i ochoczo, śpiewając często rozgłośnie. W każdym dworze byli starzy słudzy, którzy pamiętali poprzednie pokolenie i do pewnego stopnia odczuwali przywiązanie do tych młodych, co się już przy nich urodzili... Sądzę, że ani ludu ruskiego na kresach, ani starych sług (którzy jak mówią fakta, niejednokrotnie w latach późniejszych szli w tłumie na czele pogromów) nie można obwiniać o naszą katastrofę! Ponętnymi obietnicami i hasłami rozpętano żywioł, potoczył się on jak lawina i porwał za sobą wszystko. Ale to nic nie znaczy. Gdyby nam dziś oddano nasze stare gniazda, poszlibyśmy jak tyle razy odbudowywać nasze kresowe życie i w obliczu Historji dźwigać je z popiołów i zgliszcz... A pomagaliby nam w pracy Demed i Zacharko i Hryć i Paraszka, a my nie czulibyśmy się wśród nich obco, i zapomnielibyśmy krzywd.

Nie mogę zamknąć tego rozdziału, w którym mówię o starych sługach widawskich, nie wspomniawszy postaci naczelnej, przez lat czterdzieści kilka dzierżącej ster gospodarstwa - ekonoma Aleksandra Rybińskiego. Piękny chłopak, smukły i wybujały jak sosna, o smagłej cerze, kruczych włosach i przepaściastych czarnych oczach - takim go sobie odtwarzała moja wyobraźnia, gdy w latach późniejszych patrzyłam na tego mężczyznę, który od młodości sprzągł swoje życie z naszym warsztatem rolnym moich dziadków, w Widawie dojrzał, w Widawie się ożenił, 7-ro dzieci wychował, aż mu szron bujną czuprynę przyprószył siwizną, aż mu się przygarbiły plecy i zbladły bystre oczy w słońce i w pole rozległe patrzące. Oddany pracy swojej i swoim chlebodawcom bez reszty, w Widawie spędził całe życie i w Widawie umarł. Gospodarz znakomity, pracowity, energiczny, nieposzlakowanej uczciwości, posiadał pełne zaufanie mojej babki, która po śmierci dziadunia jedynie z jego pomocą rządy w Widawie sprawowała. Aleksander Rybiński nie rachował się ani ze zdrowiem swoim, ani z czasem. Był wierny, oddany, przywiązany do całego naszego gniazda. Ale bo też nie były to czasy, kiedy ze względów oszczędnościowych uważano-

by za stosowne ograniczać potrzeby człowieka pracującego do minimum ... Rybiński miał nietylko odpowiednie wynagrodzenie w pieniądzach (pensję i % od sprzedanego zboża i odstawionych buraków cukrowych), miał możność urządzenia sobie życia rodzinnego, założenia gniazda, wychowania potomstwa, zagospodarowania się i zżycia się z miejscem. Tak wówczas było u nas wszędzie. Kilkopokojowy domek, wprawdzie pod strzechą, ale ciepły, biały, czyściutki, z ganeczkiem obrosłym festonami wina, z grzędami kwiatów i sadkiem wiśniowym dokoła. Obok, zabudowania gospodarskie: obórka, w której mógł trzymać kilka krów, chlewy, kurniki, podwórko, studnia, za chruścianym płotem warzywnik i kawał pola pod kartofle i niezbędne konopie. Bo, któżby tam płótno kupował!... Wewnątrz domu pokoiki lśniły od czystości, okna osłaniały muślinowe firanki, na łóżkach piętrzyły się poduszki, opięte w poszewki barwnie haftowane krzyżykowym ściegiem w kolorze czerwonym i czarnym. Podłogi nie malowane, ale zawsze czyste, przerzucony przez nie chodnik pasiasty, za stołem stara pani Rybińska w okularach, z gładko uczesanymi siwymi włosami podnosiła się od szycia na nasze powitanie i uśmiechała życzliwie, radośnie... Po każdym powrocie do domu szło się z nią przywitać. Należało to do tych obowiązków, od których nikt się nie uchylał, których nam nikt nie nakazywał, ani nie narzucał. Wypływały same ze siebie i były konieczne. Nie pamiętam doprawdy, abym kiedy słyszała słowa: "Trzeba iść do Rybińskich". Mówiło się: "Idziemy do Rybińskich". I szło się, Przyjmowano nas konfiturami z wiśni lub malin, cieszono się, żeśmy wrócili... Bo to były czasy sielsko-anielskiego dzieciństwa, czasy, które się tak dobrze pamięta!... Najstarsza córka Rybińskich Paulina była wówczas już zamężną, ślub drugiej z rzędu Kazi odbył się u nas we dworze, w sali jadalnej, "pod zegarem" jak mówiłam, bo ołtarz ustawiono wzdłuż ściany, gdzie wisiał zwykle stary zegar szafkowy donośnie godziny bijący. W tym samym miejscu podobno brała ślub moja matka, i rodzina Rybińskich uważała to za wielki przywilej. Nie mogę sobie dzisiaj zdać sprawy z tego, dlaczego te śluby odbywały się w domu, a nie w kościele, nie umiem tego wytłomaczyć. Ale ponieważ ślub Kazi był pierwszą uroczystością tego rodzaju, na której byłam obecną, więc do dziś dnia pamiętam ją doskonale i mam w oczach staruszka proboszcza z Kumanowa księdza Deryngowskiego wiążącego ręce młodych swoją białą stułą. Najmłodsza z córek Rybińskich Mania była tylko o kilka lat starsza odemnie, po śmierci ojca wyjechała do jednego z braci, który już był ekonomem w jednym z sąsiednich majątków i straciłam ją z oczu.

W jakiś czas po śmierci starego Rybińskiego babka moja wydzierżawiła Widawę, najprzód jeden folwark, potem całość. Dziwnym trafem umowa dzierżawna przechowała się do dziś dnia w moich papierach. Podaję jej tekst, jako dokument czasów i cen!

"Wydzierżawia się folwark Widawę przestrzeni 595 morgów panu Sawickiemu za cenę hurtem 5 tysięcy rubli. Prócz tego utrzymanie 14-tu krów, i słoma do stajni dla 6-ciu koni. Zadatku p.Sawicki nie daje" . Wynosiło to po 8 rubli 40 kop. za morgę...

Folwark widawsi nazywał się Wygoda. Skąd ta nazwa? Ma ona także swoją historję. Na gruntach tych przed laty był las. Leżał wzdłuż traktu, wiodącego do majątku Sołomna i nazywano go Sołomiańską dębiną. Pod lasem stała karczma Wygwa zwana Wygodą. W niej zajazd, (nie wiem czy wygodny?), ale w zimową zadymkę lub w ciemną noc jesienną nęcąco łyskały pod lasem małe okienka karczmy, gdzie można było zajechać, konie wyprządz, gorącej herbaty się napić i ranka bezpiecznie doczekać. Później karczmę zniesiono, las wycięto, pozostawiając trzy dęby na wieczną rzeczy pamiątkę, a gdy już babka moja na tych odległych o kilka wiorst od sadyby dworskiej folwark wypobudowała - nazwano go Wygodą.

Wspomniałam o karczmie. W każdej prawie wsi kresowej była karczma. Budynek należał do dworu, który go wydzierżawiał arendarzowi żydowi. Żyd w dawniejszych czasach handlował wódką, w nowszych zbożem. Zgroza! - wykrzykną dzisiejsi antysemici. A młodzież narodowa zatrzęsie się z oburzenia, na mysl o szlachcie, która "zaprzedawała się żydom i rozpijała lud". Ale pamiętajmy, że przeszłości nie można sądzić kategorjami czasów dzisiejszych. Nikt jeszcze wtedy nie nawoływał do organizowania chrześcijańskiego handlu po wsiach, a chłop mydło i zapałki kupić musiał i kawałek perkalu na fartuch dla żony!.. A że przy tej sposobności wypił jeden i drugi kieliszek, czy to zaraz należy poczytywać za zbrodnię? Doprawdy nie pamiętam, aby u nas była kiedykolwiek mowa o jakichś zbiorowych pijaństwach po karczmach!

Karczmy kresowe były to czasem ciekawe zabytki budownictwa, zastosowanego do specjalnych potrzeb i celów. Wchodziło się zwykle od szczytu w ogromną, mroczną sień, w której można było postawić bryczkę lub powóz, a do biegnących wzdłuż ścian żłobów uwiązać konie i wsypać im obrok. W ścianie przeciwległej znajdowały się liczne drzwi, prowadzące do "alkierzy" rodziny żydowskiej i do dużej cen-

tralnej izby, gdzie znajdował się szynkwas i kramik. Wreszcie, o ile karczma leżała przy uczęszczanym trakcie lub miasteczku, mieściły się w niej pokoje dla zajeżdżających gości. Czasem sień szła przez całą długość karczmy, stajnia była w szczycie, po obu bokach izby. Nocowanie w podobnym zajeździe było w owych czasach rzeczą zupełnie możliwą, gdyż podróżowało się ze swoją służbą i ze swoją pościelą. Przecież jeszcze moja matka wychodząc za mąż dostała nieodzowną wtedy w każdej wyprawie "gotowalnię", to jest dużą, safianową szkatułkę, w niej lustro, flakony i puszki z kryształu z przykrywkami ze srebra, srebrny dzbanek i miednica. Przedmioty te są do dzisiejszego dnia w moim posiadaniu. Miednica i dzbanek stoją oczywiście bez użytku, tak małych są rozmiarów w stosunku do dzisiejszych wymagań czystości i hygjeny. Nie mogę jednak się zdecydować, aby je przerobić na tace, tak jak byłoby wskazane. Należą bowiem do "epoki"... Babunia miała oczywiście również srebrną gotowalnię, i zabierała ją ze sobą, gdy miała nocować w zajeździe. Parę takich noclegów jeszcze pamiętam i gergot żydów przez całą noc, w sieni przylegającej do izby, którą i zajmowałyśmy. "Kiedy te żydy śpią?..." mówiło się, obracając się na drugi bok na niezbyt wygodnym łóżku. Chyba nie spali wcale!.

W Widawie przez długie lata był arendarzem Mendel Szenker, później bogaty kupiec zbożowy w Płoskirowie. Po nim karczmę we wsi objął pośledniejszego gatunku chałaciarz Mejlich, z którym miewałam częste zatargi o rybę na obiady piątkowe. Dzierżawił bowiem równocześnie stawy.

Mendel wzbogacił się podczas pobytu w Widawie. Nigdy tego nie zapomniał ani się wypierał, i był do pewnego stopnia do całej naszej rodziny przywiązany. W latach późniejszych zawsze gotów do bezinteresownych usług, jak staranie się o paszport dla nas na wyjazd zagranicę. Jeżeli pożyczał komu z nas pieniądze, to zawsze tylko na "szlachecki procent" (8% rocznie). Kiedy babka moja przyjeżdżała do Płoskirowa, i nocowała w jego zajeździe, nie wiedział jak ją ugościć i nigdy za nocleg ani ludzi, ani koni nie brał ani grosza. Był to w całym tego słowa znaczeniu "porządny" żyd i osobistość jego pamiętna z owych czasów, nie przyczyniała się do rozbudzenia we mnie antysemityzmu... Przed laty, w tym kraju bogatym i szerokim żyliśmy obok siebie bez nienawiści. Miejsca, pracy, pieniędzy było dość dla wszystkich. I w tych to czasach mojego dzieciństwa i młodości grupowały się dokoła nas postacie brodatych Abrahamów, krawców, rzeźników, rymarzy... Stanowiły one dekorację niezbędną i jakże charakterysty-

czną pewnych momentów, zrosły się ze wspomnieniami moimi w pewną organiczą całość. I dlatego mówić o nich muszę.

Więc oprócz dobrotliwego patryarchy Mendla z długą, białą, jedwabistą brodą - Mejlich. Mały, czarny, krzykliwy. Nie lubiłam go. Co więcej, wzbudzał we mnie pogardę. Nie miał w sobie nic ze wschodniej powagi i godności. Pojawiał się we dworze widawskim jesienią, wieczorem po obiedzie. Stawał w stołowym pokoju pod piecem z rękami założonemi za plecy (na piecu była potem w tym miejscu okrągła,brudna plama) i targował pszenicę. Byłam zawsze bardzo rada, gdy z założonego chałata wyjmował niemniej założony pugilares i wręczał babuni zadatek. W owej porze roku zapowiadało to "wypad" do Lwowa, wyjazd bardzo pożądany ze względu na błoto i szarzyznę jesieni.

Lwów, stolica naszego Podola leżał "za kordonem". Była to dla nas już zagranica, choć dzieliło nas od niego tylko trzy godziny jazdy koleją. Nęcił podświadomie jak coś "zakazanego"...

Tam widziałam po raz pierwszy na scenie "Krakowiaków i Górali", tam danem mi było słyszeć nasze narodowe pieśni... Boże! jak się wtedy płakało ze wzruszenia!...

Ale powracam do Żydów.- Z pobliskiego miasteczka Felsztyna rekrutował się damski krawiec Alter. Sprowadzało się go do "przeróbek", przedłużania i nicowania moich szkolnych płaszczyków. Niejedną mi też uszył w owych czasach sukienkę. Robił też szlafroki dla babuni. Przyjeżdżał z dwoma czeladnikami i nożną maszyną, roztasowywali się w "stancji" oddzielonej sienią od kuchni dworskiej. Tam im zanoszono herbatę w szklankach, ogrodnik dostarczał cebuli a klucznica ogórków. Chleb przywozili ze sobą.

W ten sam sposób instalował się i odżywiał wraz ze swymi pomocnikami krawiec męski Herszko, który przyjeżdżał dwa razy do roku, na wiosnę i w jesieni. Szył ubrania kozackie dla furmanów i chłopców kredensowych i stajennych, bufiaste spodnie, długie, fałdowane bluzy, a także burki z kapturami, wyłożonymi materjałem tego samego koloru, co pasy kozackie. Zwykle na pasy wybierało się barwę pola herbowego, ale nie zawsze przestrzegano tego tak ściśle. Kierowano się poprostu gustem i upodobaniami. W Widawie od śmierci mego dziada Babunia zawsze ubierała swoją służbę ciemno-popielato z szafirowymi pasami. Ubrania szyło się z sukna na zimę, z płótna na lato. Pasy były z miękkiej wełny, coś w rodzaju kaszmiru. W jednym z sąsiednich naszych dworów-pałaców kazacy chodzili latem w ubraniach białych z pąsowymi pasami. Co to prania!... Co to mydła!... myślimy dziś. A no - tak. Tempora mutantur.

Wspomniałam w początkowych kartkach tych gawęd, że nazwą "Kresy" obejmowaliśmy w mowie potocznej trzy graniczące ze sobą "gubernje": Podolską, Wołyńską i Kijowską czyli Ukrainę.

Wołyń najmniej był mi znany. Jeździłam do Starego Konstantynowa (o którym wspomina parokrotnie Szczucka w "Pożodze". Tam bowiem był grób mojej matki, która umarła w sąsiedniej Krasnosiółce, majątku dzierżawionym przez ojca mego w latach 80-tych. Ta zaś część Wołynia, która bezpośrednio z Podolem graniczyła, mało się od niego różniła. Ukraina zato zupełnie była inną.

Na Ukrainie, w powiecie Czerkaskim leżał majątek rodzinny mego ojca Rotmistrzówka, ogromny szmat złotodajnego czarnoziemu, z olbrzymim, cudownym starym parkiem, pełnym stuletnich dębów, których pni dwóch ludzi objąć nie było w stanie, z obszernym dworem, zasobnym w dobro wszelakie, z kaplicą o parę kroków od bramy.

Druga część majątku, tak zwana "tamta strona" należała do stryjecznego brata mego ojca Aleksandra Z. W Rotmistrzówce przebywałam za czasów mego dzieciństwa krótko i pamiętam ją mglisto. Została sprzedana najprzód nasza połowa, potem stryja Aleksandra z niezrozumiałych do dziś dla mnie powodów, gdy miałam niespełna 10 lat.

Po likwidacji interesów, ojciec mój powierzywszy mnie babce, matce mamusi, sam przeniósł się do Mirgrodu, miasteczka położonego na samym pograniczu gubernji Kijowskiej i Chersońskiej. Była to już zupełnie stepowa okolica, olbrzymie przestrzenie pszenicy i buraków, które dawały wspaniałe plony, o ile wszystkiego nie wypaliła długotrwała posucha. Płaski krajobraz przecinały tylko szeregi wyniosłych mogił i liczne wiatraki. Była to jedyne punkty oparcia dla wzroku, który leciał aż na krańce widnokręgu swobodnie, podczas gdy dusza zdawała się nabierać skrzydeł w tem niezmierzonem przestworzu. Może dlatego tak bardzo ukochałam później morze, przypominające mi swoim bezmiarem i ruchliwem falowaniem rozkołysany, bezkresny obszar Ukrainy.

Mirgoród, gdzie ojciec mój kupił sobie duży dom z ogrodem, leżał w okolicy mianowanej przez ludność "stanicą Mohorta". Bliższych szczegółów tej tradycji nie mogłam się dopytać. Miasteczko dość spore położone było nad małą rzeczką, właściwie strugą, zupełnie przez całe lato wyschniętą. Niemniej był na niej porządny most, a za mostem drugie miasteczko Złotopol, które leżało jeszcze w gub. Kijowskiej. Kościół katolicki w Złotopolu ufundowali niegdyś moi pra-dziadowie, tam też na cmentarzu miejscowym spoczęli mój dziad i ojciec. Nie wiem z kx jakich lat pochodzi ta fundacja, ale w miejscowych papierach kościelnych musiały być jej ślady, gdyż ot-

wieramo nam zawsze uroczyście ławkę kolatorską, a po mszy św. ksiądz podawał nam patynę do ucałowania, co jak wiadomo potomkom fundatorów przysługuje.

Zwykle jeździłam w lecie do ojca mego na kilka tygodni. Z Widawy była to podróż daleka. Po drodze zawadzałam zwykle o powiat Czechryński, gdzie miałam rodzinę matki, Rościszewskich i Szymanowskich. Jeden z braci mamusi wziął w działach rodzinnych majątek ojcowski, Kossarę, i tam w owych czasach jako kawaler mieszkał. Druga część Kossary (te majątki ukraińskie były ogromne!) należała do starych wujostwa Franciszkostwa Rościszewskich. Najmłodsza córka ich Mena była moją rówieśnicą. Wychowywała ją panna Teofila Jurjewicz, dawna nauczycielka w domu Reszków, i o których nam żyw zawsze z zachwytem opowiadała, jako o ludziach niesłychanie kulturalnych i artystach z Bożej łaski.

W Kossarze czekałam na Tatusia, który po mnie swoimi końmi przyjeżdżał. Pewnego razu przyjechałam właśnie pierwszy raz po skończeniu nauk w klasztorze, a więc już jako dorosła panna. Mena przywitała mnie na wstępie wiadomością, że za dwa dni na św.Annę jest wielki bal w Tymoszówce u Szymanowskich. A tu jak na złość kufer z moimi rzeczami zawieruszył się w drodze... W owych czasach nikt nie zapychał przedziałów osobowych "walizkami". Oddawano je po prostu na bagaż. I ja więc miałam przy sobie tylko neseser z drobiazgami tualetowemi. Ale na balu w Tymoszówce przecie być musiałam!

Ponieważ pomimo natychmiastowych reklamacji na kolei nie można się było spodziewać, aby zaginiony kufer tak prędko się znalazł - zaczęło się przymierzanie sukien Meny. Najlepiej pasowała jedna z nich ciemno-zielona wełniana (był lipiec, i Ukraina, czyli 30 st. w cieniu...). W tej miałam jechać. Na bal panna służąca przypasowała mi suknię muślinową w duże grochy na żółtym taftowym spodzie. Podniecone, uradowane - jedziemy. W Tymoszówce, oddalonej od Kossary o wiorst kilkanaście ogarnęła nas na wstępie ta specjalna atmosfera: wykwit najwyższej kultury umysłowo-artystycznej w połączeniu z pełną życzliwości serdeczną gościnnością i ukraińską prostotą.

Po herbacie i jakichś bajecznych, rozpływających się w ustach kawonach (arbuzach) panny poszły przebierać się na wieczór, bo już gdzieś z okolic kredensu dochodziło strojenie instrumentów żydowskiej kapeli. Ale przy rozpakowywaniu naszej walizy nowy dramat: ani śladu żółtego staniczka pod moje batysty! Panna służąca zapomniała go włożyć!... Tego już było dla mnie za wiele, toteż rozszlochałam się jak dziecko! Do dziś dnia pamiętam, jak kochana, taka bardzo macierzyńska Ciotka Walunia Rościszewska tuliła mnie do swego obfi-

tego łona , a z ramion przeszłam w czułe objęcia zaalarmowanej pani domu Ciotki Muli Szymanowskiej, która pocieszając mnie, zapewniła, że posłaniec popędził już do Kossary co koń wyskoczy, i że za dwie godziny najdalej będę miała wszystko!

Tymczasem musiałam kimś tańczyć w mojej wełnianej sukni, wzbudzając sensację i ogólne współczucie. Około północy dopiero, już po balowej kolacji przebrałam się, a ten mój pierwszy w życiu bal, "bal z przygodami" nietylko dzięki tym przygodom wyrył się w mojej pamięci, ale z biegiem lat zapadał w niej coraz głębiej, w miarę jak rosła sława moich artystycznych kuzynów, w miarę jak o Szymanowskich było coraz głośniej... Nie zapomniałam nigdy, że kotyljona na tym moim pierwszym balu tańczyłam z Feliksem Szymanowskim. Po latach towarzyszyłam jego ostatniej wędrówce na wieś ciche Powązki, brałam udział w hołdzie, który naród cały składał wielkiemu Karolowi na Skałce, dziś gorąco opłakuję zgon ostatniego "słowika tymoszowieckiego" wielkiej pieśniarki, serdecznej mojej przyjaciółki osobistej Stasi, odwiedzam z pietyzmem na ulicy Raszyńskiej w Warszawie rodzinną, żywą relikwję przykutą od lat do fotela Ciotkę Szymanowską - i patrzę oczami wspomnień, oczami zamglonymi przez łzy w słoneczną, słodką Tymoszówkę, oazę polskości na Ukraińnym stepie, gniazdo artystów i wielkich serc.

Kiedy opita powietrzem, opalona gorącem słońcem tych otwartych przestrzeni, powracałam do cichego, ocienionego lipami dworu w Widale, babunia przypatrywała mi się badawczo, a zauważywszy "piegi pod oczami" i zniszczoną "płeć" (cerę), kazała myć twarz wodą ogórkową. Był to w owych czasach jedyny chyba dozwolony i powszechnie na Podolu używany środek kosmetyczny, "wodą" nazywany zupełnie niesłusznie. Była to bowiem nalewka z wódki na świeżych ogórkach. Latem, w każdej "garderobie" stały na oknach na słońcu butle z pokrajanymi w paski ogórkami, zalanymi okowitą. Płynu tego używano jako lekarstwa na oczy i jako "wodę toaletową". Rzeczywiście posiadała ona właściwości chłodzące i odświeżające, a i nawet do pewnego stopnia "wybielające". No i była jednym z dość licznych przetworów domowych.

Im dalej wstecz, w przeszłość mroczną, tym więcej oczywiście spotyka się dowodów zapobiegliwości gospodarczej w apteczce, spiżarni, piwnicy. Miasto i przetwory gotowe zastąpiły dziś w znacznej mierze to, co dawniej składało się na chlubny bilans dobrej gospodyni...

Zioła do apteczki zbierała panna Kosecka, jeszcze później stara klucznica Ortyńska, suszyła kwiat lipowy i dziki bez tak zwaną "bzinę", a także rumianek, w którym mi przez lata całe myto coraz więcej mimo to ciemniejące włosy...

Pożałem zbierało się zioła na wianuszki święcone w dzień Bożego Ciała. Był to śliczny zwyczaj, którego nigdzie nie spotkałam w innych częściach Polski. Na kilka dni przed świętem przepisywało się na wąziutkich paseczkach papieru cztery ewangelje, składało się ten pasek ~~kkk~~ kilkakrotnie wzdłuż, i na nim plotło z pachnących ziół i drobnych polnych kwiatów cztery malutnie wianuszki. Oddawano je następnie kościelnemu. Mniejsze zawieszał na monstrancji, większe umieszczał na ołtarzu. Chodziło więc o to, aby zrobić je jak najmniejsze. Ksiądz święcił te polne zioła, a potem zakopywano je na czterech rogach majątku na polach granicznych, jako obronę od gradu i wszelich klęsk. Babunia zawsze sama osobiście dopełniała tego tradycyjnego obrządku.

Od ziół przechodzę do innych szczegółów "kobiecej zapobiegliwości". Pomówić mi wypada o kresowej piwnicy. Win owocowych nikt wtedy nie fabrykował, kogo było stać, sprowadzał beczkę węgrzyna, lub wina francuskiego, w niejednej piwnicy starka nabierała z rokiem każdym cennego smaku i aromatu. Fabrykowano prawie w każdym starym dworze nalewki, wiśniak, śliwowicę, jarzębinówkę na przemarzłych jagodach. Wreszcie miód. Za mojej pamięci sycono jeszcze miody w niektórych domach, ale nie mogły one dorównać słynnym miodom "kapucyńskim", które robili księża z klasztoru w Konstantynowie. W Widawie był spory ich zapas, który babunia dostała ze swego domu rodzinnego Wodyczek, gdy wychodziła zamąż. Do Wodyczek przyjeżdżał co roku braciszek z klasztoru i przyrządzał prawdziwy nektar według swoich sekretów. Był to rzeczywiście "nektar", coś równie aromatycznego nie spotkałam nigdy w życiu. Zlewano go nie do butelek, ale do glinianych gąsiorków, w których stał w chłodnej i mrocznej piwnicy. Wydobywano go nadzwyczaj rzadko, przy bardzo uroczystych okazjach, za mojej pamięci raz tylko, na moje zaręczyny. Później, gdy chorowałam, przysłała mi babunia jeden taki gąsiorek. W wypróżniony nalewałam niewiem ilekrotnie spirytus, który nabierał zawsze tego cudownego "bukietu". Reszta, to co w piwnicy widawskiej zostało, przepadło oczywiście w czasie wojny i rewolucji.

W tych czasach zasobności kresowej, myślało się oczywiście o odpowiednim zaopatrzeniu spiżarni. Wędliny robiono u nas średniej jakości i jadano ich nie wiele. Wieprze bito głównie dla czeladzi, na mięso solone i słoninę, którą chłop cenił sobie tym więcej, im była starsza i bardziej zjełczała... Nabierała wtedy koloru kości słoniowej. Tej samej słoniny używali chętnie starsi chłopi jako pomady do włosów, no i do smarowania butów. Dziś - poszliby za to "pod stienkę", ale wtedy, "za panów" słoniny nie brakowało...

W spiżarni wisiały u pułapu ogromne wianki cebuli, której nać wplatało się w słomę, plotąc z niej rodzaj warkoczy. Schła w ten sposób doskonale i przechowywała się znakomicie. Na jesieni warzono w dużym kotle powidła ze śliwek. Odbywało się to niewiem dlaczego, zawsze na dworze, na specjalnym co roku ad hoc murowanym piecyku, który potem rozbierano... Gdzieniegdzie można było spotkać buljon domowy, zastygły w duże, ciemno-bronzowe krążki. Był to ekstrakt z mięsa i jarzyn niesłychanie esencjonalny i mocny, którego używano w małej ilości jako przyprawę do sosów, lub jako wykwintną zupę w filiżankach (do tego stawiało się surowe żółtko w kieliszku). W Widawie po śmierci starego Jana kucharza nikt go już robić nie umiał. Ale zapas przez niego sporządzony trwał długie jeszcze lata. Buljon robiono wtedy, gdy krowa jaka "na gołoledzi" (ślizgawicy) nogę złamała. O kupowaniu na ten cel mięsa nikt nawet nie myślał, choć "oko" to jest trzy funty kosztowało wówczas 12-15 kopiejek!... Ale gdy się zdarzył wypadek (a zdarzał się od czasu do czasu na śliskiej ścieżce do "wodopoju"), to praktyczność nakazywała go wykorzystać i w ten sposób zapas buljonu się powiększał.

Przez długie lata smażenie konfitur należało do obowiązków panienek domowych. Smażyłyśmy więc wszystkie te konfitury, drelowałyśmy nieskończone ilości porzeczek białych i czerwonych, robiłyśmy "suche wiśnie" w cukrze i śliwki nadziewane migdałami. Młodzi ludzie żartobliwie nazywali te wyroby "cnotami domowymi", ale my naszą roborę traktowałyśmy zupełnie na serjo. A że w owych czasach panienka do kuchni chodzić nie mogła, bo to i " gorąco od" płyty źle wpływa na płeć(cerę), i może coś niestosownego z ust służby usłyszeć, - więc murowano w ogrodzie kominki do smażenia konfitur, takie "coś" z paleniskiem i jedną dużą fajerką i na tem, w cieniu drzew fabrykowało się te specjały. Przepisów dostarczała ówczas już sławna (przez kilka pokoleń) Ćwieciakiewiczowa, pozatem były różne sekreta i w każdym domu jakieś "spécialité de la maison". Dwa takie prywatne, znakomite przepisy zdradzę. Jeden - widawski, na soki owocowe, drugi pani P.z Dachówki na konfiturę z róży.

Owoce dojrzałe, poziomki lub maliny wstawić w glinianym naczyniu do pieca po chlebie na całą noc. Rano przez płócienny woreczek przecedzić sok, nie wyduszając wcale owocu, tak aby płyn pozostał zupełnie klarowny. Zmierzyć go na szklanki, ile szklanek, tyle wziąć funtów cukru, który włożyć w naczynie mosiężne i tyle tylko wlać wody, aby cukier zamoczyć. Smażyć szumując starannie tak długo,aż syrop będzie się ciągnąć "na nitkę". Każda gospodyni wie,co ten termin znaczy. Gdy syrop gotów, zestawić z ognia i prędko wlać surowy sok mieszając. Wystudzić i następnego dnia zlewać w czyste

i suche butelki. Sekret polega na tym, że z sokiem owocowym nie gotuje się już wcale! Kolor i zapach tak przyrządzonego soku jest nadzwyczajny, i przechowuje się on doskonale, co wielokrotnem doświadczeniem stwierdziłam, nigdy bowiem inaczej soków na zimę nie robię. Jest to przepis cukrownika z Odesy, który w Wodyczkach robił kolację "cukrową" na ślubie mojej babki. Podawany z ust do ust przepis ten przechowywał się u nas. Dziś po raz pierwszy odbiegam od ustnej tradycji i podaję go na piśmie.

Drugi przepis na konfitury z róży jest również bardzo oryginalny. Listki róży centyfolii (gatunek specjalny, cukrowy, krzewy można dostać w każdej hodowli róż) przebrać starannie, oderwać białawą nasadę płatka, potem obficie skropić sokiem z cytryny i wygnieść rękoma tak mocno, żeby sok puściły. Tę wymiętoszoną masę różaną rzuca się na syrop (na 1 funt suchych listków 2 funty cukru, 2 szklanki z wody, i cytryna) i smażyć ostrożnie potrząsając tylko naczyniem, ale nie dotykając łyżką. Płatki się wyprostowują, nabierają przeroczystości, każdy pływa osobno w blado-różowym, wonnym soku różanym. Trzeba tylko smażyć ostrożnie i nie za długo, bo konfitura ta łatwo cukrzeje. Dobrze zrobiona jest prześliczna i wyborna.

Do samowystarczalnych procederów gospodarskich należało kręcenie skór i przygotowywanie przez personel stajenny włósia końskiego na materace.

Pierwsze było obowiązkiem rymarza, stałego pracownika na każdym folwarku. Obchodziłam go zawsze zdaleka, bo zajęcie jego łączyło się zawsze z jakąś katastrofą gospodarską, "odejściem w zdechliznę", jak się wyrażał pewien stary ekonom kresowy. A przytem w pobliżu nie pachło... Ale doskonale pamiętam prymitywny przyrząd, "koło" w które się skórę wkręcało. Miało to na celu wyciągnięcie jej i zmiękczenie po namoczeniu w garbnikach. Przyrządzanie włósia było mniej przykre. Koniom tak roboczym jak stajennym przycinano co pewien czas ogony i grzywy. Włósie to skrzętnie zbierał starszy furman, skręcał z niego bardzo ścisłe i twarde gałki, które następnie gotował. Przystępując do robienia materaca, należało włos rozskubać.

Za moich jeszcze czasów samowystarczalność gospodarstw kresowych sięgała do tego, że robiło się na miejscu "krupy" (kaszę) na żarnach i krochmal do bielizny z pszenicy. Krochmalu z kartofli, również w domu robionego, używano tylko do firanek, białych bluzek i sukienek letnich. Utrzymywano, że bielizna, która długo leży w szafie czekając na swoją kolej, od krochmalu z kartofli niszczy się i pęka. Przy takich zaś zapasach płóciennego bogactwa, jakie wówczas spo-

tykało się po wszystkich dworach, bywały sztuki, które szły do prania raz, czasami dwa razy do roku... (zupełnie jak dzisiaj, kiedy dwie zmiany jedwabnych "kombinacji" pierze się na przemian aż do zdarcia "luxem" na miednicy)...).

Z płókaniem bielizny po praniu była w Widawie cała ceremonja. Jeździło się z tym do stawu położonego w polu o jakie 4 wiorsty od domu (dziś na marginesie można by napisać uwagę: "Co ci ludzie mieli koni, służby i czasu!"). Wprawdzie sadybę widawską szerko dookoła otaczały stawy, było tego ze 100 morgów z górą - ale te stawy były płytkie, nie szlamowane, zarosły z biegiem lat szuwarem, tatarakiem i trzciną, przy brzegu pojono bydło i konie pławiono, więc woda była kurna brudna i zmącona. Nie było innej rady, tylko trzeba było wymościć wóz drabiniasty, na który pakował się francymer piekarniany wraz z "panną" czy praczką, oraz ładowano ogromny kosz bielizny i jazda! Nieraz małą bryczuszką jechałam z nimi, bo lubiłam patrzeć, jak się to odbywa.

Staw - szafirowy, okrągłe zwierciadło - w oprawie zielonych pól leżał w dole. Drogi doń nie było żadnej, tylko na miedzach wąskie ścieżki dla pieszych. Dojechawszy dokąd się dało, zatrzymywano wóz, wśród wesołych pisków i śmiechów dziewczęta zeskakiwały na ziemię, gramoliła się gruba panna Anna, napróżno starające się utrzymać w ryzach tę młodzież rozhukaną, "drugi" furman stary Zacharko okręcał o drabiny lejce i pomagał zdejmować kosz. Dwie najmocniejsze dziewczyny brały go za "uszy" i gęsiego, miedzą, wśród falujących zielonych lub złocących się zbóż, schodziło się zwolna w dół. Czasem z pod nóg zerwał się młody zajączek i kicał śmiesznie jak szara kulka z długimi nadmiernie uszami... Czasem frunęła przepiórka i zaraz zapadła w zboże, powtarzając niestrudzenie swoją zachętę: "pójdźcie żąć, pójdźcie żąć... " Z góry prażyło słońce, od wody szedł rzeźwy chłód. Kosz umieszczano na brzegu, dziewczęta stawały na wąskiej, daleko w głąb stawu wysuniętej kładce i z rozkoszą zanurzały ręce w czystą, letnią wodę. Płókały sztukę po sztuce i układały na stos. Lubiłam patrzeć na ich giętkie, zgrabne postacie, na wyprężone wysiłkiem młode, radosne ramiona. Bo one lubiły prać na stawie i ja o tem dobrze wiedziałam! Nie było tu wyziewów z balji, ciepłych i gęstych oparów z mydła, sody, która "żre" palce... Było cudowne, wonne powietrze od pól, i miękka woda, która ręce pieści, i jakaś swoboda ogromna, choć kładka wąska, a "panna" do pośpiechu nagli. Ktoby jej tam słuchał!... Do wieczora i tak zdążą... A choćby nawet płókać przy księżycu!...

Księżyc. Wschodził już czasem na pogodnem niebie, kiedy wóz wracał do domu, wolno, nie spiesząc się wcale. Konie szły stępa, czasem skubnęły kłos przy drodze, potrząsnęły głową, prychnęły wesoło... "Zdarow dietki" odpowiadał Zacharko. Dziewczęta siedziały cicho. Potem, nagle śpiewać się którejś zachciało... Poddała drugiej ton, tamta podchwyciła, melodja rwała się przez chwilę, aż z wszystkich piersi buchnęła pieśń, rzewna, rusińska piosenka: "Ne chody Hryciu na weczernyciu"... lub też nie mniej znana: "U susida chata biła".. Łamał się młody głos szlochem na ostatniej zwrotce: "A u mene ny chatynki, nema szczastia, nema żinki"... lecz już jadących dosłyszyły psy wioskowe, wypadły na drogę hałaśliwą gromadą, z ujadaniem gorliwszych i flegmatycznem poszczekiwaniem starszych i ~~xxxxx~~ doświadczonych kundysów. Urywała się piosenka, wybuchał natomiast gwar śmiechów i rozmów, wesołe pokrzykiwanie jadących na wozie do stojących przed chatami "znajomków", ochocze: "wiuuu... malutkie" i kłusem już, w tumanach kurzu wpadaliśmy na groblę, wóz i moja bryczuszka i zajeżdżaliśmy praczki do piekarni, ja przed ganek, gdzie na progu czekał stary Piotr, aby mi rękę podać przy zsiadaniu. Zeskakiwałam lekko, rzucałam lejce Demediowi, który tymczasem nadbiegł ze stajni, psy faworyty Babuni, dwa autentyczne kundle, bez kropli krwi szlachtnej, ale wierne i kochane, łasiły się do mnie, - a staruszka pobłażliwie, dla formy pytała: "Dlaczego tak późno, Wanduś?" - "Ach! Babuniu! - było tak cudnie!".

Tak, Często bywało tam cudnie. A co było najcudowniejsze - to ta zdolność chłonięcia Piękna, gdziekolwiek by ono się nie pojawiło. Piękno było w nas i dokoła nas. Wierzyłam wtedy, że gdy Piękno nas otacza, jesteśmy lepsi... I starałam się zawsze usuwać brzydotę... Ale rzadko bywałam zrozumianą...

Na Kresach mieliśmy wszędzie doskonałe konie. Własnego chowu, na podkładzie krwi arabskiej. Niektórzy nasi panowie byli to amatorzy i koniarze zawołani. Zabawną anekdotę przypominam sobie o proboszczu z Tarnorudy ks.K. i figlu, który mu jeden z moich kuzynów, Bohdan ~~xxxxx~~ Z. spłatał. Ksiądz uważał się za znakomitego znawcę, i rzeczywiście jak się u nas mówiło: "rozumiał się na koniach". Ale przechwałki jego drażniły Bohdana. Pewnego razu kupił on od proboszcza konia, jakoby "własnego chowu". Dużo się przytem gadało, ksiądz wynosił pod niebiosy zalety swego kasztana, twierdząc, że drugiego takiego na całych Kresach się nie znajdzie! Bohdan słuchał cierpliwie, a potem zabrał konia, w domu kazał mu szerść zgolić, obciąć

ogon i grzywę, a za następną wizytą proboszcza oznajmił, że ma dla niego coś "amatorskiego". Jakoż przyprowadzono konia przed ganek. Proboszcz obejrzał, zapalił się, dziwił się, że tak mu wzrostem pasuje, i ... własną habetę odkupił, dając o 50 rubli więcej, niż Bohdan przed dwoma dniami zapłacił! Dopiero jak mu furmani sokolniańscy buchnęli śmiechem, bo już wytrzymać nie mogli, pomimo szacunku dla "duchownej osoby"! ... Obraził się strasznie i przez jakiś czas nawet stosunki były zerwane. Nawiązały się potem, ale już nigdy odtąd z Bohdanem o koniach nie mówił...

W dobieraniu "różnomastnych" czwórek, w uprzęży nabijanej bronzami, w jaskrawych pasach kozackich, w dźwięcznych grelotach lub w głuchych "bałabanach" kochali się kresowcy. Kraj był tak rozległy i tak sam przez się "bajecznie kolorowy", że ta cała "karnawałowa maskarada", jak mi ktoś kiedyś określił nasze przedwojenne zaprzęgi, zupełnie się z tłem i z charakterem kraju i ludzi godziła. Szerokie drogi pozwalały na "kawalerską" czwórkę w poręcz do "szarabanu" (bryczki) zaprzężoną, blask od nabijanych pasów ze słońcem szedł w zawody, różnorodne dzwonki przy uprzęży były przy mijaniu się w jarach sygnałem ostrzegawczym, a głos ich szedł echem po polach rozległych. Wreszcie do zawadjackiej urody rusińskiego chłopca o ileż lepiej pasował kozacki strój i czapka na bakier z barwnym "osełedcem" (denkiem), niż używane w innych okolicach banalne "liberje" z guzikami herbowymi! W dziale zaprzęgów, tak jak w wielu innych działach naszego bujnego życia nie było szarzyzny, szablonu. Była fantazja, był kaprys, bogactwo wyobraźni - wszystko, tylko nie nuda!

Ale powracam do koni. Nie będę mówić o jarmarkach, bo wychował mnie dwór, w którym nigdy końmi nie handlowano. Nie kupowano ich tu nigdy. Były swoje. Ze stada, do roboty i do powozu. Smukłe, na suchych nogach, ślicznie zbudowane, z małą główką, wypukłym okiem i o rozdętych chrapach aksamitnych, rączе, a wytrwałe i mocne, kasztany po większej części - widzę je jeszcze przed sobą... Wszystkie swoje. Własne...

Babunia lubiła konie, żeby nie powiedzieć - kochała. Z kobiecym sentymentem, na który mężczyzna może by nie przystał... To był może zbytek. Ale gospodarstwo szło doskonale, majątek dawał dochody, długów nie było ani grosza, nawet bankowych - dlaczegoż więc starszak ruska miała sobie odmawiać tej przyjemności?... Kiedy umarł ekonom stary Rybiński, radzono babuni, aby Widawę wydzierżawiła.

Nie zgodziła się, bo nie mogła się zdecydować na zlikwidowanie stada... A kiedy po kilku latach do tego przyszło, zamknęła w sobie ten ból i nigdy już o koniach nie wspominała ani słowem. Odtąd bowiem były one dla niej maszyną, motorem, który poruszał jej lando czy karetę. Nie były już ukochane, własne!...

Był taki gniady, lejcowy, stary Prym. Boże! co to był za koń!... Nieraz kiedy w straszne błoto jesienne, lub zimą, gdy śniegu po dachy chat nasypało, jechałam, a Prym na przedzie. Miał już dwadzieścia kilka lat i zawsze się bałam, że mu się coś stanie, staruszkowi kochanemu! "Demediu - pytałam - a Prym? Czy nie za ciężko dla Pryma?? ..." Uśmiechał się tylko pod wąsem. "Temu djabłowi by co było!... Panienko! on nas wszystkich przetrzyma!..." I rzeczywiście, jak on ciągnął!... z każdej kałuży lepkim błotem wypełnionej po brzegi, z każdej zaspy wydobywał powóz czy sanie, jakby to była orzechowa łupina! Miał nogi żelazne "nietrącone" do końca i fantazję wichru stepowego. Kiedy wreszcie, w 27-ym roku życia poszedł na emeryturę, to jest pasł się razem ze źrebakami - trzeba było widzieć powrót stada wieczorem. Z daleka obłok kurzawy, tętent, jakgdyby goniło sto koni, i wreszcie w bramę podwórza wpadał Prym, zawsze na przedzie, tak jak przez całe życie, z rozwianą grzywą, krwawym okiem, wspaniały, wiodąc za sobą młode pokolenie, które ledwo za nim nadążyć mogło, za nim, starym, spracowanym weteranem lejcowym ! Zdechł pewnej nocy, nie chorując wcale. Gdy o tem zawiadomiono babunię, nic powiedziała ani słowa, tylko poszła do swego pokoju i zamknęła drzwi za sobą. A potem kazała go zakopać, tylko " broń Boże skóry nie zdzierać!" Kochała starego Pryma!

W Widawie były psy. Dar, olbrzymi dog popielaty, faworytka wuja Włodzia mopsiczka Gama (która z nim do Kossary pojechała), biała, w bronzowe łaty wyżlica Djana. ✠ Ale największe łaski babuni miały dwa kundle Żółty i Czarna. Tak je nazwała służba i tak pozostało. Były tak wybitnie "kundlowate", iż widocznie uznano, że nie zasługują na żadne "psie imię". Leżały przed oszklonymi drzwiami małego "gabinetu", gdzie piło się kawę po obiedzie i czekały cierpliwie, na chleb, który im babunia codzień sama dawała. Były bezkompromisowo wierne, a uczciwość tej najwyższej, nad-ludzkiej kategorji malowała się na ich mi ordynarnych pyskach...
Starzy przyjaciele, którzy mnie nigdy nie zawiedli!...

Od czasu do czasu przywoziłam sobie różne "psie faworyty", szczeniki nięta, ofiarowane mi przez sąsiadów. Były więc kolejno, Karo, jamnik czarny, podpalany, olbrzymi popielaty owczarek As, i żółty, najmilszy jamniczek Boy. Babunia nie uznawała psów w pokoju, więc się do tego stosowałam bez protestu, choć miałam dla siebie cały apartamencik, złożony z 4-ch pokoi, sieni i ganeczka z osobnym wyjściem na ogród. Nigdy nie przyszło mi na myśl wprowadzić tam któregoś z moich ulubieńców. Mieszkały zwykle w piekarni pod opieką klucznicy i tylko szalały z uciechy, gdy je brałam na spacer.

Kupiłam sobie wierzchowego konia. Nazywał się Hazard. Był to brudny kasztan, kurtyzowany. Pochodził z Królestwa. Kochałam go gorąco tego towarzysza moich samotnych spacerów w Widawie. Wprawdzie z polecenia i na wyraźne żądanie babuni zawsze towarzyszył mi na drugim koniu Demed, ale był delikatny i nie natrętny, a przytem nie bardzo mu się chciało hasać po polach "z wiatrem w zawody", więc miał mnie tylko zdaleka na oku. W przykładnej zgodzie wyjeżdżaliśmy i powracaliśmy razem. Miał mnie strzedz od wypadku, ale w jednym poważniejszym konflikcie z Hazardem ustrzegła mnie własna przytomność umysłu, a nie on. No i oczywiście czuwała nademną Opatrzność Boska!

Pojechałam dnia pewnego do pasieki w lesie. Na polanie ogrodzonej "częstokołem" (płotem) z trzciny, stał szereg "pni", prymitywnych uli, w których podkurzał pszczoły i podbierał miód stary pasiecznik Lewko. Mieszkał w budzie również z trzciny skleconej, nosił białe portki z domowego płótna i takąż koszulę. Był mężem gospodyni z piekarni Czarnej Paraszki. Owego dnia pogadałam z nim trochę o pszczołach i miodzie, przysunąwszy się z koniem tuż do częstokołu, i miałam już spokojnie zawracać, gdy nagle Hazard począł się rzucać i wierzgać jak szalony puścił się w drogę powrotną. Trzymałam się mocno w siodle (damskim oczywiście!), ale nad cuglami straciłam zupełnie panowanie. Koń rwał jak oszalały, tylko wiatr gwizdał mi w uszach. Nie wiedziałam kiedy wpadliśmy w otwartą bramę podwórza i w szeroko rozwarte wrota stajni. Jakimś ostatnim przebłyskiem przytomności schyliłam głowę, którą inaczej byłabym roztrzaskała o belkę górną i wyrzuciłam nogę ze strzemienia. W tej samej chwili, gdy zeskakiwałam, Hazard zwalił się wraz z siodłem w stos słomy, w której kwicząc zaczął się tarzać. Okazało się, że opadły go pszczoły. Szczęściem było ich niewiele, i wypadek skończył się na strachu. W dobrą dopiero chwilę po mnie przygalopował Demed (który miał gorszego konia) blady i przerażony. Nie pochwa-

liłam się przed babunią moją przygodą, i nauczona doświadczeniem, już nigdy nie jeździłam konno do pasieki!

Ale raz jeden obecność Demeda przydała się jednak, a jego zimna krew i trzeźwy chłopski rozsądek uchroniły mnie od nerwowego "szoku".

Wracałam konno z Sołomnej. Była jeszcze wczesna jesień, ale noc bardzo ciemna. Zapóźniłam się jakoś, i teraz jechałam stępa, ostrożnie, bo o dwa kroki nic nie widziałam przed sobą. Dojeżdżaliśmy już do Widawy, droga prowadziła koło cmentarza wiejskiego, od którego oddzielał ją tylko rów. Nagle za tym rowem, pomiędzy szeregiem mogiłek zabłysło światełko, wznosiło się coraz wyżej, migotliwe, ale wyraźne. Doszedłszy do pewnego poziomu, zaczęło się przesuwać chwiejnie wśród krzyżów, którymi było gęsto usiane to pole ostatniego spoczynku. Pomimo woli, włosy zjeżyły mi się na głowie. Nie miałam czasu nic pomyśleć, a już mi gardło zdławił skurcz lęku przed niewytłomaczonym zjawiskiem... Jakimś ostatnim wysiłkiem woli trzymałam się na siodle, czułam jednak, że jeszcze chwila, - a osunę się na ziemię... W tym okropnym momencie, odezwał się dźwiękiem ludzkim, och! jakże pożądany głos Demedia, spokojny, zrównoważony: "A to proszę panienki, widać grabarz kopał grób i wylazł z dołu, a teraz idzie do domu. Umarł stary Mekita, będą go jutro chować, a że to niedziela, więc grób dzisiaj przygotowali... Już ja sam myślał, że to duch. Bardzo się panienka przestraszyła?" - "Nie, Demediu, nie bardzo" - skłamałam na poczekaniu, rada, że była noc, i że nie spostrzegł jaka byłam ja blada.

Kiedyś znów na konnym spacerze widziałam chomiki. Wracałam nocą księżycową z sąsiedztwa i przejeżdżałam koło łanu żyta, z którego nagle, na zalaną miesięczną poświatą drogę, tuż pod kopyta koni wyszło kilka zwierzątek wielkości małego kota szczekając zajadle swoimi piskliwymi, cieniutkimi głosikami... Zapewne sądziły biedactwa, że są dla nas barzo groźne.. A groźne były tylko dla tych zbóż, które podgryzały i niszczyły swoimi korytarzami podziemnymi. Ale na szczęście było ich w tych czasach już niewiele, znikły, jak tyle innych właściwości fauny i flory tego stepowego kraju!.

Wilków na naszych kresach już nie pamiętam. Trafiały się nigdyś, ale nieliczne i kilka o nich opowiastek zapamiętałam.

Zjadły raz w Widawie starego "woziwodę" (koń, przeznaczony do wożenia beczek z wodą do gospodarstwa, kuchni i ogrodu). Nocował biedaczysko jak zawsze w szopie ogrodowej, której wrót widać nie domknięto. Nieświadomo dlaczego zachciało mu się spaceru w tę ksi-

życową noc?... Wylazł z szopy i powędrował przez warzywnik w dół nad stawy. Tam dopadły go rabusie, które widocznie z lasu, oczeretami po zamarzniętych błotach podkradły się blisko. Rano, gdy spostrzeżono jego nieobecność w szopie, zaczęto go szukać i po śladach trafiono na miejsce krwawej uczty, gdzie na zdeptanym i pokrwawionym śniegu zostało tylko parę kości... Znałam dobrze to miejsce i zawsze ze zgrozą i lękiem spoglądałam w tę stronę, zwłaszcza za dziecinnych lat.

Drugie zdarzenie nie skończyło się tak tragicznie. Babunia z ciotką moją wracały wieczorem z sąsiedniego Kumanowa. Droga wiła się w dole, u stóp wysokiej góry, na zboczu której ukazało się nagle kilka par ślipi, złowrogo błyszczących w ciemności. Konie poczęły tulić uszy i chrapać, sanie pędziły szybko po utartej drodze /może dźwięk dzwonków odstraszył drapieżników, a może nie były głodne... Dość, że nie ruszyły się z miejsca, strasząc tylko jadących swoimi groźnymi lampionami, złowrogo, łyskającymi wśród ciemności.

Trzecia opowiastka wkracza w dziedzinę humorystyki. Do jednego z dworów podolskich przyjechał zimą korepetytor z Warszawy. Po kolacji, poszedł do swego pokoju i otworzył okno, pragnąc odetchnąć świeżym powietrzem. Usłyszał jakieś dziwne, przeciągłe, żałosne wycie. Zaintrygowany, zadzwonił. Zjawił się chłopiec kredensowy. "Co to takiego?" - zapytał królewiak, wskazując ręką w kierunku otwartego okna. "Wilki, proszę pan" - odpowiedział flegmatycznie chłopak. "dowsi podchodzom". Tego było dla nerwów mieszczucha za wiele! Nazajutrz poprosił o konie na stację i wrócił w bezpieczniejsze strony. Nie miał w sobie widocznie materjału na bohatera!

Ani na myśliwego również!... Bo okoliczni panowie do największych przyjemności zaliczali wyprawy na wilki! Zimą saniami, z prosięciem na przynętę... Zwabione kwikiem, podchodziły blisko, na strzał, i niejedna wilczura służyła potem jako dywan lub ciepłe zimowe okrycie.

W zimie, gdy było dużo śniegu, na wąsko przetartym szlaku tworzyły się "wyboje", zaspy falowały ciągłymi spadkami, sanki wpadały i wypadały z tych krótkich wgłębień. Temu, kto nie był do tego przyzwyczajony, groziła morska choroba, niczem w djabelskiej kolejce w parku ludowym... Ponieważ na wąskich drogach groziło zderzenie, o ile kto drugi blisko jechał z tyłu, ostrzeżeniem przeciw temu niebezpieczeństwu był dzwonek uczepiony do dyszla każdego zaprzęgu. Jeden z naszych sąsiadów panicznie bał się takiego najeżdżającego z tyłu dyszla i jadąc, miał zwyczaj wołać co jakiś czas ostrzegawczo: "Ne nahaniajsia!" (co znaczyło: "nie najeżdżaj!"). Urządzono

mu kawał. Mianowicie do jego własnych sani uwiązano z tyłu dzwonek, który za każdorazowym szarpnięciem i wyszarpnięciem na wybojach, dzwonił donośnie. Całą drogę wrzeszczał swoje: "Ne nahaniajsia!", aż zachrypł, i dopiero w domu spostrzegł, że nikt za nim nie jechał i że go nabrano...

Kiedyś, na kuligu, zgubiliśmy jednego z jadących. Sań było par kilkanaście, na pierwszych muzyka, na każdych smolny kaganiec... Jechało się oczywiście nietylko hucznie i gwarnie, ale i po "kawalersku", tak, że sanie tylko zsmiatały na zakrętach. Zapewne na jednym z takich zakrętów stracił równowagę i wyleciał, ale w ogólnym hałasie, przy dźwiękach muzyki i kilkunastu rozmaitych dzwonków przy uprzęży - nikt nie usłyszał jego wołania... Dopiero, gdy wjechaliśmy na ogromną górę w Hreczanej, przyszło komuś na myśl, aby się porachować... "Brakuje Adama!"... Po chwili wynurzył się z tumanów śnieżnych, w ogromnym futrze, zmęczony gramoleniem się pod górę przez zaspy, wściekły. Przywitano go tryumfalną fanfarą i wybuchami śmiechu. Im bardziej się złościł, tym więcej się śmiano... Więc dał pokój...

Dziś jest statecznym, starszym panem, podobno siwym, ojcem rodziny i mieszka gdzieś pod Żywcem... Czy pamięta jeszcze, jak się gramolił pod śnieżną górę w Hreczanej?...

Jesienią zaczynały padać deszcze. W ponure dnie i w długie, czarne noce lały się z nisko nad ziemią nawisłych chmur strumienie wody, które wsiąkały w tłusty, bogaty czarnoziem kresowy. Na glebę tę składały się przez stulecia całe trawy stepowe, wysokie, bujne, gorącem słońcem nagrzane i twórczą jego moc w sobie chłonące. Rok po roku więdły z końcem lata, gniły, a pokłady ich stawały się zwolna próchnicą bezcenną. Kiedy mnie losy rzuciły na jałowe piaski Królestwa, gdy patrzyłam na wątłą i trud człowieka, zmierzające do powiększenia warstwy urodzajnej gleby, - dopiero wtedy oceniłam należycie, cośmy za skarby tam u siebie mieli! Ale w młodości, jesienią zwłaszcza nie rozczulałam się bynajmniej nad gatunkiem naszej gleby... Padało ciągle. Świat zmieniał się w jedną kałużę lepkiego, grząskiego błota. Schodziło się to z porą odstawy buraków do fabryk, więc wszędzie na drogach, na traktach, na niskich groblach ciągnęły nieprzerwanie długie sznury naładowanych małych chłopskich "podwód", zaprzężonych w niewielkie, niezwykłej wytrzymałości konie. Taki szereg wozów nazywał się "wałka". Przyczyniał się on niemało do spotęgowania bezdroży jesiennych. Koła obciążonych wozów wrzynały się w błoto i żłobiły w nim głębokie koleje, nieszczędne konie wytrwałymi nogami pracowicie miesiły tę ciemną maź... Z pagórków, z wyniosłych ścian ja-

rów spływała woda w dół, tam gdzie leżała droga. W każdym wgłębieniu powstawała kałuża, którą dopiero słońce wiosenne miało wysuszyć. Ziemia opita wodą, syta wilgoci, gardziła tym nadmiarem, nie chciała go przyjąć w swoje chłonne głębie. Zalegał na powierzchni szerokimi rozlewami, w które konie, wstępowały ostrożnie, prychając i zniżając ku nim pyski, nie wiedząc czy pod tą szklistą powłoką wodną nie czyha na nie głębia, w którą zapadną po brzuchy... Póki było można, póki brzegami drogi lub na przyległym polu znajdował się twardszy, mniej rozmokły grunt, omijano starannie "kołybanie" (bajury). Ale wkrótce stawało się to niemożebnem. Więc człowiek zaciął konie, i wjeżdżał w sam środek, a poczciwe stworzenia wyprężały karki i ciągnęły zacnie przyzwyczajone do tej jesiennej pracy i dho zaprzęgowane. Czasem zdarzały się katastrofy: od wysiłku pękły pasy, uprząż się w kawałki porwała, zaprzęg wyżej osi zapadł w błoto... Czasem konie ustały... Nie zabawką były jazdy jesienne!...

Jednemu z naszych sąsiadów zdarzyła się komiczna przygoda. Jechał z żoną "kocznem" (powozem) w cztery konie w poprzęg zaprzężone. Gdzieś pod wsią ugrzęźli, więc chłopi pośpieszyli z ratunkiem. Trzeba było powóz wydźwignąć, podważywszy go drągami. Jeden z parobków, krzepki i silny mężczyzna wziął panią Z. na ręce, aby ją przenieść przez błoto do pobliskiej chaty. Ale przerachował się z siłami... Niewiasta była dość okazałej tuszy, więc ramiona mu zemdlały w pół drogi, i niewiele myśląc postawił nieszczęsną w samym środku kałuży, oświadczając filozoficznie w kierunku zrozpaczonego męża: "Ne hoden..." to znaczy: "Nie jestem w stanie"... Poczem nacisnął na łeb czapkę, splunął i poszedł do domu, zły na siebie i na nią, bo i rubel przepadł i na śmiech się naraził, że "babie nie poradził".

O tem kto i jak wydobył biedaczkę, i jak wyglądała, kronika milczy. Ale sądzę, że długo pamiętała kresowe błoto jesienne!

Ratowanie grzęznących podróżnych należało w niektórych wsiach do wcale intratnych procederów. Toteż chłopi uprawiali go z zamiłowaniem i z całą znajomością sprawy. Co więcej - jak się wykryło - pomagali Naturze. W powiecie Płoskirowskim dojeżdżało do stacji w Wójtowce bardzo wiele osób z bliższych i z odległych okolic. Droga prowadziła przez wieś Krzywaczyńce, a w tych Krzywaczyńcach była jedna sławna "kołybania" przed samym kołowrotem, na wąskiej drodze, pomiędzy chatami. Kto ją zdołał przejechać jesienią bez porwania postronków - mógł się uważać za szczęśliwego. Grzązł w niej każdy. Chłopi nadbiegali, odkopywali, wydźwigali i - brali rubelki... Ażeby sobie zapewnić zarobek i zabezpieczyć się, że żaden przejeżdżający im nie umknie, umyślili drabiny przekopać wąskie rowki z górki, aby jeszcze

więcej wody do "kołybani" spływało... I gdy tylko z daleka usłyszeli dzwonki, brali łopaty w garść i wychodzili na spotkanie delinkwenta, pewni, że rubelek ich nie ominie.. Jakoż, gdy konie po kilku wysiłkach heroicznych, ale daremnych stawały- podchodzili bliżej, z miną niewiniątek, zdejmowali czapki i grzecznie ofiarowywali swą pomoc... Spemetrował jakoś tę sztukę dyrektor jednej z okolicznych cukrowni. Przy najbliższej sposobności, to jest jadąc do Wójtowiec ugrzązł oczywiście, a widząc nadchodzących chłopów, wpadł w pasję. Wylazł z bryczki, wziął bat do ręki i nie zważając na protesty własnego furmana, przerażonego takim odstąpieniem od tradycji, skierował się, zapadając w błoto po pas do pobliskiego dworu, aby stamtąd sprowadzić pomoc. Chłopi zgłupieli. Czegoś podobnego nie spodziewali się nigdy. Splunęli, i mruknąwszy z uznaniem: "a to czort bisowatyj!" (djabeł zwarjowany) poszli do domu. A tymczasem dyrektor, obłocony jak nieboskie stworzenie, klnąc na czem świat stoi, dobrnął do dworu, gdzie wyglądem swoim wzbudził ogólną wesołość. Zaproponowano mu kąpiel, przebrano w garnitur pana domu (dyrektor był wysoki i szczupły, właściciel Krzywaczyniec Sewer Z. gruby i niski).. A tymczasem dworscy ludzie wydobyli konie i szaraban z błota. Jadąc do domu cieszył się energiczny dyrektor, że dał chłopom naukę...

Wspominałam powyżej o wałkach z burakami. Na całych Kresach wszystkie dostawy robiono najętymi końmi, "podwodami" chopskimi. Odstawy były dalekie, ziemiopłodów ilość ogromna, żaden majątek nie był w stanie uskutecznić tego swoim zagrzebyke sprzężajem. Chłopi zaś na jesieni nie mieli roboty i chętnie tym sposobem zarabiali.

Wogóle stosunki rolnicze były u nas specyficzne, wynikające z miejscowych warunków. Stałą służbę na folwarku stanowili tylko "parobcy" (formale) do koni, a prócz nich kowal, stelmach, rymarz, gumienny tj.karbowy i jeden lub dwóch "prykaszczyków" (dozorców). Ci ostatni zwoływali ludzi ze wsi do roboty, bowiem reszta pracowników rolnych, to byli "najemnicy" podzienni. Przymusu żadnego, wychodził z grabiami, kosą i sierpem - kto chciał. I kłopotu z robocizną nie było, bo ludzi było dość. Wsie kresowe składały się z kilkuset, do paru tysięcy nieraz chat. W każdej chacie było kilkoro dorosłych członków rodziny do roboty. Każdy gospodarz chaty miał najczęściej ziemię, jednak nietyle, aby jej obrobienie zatrudniało wszystkich. Chodzili więc chętnie "na dworskie". Trzymały się wsie, gdzie dworu już nie było, gdzie grunta "pańskie" skonfiskowane były przez sąd rosyjski za udział w powstaniu w 63-cim, i rozeszły się pomiędzy chłopów. Mieszkańcy takich wsi nie byli jednak przez to zamożniejsi

ani skala ich życia nie była wyższa... Na ogół biedy, a tym więcej głodu na południowych Kresach nigdy nie było. Zaś chłop z bezpańskich wsi szedł chętnie na zarobek do okolicznych folwarków, żeby trochę grosza zarobić, choćby na machorkę i wódkę... A pozatem, oni lubili taką robotę gromadną, zbiorową na ogromnym łanie. Lubili jechać drabiniastymi wozami, które po nich posyłano, na pola odległe, w tumanach pyłu, wśród wesołego potrzaskiwania batów, śmiechu dziewcząt i parobków. Lubili śpiewać chórem przy robocie, lub powracając z roboty, niosąc na ramieniu kosy srebrzyste, które do zmroku dzwoniły na łące, lub zasunięte za pas sierpy krzywe, co kładły ciężkie przygarście pszenicy na niską, równą ścierń.

Zboża ozime żęto prawie wyłącznie sierpami (do chwili,kiedy pojawiły się żniwiarki), owsy i jęczmiona najchętniej koszono. Chodziło zdaje się o słomę, która używana była na poszycie dachów, i którą najrówniej cięło się sierpem. Wszystkie wiejskie chaty, a także przeważna część zabudowań dworskich, była pod strzechą. Nie było to dowodem ubóstwa. Przeciwnie! Zamiast słomę zużywać na nawóz, zużywano ją na pokrycie dachów... Stać było Kresy na takie "marnotrawstwo! Przecie nawet "młocarnie" (lokomobilę) opalano słową... Dziwne czasy i dziwny kraj!

Rano, skoro świt wychodził "prykaszczyk" na wieś. Szedł wzdłuż chat i wołał: "Ludy, a wychodit żaty! Ludy, a wychodit do burakiw!" (Ludzie, wychodźcie żąć! Ludzie! wychodźcie do buraków!).

W chatach wszczynał się ruch. W przeczystym powietrzu rzeźwego letniego poranka lub w mglistej szarudze jesieni wzbijały się z kominów smugi dymów, gotowano barszcz i kaszę, po zagrodach dojono krowy, karmiono świnie. Słychać było gdakanie drobiu, pianie wioskowych kogutów, niedbałe naszczekiwanie zaspanych wiejskich kundli. Wnet na szeroką drogę środkiem wsi wysypywały się gromady ludzi, chłopcy i dziewczęta, krasne "mołodyee" (kobiety zamężne) o ciasno chustkami spowitych głowach. Chłopi starsi z długimi, jasnymi włosami, w koszulach białych z domowego płótna. Ściągało to wszystko zwolna, bez pośpiechu, jakby w myśl nie sformułowanej zasady: "robota nie zając! nie ucieknie!" Pojawiał się na koniu ekonom, prykaszczyk krzyczał więcej dla fasonu niż z przekonania i potrzeby, pochylały się zgięte plecy nad łanem, a ziemia brała haracz ludzkiego trudu i potu. A górą szumiał wiatr, muskał świeżym tchnieniem zgrzane czoła, igrał z chustkami dziewcząt, z niepostusznym warkoczem, raz po raz buchał śmiech, zerwała się piosenka...

Wczesną wiosną ogromne łany buraków znaczyły się na czarnej roli długimi szeregami jasno zielonych, maleńkich listków. Więc "szarówka", spulchnianie ziemi pomiędzy rzędami małą ręczną "sapą" (gracą) czasem wyrwanie zielska, co zuchwale już wybujało ponad młodziutką roślinkę... Potem - "przerywka" na piątkę, w odległości od pierwszego do piątego palca rozciągniętej dłoni, zostawiając spośród buraków najmocniejsze. Wkrótce rzędy się rozrosną, i ziemię przykrają. Ale zanim to nastąpi, znów pleć trzeba i ziemię wzruszać, robota do lata nieustanna. Później, niech rosną, niech piją słodycz, którą słońce składa w ich buję, ciemno-zielone liście, które z liści czerpią białę, cukrodajne korzenie. Wilgoci wiosną, a latem upału trzeba i słońca, a plon obfity i pełny!

Do obrobienia ogromnych obszarów, obsianych burakami nie wystarczało czasem ludzi z "własnej" wsi. Posyłano wtedy do wsi sąsiednich, oczywiście "chłopskich". Bo zabranie komuś robotnika z przed nosa, z jego wsi, to była wogóle rzecz nie praktykowana! Zato na gruncie neutralnym, we wsi chłopskiej, odbywały się nieraz formalne licytacje, kto da więcej?... przy akompanjamencie kataryki i małpy... Właściciel majątku do tego się nie mieszał, wojna sąsiedzka rozgrywała się pomiędzy ekonomami, a ci literalnie prześcigali się w pomysłach, byle do siebie jaknajwięcej ludzi ściągnąć. Więc oprócz podwyższania o kilka kopiejek płacy, na wozie, który się po ludzi posyłało - katarynka! ... Uch! co za uciecha! Muzyka będzie na polu grała podczas roboty! Trzeba bowiem znać pasję kresowego chłopa do muzyki i śpiewu ... Ale pojawia się na drugi dzień w drugim majątku jeszcze większa atrakcja: na katarynce siedzi małpa... prawdziwa, żywa małpa! która stroi pociesme miny i z pudełka losy wyciąga! A nuż się wygra grzebyk, albo lusterko?... A może wstążki kawałek, albo machorki paczkę?...

Te konkurencyjne metody były jednak uważane za niezdrowe, i ogólnie je potępiano. Samo już podwyższenie płacy nie jednych sąsiadów ze sobą poróżniło. W ostateczności zaś było tak, że jak mówi przysłowie: "cygan zawinił, a kowala powiesili"...Ekonom nawarzył piwa, a właściciel musiał wypić.. Opinja sąsiedzka była na te rzeczy bardzo wrażliwa, więc każdy się pilnował, i jeżeli co przeskrobał w tym względzie, to we wczesnej młodości, w pierwszych latach samodzielnego gospodarowania i... gorliwości.

Na południowych kresach lato człowieka goni. Zaledwie wiśnie zakwitły, umilł słowik w sadzie, a żaby w stawach grać przestały, zaledwie z łanów buraczanych zeszli robotnicy po skończonych pracach wiosennych - już trawy na łąkach doszły, już o kosę proszą... Padają pod jej ostrzem pokosy zielone, przetykane białym rumianem, i smółką różową, przepojone słodką wonią macierzanki i mięty i gorzkim a zdrowym zapachem piołunu... Słońce wypija z nich rosę, wypija wilgoć i życie, więc schną i jak ofiarne tryhularze dymią jedynym w na świecie, cudownym aromatem siana. Idą dziewczęta z grabiami, rozrzucają pokosy, potem w kopice składają bogaty dar wonnej łąki.

A tu już żyto szumi kłosną falą, i przepiórka woła, i pszenica się złoci, a w owsach i jęczmionach wielki ruch się czyni od zajączków, które ze ściętych ozimin wędrują i wszystkiemu bardzo się dziwią... Wyjdzie taki malec na miedzę, postawi słuchy i patrzy. Podchodzę blisko, bliziutko... Jestem Jestem sama, psy zostawiłam w domu, nie lubię gdy chodzą w pole i płoszą zwierzynę, której tu u nas tak niewiele. Zajączek spostrzeże mnie, pokica parę kroków i znów siada. Jaki śliczny! I wcale się mnie nie boi!... Czego ma się bać? Przecie wie, przecie rozumie, że mu nie zrobię nic złego! Popatrzę tylko, popieszczę wzrokiem i życząc mu słodkiej drzemki w kotlince - odejdę. Przepiórki ,małe szare kulki toczą się przedemną stadkiem. Nóżki mają takie malutkie, a tak szybko biegną! Mój Boże! jaki cudny ten świat i wszystko, co na nim żyje!

Kuropatw tu prawie nie spotkać, za śnieżne nasze zimy, nie uchowałyby się biedactwa, nie zdołałyby do żywności się dobrać. Kraj dziki, natura pierwotna. Wytworny bażant, ozdoba kulturalnych zagajników nie zawadzi również o te lasy, gdzie nocą nad gniazdami uśpionych ptasząt pohukuje sowa, a we dnie lis się skrada, rudą kitą migając wśród hasszczy.

Zato ptactwo błotne w ilości niesłychanej. Bekasy, bąki, kuligi, kaczki dzikie w licznych odmianach. Kiedy wczesnym rankiem lub o zachodzie słońca wyszłam w widawie nad stawy w ogrodzie, to zielona gęstwina wodna aż trzęsła się od gwaru i życia. W dzień to się wszystko przyczajało, zapadało, tuliło gdzieś w gniazach, ale gdy słońce jeszcze nisko stało na niebie, lub już się do zachodu kłoniło - to cała ta rzesza skrzydlata wychodziła z ukrycia i donośnym nukaniem, cichutkim kwileniem, melodyjnym świerkaniem dawała znać o sobie. Zahuczał głucho bąk, cyranka śmigłym lotem przeszyła zapadający mrok, pobłażliwie zakwakał kilkakrotnie stary kacsor o zielonej aksamitnej szyi...

"Na łódce, w milczeniu, w zielonych traw cieniu
"Z zadumą głęboką u czoła,
"Usiadłam tak cicho, jak staw gdy oddycha
"Spokojem ogromnym dokoła...
"Ni wiatru podmuchu, ni szmeru, ni ruchu,
"Błękitu szmat czysty bez chmury,
"A w dole zwierciadło, na które upadło
"Odbicie turkusów tam z góry..."

Łódka była stara i dziurawa... wiosło tylko jedno... Stała na tak zwanej "starej kępie" zasunięta w szuwary. Podobno dawniej w tem miejscu była łazienka i doskonała, czysta woda na kąpiel. Za mojej pamięci zakątek ten, wciśnięty klinem w ogród, pomiędzy białe krzewy Czeremchowe, służył celom mniej praktycznym. Był moją "świątynią dumania". Wchodziłam do łódki ostrożnie, aby w nią wody nie nabrać, i siedząc w suchym jej dziobowym końcu, przeżywałam całą kwartę bogatą gamę młodzieńczych nastrojów. A potem, nałykawszy się poezji i marzenia do woli, w zakątku tym do marzeń stworzonym, wracałam do życia powszedniego, które toczyło się wartką falą, to prześwietlone krzyżyk słońcem nagłej radości, to odświeżone słoną rosą łez krótkotrwałych i zmierzało w Niewiadome z konsekwentną kolejnością dnia, co się kończy i słońca co wschodzi. Mijało życie.

Mijało życie, a pory roku zmieniając się kolejno, przynosiły różnorodne wrażenia myśliwskie. Wczesną wiosną szło się na ciągi słonek i dzikich gęsi, w połowie lata zasiadało się z którymś z kuzynów albo młodych sąsiadów na Mazurkowej Grobli i czatowało o zachodzie słońca na przelot kaczek ze stawów na polowe żerowiska. Zimą, księżycową nocą, w malutkich saneczkach, zaprzężonych w jednego konia, cyk wyjeżdżało się pod las na lisa, ale umknął najczęściej niecnota! A jesienią - jesienią byłły czasem dropie.

Stepowy ten ptak, wielkości dużego indyka trzyma się stasami, żerując pod wieczór na ściernikach. Na Podolu pojawiał się od czasu do czasu i wtedy myśliwi dostawali poprostu gorączki. Drop jest niezmiernie trudny do podejścia, dostać go na strzał - było marzeniem kresowego myśliwca. Kilkakrotnie brałam udział w takim polowaniu. Pod koniec sierpnia, kiedy podolskie łany złociły się rozległymi ściernikami (z podorywką nikt się zbytnio nie spieszył) wypatrywało się zdaleka dropie, stojącego na czatach. Gdzieś, w pobliżu musiało znajdować się stado... Podjeżdżało się bryczką jaknajbliżej, zataczając dokoła pasących się ptaków coraz ciaśniejsze kręgi. Potem myśliwi cichutko schodzili, czołgali się pobliskim rowem lub przypadali do ziemi co parę kroków, zbliżając

się zwolna, ale stale. Serca biły przyśpieszonym tempem, oczy bystro badały odległość... I najczęściej, gdy już podnosili strzelbę do skroni, odzywał się nagle jakiś chrapliwy, ostrzegawczy głos... gardłowy krzyk dropia na czatach. Przepadło ! W jednej chwili stado pierzcha, ucieka piechotą z niesłychaną szybkością, potem ciężko zrywa się do lotu, i zapada daleko, tam... tam.. znów na ściemisku... Z zapartym tchem śledzi się kierunek ucieczki, i znów rozpoczyna się podjeżdżanie, podchodzenie, znów zawód, czasem pudło, niesłychanie rzadko tryumf łowiecki!... A mimo to jednak, gdy tylko polowy dał znać, że dropie są - jechało się na nie!

Bo prawdziwa rozkosz polowania - to nie strzał, nie mord, ale wszystkie wrażenia i doznania uboczne, powietrza, przestrzeni, pędu zapadających mroków, w których gubi się zarys kształtu, to ramy, w których odbywa się ten wyścig śmierci, las, pole, staw, rzeka, złote ściernisko lub puszcza mroczna, to wreszcie walka rozumu ludzkiego z instynktem zwierzęcia. Gdzie tego niema - tam jest rzeź, masowy mord, jatki... Kupiec czeka na zwierzynę i płaci umówioną cenę.. Ten charakter polowaniu nadaje cywilizacja. Ale myśmy na Kresach byli "dzicy" ... i u nas tego nie było! Dlatego lubiłam towarzyszyć naszym myśliwym, gdy zarzucali strzelbę na ramię...

Na kresach łany były nieraz bardzo od folwarku odległe. Toteż po skończonych żniwach następowała "wozowica". Całą krescencję (zbiory) zwożono z pola na "tok". Tok był to obszerny plac, na którym mieściła się zwykle ogromna stodoła, z wielkimi wierzejami w obu szczytach i szeregiem bram w ścianach bocznych. W niej zsypywano wymłócone ziarno na olbrzymie kupy, w niej stały młynki i wialnie do czyszczenia zboża. Tu napełniano i ważono worki dla kupca.

Zboża w snopie nie chowano nigdy pod dach. Było go za wiele... W roku urodzajnym kopy na polu stały gęstymi sznurami jedna obok drugiej. Pszenica bywała gęsta jak las, żyto wzrostu wysokiego mężczyzny. Taki wielki urodzaj nazywano "pererod" i opowiadano wówczas żartobliwie, że trzeba było pole wynajmować od sąsiada, bo nie było już gdzie kóp ustawiać... Zwózkę zboża, tak zwaną "wozowicę" uskuteczniano przy pomocy najętych "podwód" chłopskich, szereg małych wozów zaprzężonych w niewielkie mocne konie zwoził z pola snopy, z których "specjaliści" układali sterty ogromne, prostokątne. Stały te sterty jedna obok drugiej, przegrodzone wąskim tylko przejściem wygracowanym i zamiecionym. Miejsce pod nie wymierzał ekonom, gumienny chodził dokoła i płaską deską osadzoną

na kiju uklepywał ściany sterty zwartej i niesłychanie ścisłej. Na górze robiono ze snopków coś nakształt poszycia na dach. Tak precyzyjnej i pięknej roboty nie spotkałam nigdzie. Nie bez znaczenia była okoliczność, że zboże żęto sierpami. Snopy były niesłychanie równe, mocno powrózłem ściągnięte, nie zwichrzone.

Bezpośrednio po skończonej "wozowicy", która podnosiła na wyschniętych drogach tumany kurzu, "prochu", jak u nas mówiono, - rozpoczynało się młockę. Mało kto posiadał lokomobilę na własność. Wynajmowano ją od specjalnych przedsiębiorców, którzy pobierali zapłatę od ilości wymłóconego zboża. Byli to po większej części wzbogaceni ekonomowie, czasem rzemieślnicy, prawie nigdy żydzi... Jakoś widocznie tym ostatnim interes ten się nie opłacał.

Lokomobile, jak już wyżej wspomniałam, opalano słomą, i ustawiano je zawsze poza obrębem "toku" z obawy przez zaprószeniem ognia. Młócono na jesieni jednorazowo wszystko, poczem sprzedawano to, co było na sprzedaż, a odstawiwszy na kolej najętymi "podwodami" zbyt chłopskimi, rachowano zyski, i stosownie do nich, układano projekty wyjazdowe na zimę: do Lwowa, do Warszawy, do Kijowa, lub zagranicę - na co kogo było stać.

Zanim się jednak ze zbożem skończyło, zanim się buraki do cukrowni odstawiło, zapadała zwykle zima. Po szarugach, błotach i wichrach jesieni, świat uspakajał się i przytulał do snu pod białym śnieżnym przykryciem. Wieczory były długie i dużo czasu do czytania. Mieliśmy w okolicy bibliotekę ruchomą, nowości w języku polskim i francuskim. Książki te wędrowały od domu do domu. Prócz tego kupowało się niejedno dzieło lub powieść, stosownie do swego gustu. Pismem codziennem na południowych kresach był Dziennik Kijowski. W Widawie babunia prócz tego prenumerowała "Słowo Polskie" (red.Straszewicz). Mieliśmy też zawsze "Tygodnik Ilustrowany". Bezcenne premje tego pisma przez długie lata wzbogacały nasze biblioteki dziełami Sienkiewicza i rozpowszechniły pomiędzy nami zachwyt i cześć dla wielkiego pisarza. W "Ogniem i mieczem", w "Panu Wołodyjowskim" mówił on o okolicach, które tak dobrze znaliśmy, wymieniał miejscości, które nas otaczały. Jakże był nam bliski i drogi! Oddaleni setkami mil od Polski tym niemniej czuliśmy się zawsze jej dziećmi. Byliśmy tam i czuliśmy się żywym szańcem na rubieżach kraju, wałem piersi, w których polskie ~~sss~~ serce bije. Na Kresach hodowaliśmy, z Kresów wynieśliśmy miłość ojczyzny. Byliśmy, jak to pięknie wyraziła Zofja Kossak w "Trembowli", ... "obywatelami na ziemi, która nam wszystko zawdzięczała, która tylko dzięki zbrojnemu ramieniu na-

szych przodków, polskich rycerzy, mogła żyć i rozwijać się".

I niech mi będzie wolno w dalszym ciągu słowami wielkiej pisarki opowiedzieć o dziejach naszych przed wiekami tu, na tych Kresach, dzisiaj nam wydartych.

..."Gdy pierwsze zastępy rycerzy zwanych "granicznikami" przyszły tu za Kazimierza Wielkiego, z dawnej świetności ruskiej nie było już ani śladu. Wzk wspaniały rozwój, wyprzedzający inne ruskie plemiona, wielkość Włodzimierza, stosunki z Bizancjum, sztuka i pieśni zginęły i dopiero miano odszukać ich ślady. Nieudolność własnych skarlałych dynastji, kolejne najazdy Mongołów i Wielkorusów pogrzebały przeszłość ruską. Na wyludnionych pustaciach nie było nic, oprócz ruin, a ludność z przyrodzenia rolnicza żyła życiem koczowników - ze strachu. Błogosławieństwem stał się napływ polskiego rycerstwa, co wzięło w opiekę wyludnioną ziemię wzniosło strażnice i zamki graniczne. Wokół strażnic skupili się zaraz rodowcy i towarzysze, tworząc razem wspólną siłę, a dopiero ku tej sile ściągnęła ludność miejscowa, poszukująca obrony. Powstawać znowu zaczęły osady i wsie. I gdy w innych dzielnicach różne czynniki kształtowały oblicze kraju, tu na kresach ruskich wszystko było wyłącznie dziełem szlachty polskiej. Ona stworzyła, cokolwiek z dzieł ludzkich zostało tu stworzone. Ona ponosiła odpowiedzialność za dobro, zarówno jak za zło. Na otwartej, białej karcie pisała, co chciała. Lud ruski, właściwy gospodarz tej ziemi nic jeszcze sam o sobie nie wiedział. Gdy w zdolniejszych swoich jednostkach osiągał samowiedzę, polonizował się, nobilitował, przechodził duszą i sercem do obozu szlacheckiego, stawał się jednym z rycerzy, składał najwyższe dowody męstwa, ofiarności i szczerej miłości ku wspólnej Matce - Rzeczypospolitej. Bo narodowość miała tu mniejsze znaczenie niż stan. Więc dlatego może szlachta kresowa tak miłowała te strony, że one były jej tworem, dziełem, jej odbiciem, od niej zależały. Gdyby rycerstwo kresowe opuściło swe stanice, bodaj na parę miesięcy, kraj natychmiast powróciłby do stanu pustki przed-kazimierzowskiej, spustoszony przez Tatarów, Beskidników i wszelkie zbójeckie żywioły, gnieżdżące się w stepach podolskich lub górach karpackich".

I dalej jeszcze:... rycerze osadnicy z rodów co najprzedniejszych osi, co woleli walczyć z poganami, zabudowywali się gęsto, stawiając dwory blisko obok siebie dla łatwiejszej wspólnej obrony. Czystości klejnotu strzegli bardzo pilnie, a gdy od Turka był spokój, gospodarzyli na roli. Zatknąwszy szable na k miedzy, orali niezaludnione połacie, odwracali skiby czarnoziemu nie uprawiane od lat,

ani się domyślając, jak doniosłą służbę sprawują, budowali zwartą polskość, mocny fundament Rzeczypospolitej, mur warowny, strzegący wnętrza Ojczyzny od wroga, - a miłując ten kraj piękny, ich obecności możność istnienia zawdzięczający, - czuli się szczęśliwymi".

Szczęśliwi się czuli w lat kilkaset później potomkowie "granicznych rycerzy", szlachta kresowa Podola, Wołynia i Ukrainy. I miłowała kraj swój ogromnie, i ma uważała, że pełni straż przedmią i "czystości klejnotu" strzegła pilnie... Za złe jej to dziś często mają.. za obskurantyzm i śmieszności poczytują.. Ale czyż mogło być inaczej?... Prawda, że może nigdzie nie byli ludzie tak czuli na punkcie tego "kto go rodzi?". Było to koniecznie niegdyś później naturalne. Niegdyś, drogą selekcji musiała tu powstawać elita. Później, weszło to już w krew i obyczaj. Znaliśmy też koligacje wszystkich naszych rodów na pamięć. Byliśmy z nich dumni. Nosiliśmy wysoko głowę i tarczę herbową.

Zdarzały się na Kresach żywiołowe klęski rolnicze. W Kijowszczyźnie koszmarem gospodarzy była "heska mucha" i długotrwałe posuchy. Zarówno tam, jak i na Podolu pędraki potrafiły podgryść i zniszczyć setki morgów buraków cukrowych, a bronić się od tych szkodników było na tych ogromnych obszarach poprostu niepodobieństwem. O szarańczy stepowej za mojej pamięci już się nie słyszało. Ale pewnego razu Rybiński przyniósł trzy żywe sztuki tego strasznego owada, i opowiadał, że leciała ich cała chmura, coprawda nieduża, te spadły, a chmura poszła dalej i nie dowiedzieliśmy się nigdy, dokąd zawędrowała w swoim złowrogim locie.

Natomiast pamiętam doskonale najście gąsiennic, nie powiem tylko dokładnie, który to był rok :1899 czy 1900?

Raz po raz zaczęły nas dochodzić alarmujące wieści, że w sąsiednich majątkach pojawiły się na polach buraczanych miljardy liszek, w przeciągu kilku godzin zżarły wszystko, i popełzły dalej, potworną, ruchliwą ławą... Sądzę, że tak wyglądać mogła jedna z plag egipskich. Opowiadano, że na stacji w Wójtowcach przechodziły właśnie przez tor kolejowy w chwili, kiedy pociąg jakiś miał ruszyć. Ale koła lokomotywy ugrzęzły w ślizgiej mazi i kręciły się bezskutecznie na miejscu... Musiano przyczepić z tyłu drugi parowóz i popchnąć pociąg... Tego faktu nie stwierdziłam, być może, że był on już wytworem chorobliwie podnieconej wyobraźni. Ale widziałam na własne oczy, jak zniszczonym został łan buraków w Widawie. Kiedy dano znać, że "gąsiennica idzie", babunia kazała zaprządz do "amerykanki" i pojechałyśmy. Pole było odległe, na Sołomiańskiej Dębi-

nie", więc zanim stanęłyśmy na miejscu, połowa była już zeżarta. W naszych oczach, z nieprawdopodobną jak na pełzający owad szybkością posuwała się brunatno szara lawina, i nikły pod nią dalsze rzędy zielonych buraków. Wpół godziny nie było nic. Siedziałyśmy bez słowa, poprostu przygniecione widokiem tej fantastycznej klęski. W pewnej chwili, gdy już tylko pasek zieleniał się na końcu łanu, stary Zacharko splunął i nie pytając babuni, - zawrócił do domu.

Oczywiście, po jakimś czasie buraki się odnawiały, ale były już słabe i plony tego roku były wyjątkowo marne. Każdy, już w czasie tej piekielnej wędrówki zdawał sobie sprawę, że inaczej być nie może. Była to dla miejscowych rolników sprawa niesłychanie ważna i żywotna, toteż gąsienice i buraki były przez jakiś czas wszędzie jedynym tematem rozmowy. Sprzykrzyło mi się to pani Jadwidze J. Osoba ta bardzo inteligentna, o szerszych aspiracjach i ambicjach artystycznych postanowiła stanąć do walki z "psychozą buraczaną?... Na stole w salonie bębnowieckim ją postawiła skarbonkę, i ktokolwiek wspomniał o burakach, - płacił rubla na Macierz Szkolną.

Macierz Szkolna, Wóz Drzymały, Dzieci Wrzesińskie, rewolucja w roku 1905, bojkot szkół rosyjskich, młode, upragnione szkolnictwo polskie, - wszystko to były sprawy, które znajdowały żywy oddźwięk w naszych sercach. Natomiast z niepokojem śledziliśmy działalność bojówek PPS, które zwolna przeobrażały się w bandy... Gazety przynosiły wiadomości z "Korony" o napadach, morderstwach i rabunkach...

Pewnego dnia podczas rannego śniadania Piotr zaanonsował: "Przyjechał jakiś obcy pan i chce się widzieć z J.Panią".

"Zobacz, kto to taki i czego chce?", poleciła mi babunia. W kancelarji zastałam młodego człowieka, średniego wzrostu, szczupłego blondyna, który nie przedstawiając się podszedł do mnie mówiąc: "Jestem członkiem Bojówki PPS, zbieram składki na nasze cele, oto moja legitymacja i kwitarjusz. Proszę o 25 rubli". "Nie mam wcale zamiaru popierać Bojówki" powiedziałam spokojnie. Zaczęliśmy się sprzeczać. On chciał mnie przekonać, ja zbijałam jego argumenty... Rozmowa stawała się gorąca, ale bardzo interesująca. "Jakto - mówiłam - walczycie o wolność, o swobodę, a pan mnie tu nachodzi i z góry wyznacza mi sumę, którą mam dać na cel, nie pytając mnie wcale czy z tym celem się zgadzam, czy nie!" Zdaje się, że w gruncie rzeczy bawiła go ta czupurna dziewczyna z warkoczem na plecach i w krótkiej sukience, która, jego groźnego rewolucjonisty, wcale się nie bała!..."Niech pani da 3 ruble i konie do Rumianowa" - za-

decydował wreszcie. Dostał rubla i kazałam czemprędzej zaprzęgać. Pożegnał się bardzo grzecznie i na odjezdem się przedstawił. "Jestem Czaski". Nazwisko wydało mi się trochę sztuczne, ale byłam rada, że się go pozbyłam i wróciłam do babuni. Kiedy się staruska dowiedziała, z kim miałam do czynienia, przeraziła się nie na żarty. Obawiała się, aby mnie jako młodą dziewczynę nie wciągnięto w jakąś aferę polityczną. Piotr miał nakazane, aby w razie czego, mówił, że wogóle nic nie wie. Zwłaszcza niewolno mu wspomnieć, że to ja pertraktowała, z tym jegomościem. Babunia miała wziąć wszystko na siebie, wnioskując słusznie, że o ile policja rosyjska wpadnie na trop tego "bojówkarza", to sprawa dla niej będzie mniej groźna niż dla mnie...

Jakoż aresztowanie pana Czaskiego nie kazało na siebie długo czekać. W parę dni później siedział już pod kluczem. Znaleziono przy nim jakieś pieczęcie, kwitarjusze i spory zapas gotówki. Po nitce do kłębka, sprawdzono dokładnie w jakich dworach zdążył być. Objechał kilkanaście. Tam, gdzie byli w domu panowie, nikogo nie pociągnięto do odpowiedzialności. Mężczyźni wiedzieli, jak sobie radzić w podobnych wypadkach, i odrazu sowicie opłacili się policji. Dano im spokój. Ofiarą padły trzy starsze panie w okolicy, w ich rzędzie moja babka... Wytoczono bojówkarzowi sprawę a staruszki wezwane zostały na świadków. Wszystkie trzy, nawet nie porozumiawszy się ze sobą, wzięły od doktora świadectwo, że są chore i stawić się nie mogą. Odroczono sprawę. W następnym terminie - to samo. Coś za trzecim razem, sędzia odczytując te usprawiedliwienia, wszystkie jednakowo brzmiące: "Właścicielka majątku... lat 75 itd..." zauważył: ci trzej świadkowie razem to mają z górą 200 lat!". Sprawę z braku dowodów umorzono i ptaszka wypuszczono na wolność. Nasi panowie utrzymywali, że policja robi to z premedytacją... Jak znowu zbierze trochę gotówki, zo się go znów przymknie... Przecie oni mają z niego doskonały dochodzik!"...

Nie wiem, jak tam było naprawdę, ale w parę miesięcy potem przyszedł do mnie wieczorem Piotr wielce podniecony, mówiąc: "Przyjechał pan Czaski, kazał się panience kłaniać i prosi o trzy ruble..." Dostał znów tylko rubla i polecenie, aby się jaknajprędzej wynosił. Jestem skłonną przypuszczać, że był to zwyczajny złodziejaszek, podszywający się pod partję, aby sobie dodać znaczenia...Był tak głupi, że się znów dał złapać. Potem już nie słyszano o nim więcej.

Drugą "polityczną" przygodę miałam już po ślubie moim w Stanisławczyku, gdzie mąż mój był dyrektorem cukrowni. Zjawił się dnia pewnego młodzieniec, którego Bazyli zaanonsował mi z niezadowoleniem. Staruszek nie lubił "nieznajomych figur", bo "kto go tam wie!" Mąż mój był w biurze k fabrycznym, więc wyszłam do interesenta, który zresztą oświadczył na wstępie, że ma sprawę "prywatną". "Pani jest podobno bardzo dobrą" powiedział obcesowo, "Musi mi Pani pomóc!"

Byłam nieco zaskoczona tym niezwykłym wstępem. "Niewiem czy jestem dobrą i kto to Panu powiedział! ale o co chodzi?" - Wtedy przyciszonym głosem, oglądając się wciąż na drzwi, za którymi znikł Bazyli, począł mi opowiadać, że jest Polakiem, rewolucjonistą, walczy o obalenie "samodzierżawia" i o wolność dla wszystkich. "Siedziałem kilka lat w więzieniu, z którego udało mi się wydostać, teraz policja jest na moim tropie, muszę uciekać, muszę przejść granicę... Mąż Pani zna tu ludzi i warunki, mówią, że dla Pani zrobi wszystko, niech go Pani poprosi, żeby mnie uratował!"

Nigdy jeszcze Polka nie pozostała obojętną na hasło wolności... Toteż i moje serce gorące wtenczas i młode zadrgało współczuciem i wzruszeniem. Poszłam do męża, do biura, przedstawiłam mu sprawę zbiega rodaka przez Moskali ściganego, na moje prośby obiecał dać nazajutrz młodzieńcowi pewnego przewodnika, który go przeprowadzi bezpiecznie przez zieloną granicę, do Galicji. Proceder ten uprawiali chłopi miejscowi bardzo często i z doskonałym powodzeniem, gdyż straż pograniczna zamykała oczy na znajomych Iwanów i Wasylów. Powróciłam więc do domu uradowana i podzieliłam się dobrą wiadomością z moim przygodnym gościem. Ogromnie go to podniosło na duchu, tak bardzo, że począł być w stosunku do mnie rozkoszny a nawet agresywny. To mnie już gorzej do niego usposobiło. Zaczęłam trochę krytyczniej patrzeć i słuchać. Fotografia, którą mi pokazywał ze zgolonymi w więzieniu wąsami i głową wydała mi się zupełnie do niego niepodobna.. daty, które cytował, jakoś się nie schodziły, w mowie coraz częściej uderzały mnie fatalne rusycyzmy, składnia stanowczo nie była polską?... Postanowiłam mieć się na baczności, zwłaszcza gdy zauważyłam, że co jakiś czas rzuca k na pozór niewinne pytania: "Jakie książki czytamy? Jakie prenumerujemy gazety? Czy w okolicy są częste zebrania sąsiedzkie? O czem się na nich mówi? Jacy wśród moich znajomych są najliberalniejsi? Szpieg! Prowokator!... przemknęło mnie w pewnej chwili przez głowę, i mróz mnie przeszedł. A ja mu w imieniu męża obiecywałam pomoc! Szczęściem, że obietnicy tej nikt oprócz niego nie słyszał!... Na

pytania odpowiadałam tak, że się nic ode mnie nie dowiedział, i zaczęłam się skarżyć na ból głowy, aby się od niego odczepić. Gwałtownie zaczął mnie częstować jakimiś proszkami na migrenę, których oczywiście nie zgodziłam się zażyć, wogóle miałam go najzupełniej dość! Bazyli, mądra sztuka, snuł się bez przerwy po pokojach, wynajdując sobie ciągle coś do roboty. Stary wyga znał się na ludziach, i gość wydał mu się odrazu mocno podejrzany... Jak na złość mąż mój miał tego dnia jakąś konferencję w fabryce, i nawet na kolację nie mógł przyjść do domu. Zatelefonował mi o tem, a ja skorzystałam, aby mu powiedzieć "niepewna" figura! Nic nie rób dla niego!" Po kolacji, którą zjedliśmy we dwoje i przy której był niesłychanie rozmowny i szarmancki, oświadczyłam mu dobranoc i poszłam do siebie. Kiedy w dawałam Bazylemu dyspozycje, aby nazajutrz było wczesnie śniadanie dla gościa, stryr stary mruknął:" Już ja go raniutko stąd wyprawię!" "Niech Pani Dyrektorowa będzie spokojna! " A odchodząc dodał: "I proszę pani drzwi do siebie na klucz zamknąć". Stanowczo nie miał zaufania do tego pana! "Choć ja i tak spać nie pójdę, póki pan Dyrektor nie wróci..." dodał jeszcze. I rzeczywiście nazajutrz gdy wstałam, już dziwnego gościa nie było. Pojechał do pobliskiego miasteczka Smotrycza i uszczęśliwił swoją osobą miejscowego doktora, ale nic nie wskórał, ani się od niego nie dowiedział. W kilka tygodni później otrzymałam od niego kartkę ze znaczkiem pocztowym austryackim. Tekst był lakoniczny, ale tryumfalny: "A ja już na woli!" To zdanie żywcem przetłumaczone z rosyjskiego utwierdziło mnie w przekonaniu, że w każdym razie ten rewolucjonista Polakiem nie był. Może i doprawdy był ofiarą reżimu carskiego, a nie prowokatorem i szpiegiem jak sądziliśmy?... Nie dowiedzieliśmy się nigdy.

W Smotryczu mieszkał doktór W. Był to bardzo ciekawy typ. Medycyny nie cierpiał, chorych się bał panicznie, zwłaszcza od kiedy się ożenił i miał dwie małe córeczki. Niewiadomo rzeczywiście, pocco sobie wybrał ten zawód?... Opowiadał mi kiedyś, że interesowała go teorja, ale jak przyszło do praktyki, wtedyż zrozumiał, że to nie dla niego!... Było jednak zapóźno, aby się cofać, i co innego studjować. Sam kpił ze siebie i ze swojej wiedzy na funty. Był doktorem "ziemskim" to znaczy powiatowym, i stałym fabrycznym w Wiśniowczyku. Na miejscu mieliśmy doskonałego felczera praktyka. Doktór W. był tylko firmą. Przyjeżdżał raz na tydzień i podpisywał w ambulatorjum fabrycznym recepty. A potem przychodził do nas na herbatę. Miał jakie 40 lat, był średniego wzrostu, łysawy, okrągła

twarz świeciła się zawsze jakby tłuszczem wysmarowana, i czarne oczy wiecznie się śmiały za szkłami złotych okularów. Lubiliśmy go bardzo, bo wnosił ze sobą beztroski dobry humor i był niezrównanym gawędziarzem. Kiedy "ziemstwo" zabrało się do budowania szosy w naszym powiecie, opowiadał: "Poco oni sobie robią ten koszt? Kto tą szosą będzie jeździł?... Przecie ja tu jestem doktorem powiatowym

Razu pewnego przyjechał zim.. W czasie kolacji rozmawialiśmy o polowaniu z sąsiadem naszym Marjanem U., z którym mąż mój wybierał się na lisa, noc bowiem była księżycowa, a sanna doskonała. Doktór słuchał z zainteresowaniem, a potem zaczął sam opowiadać, swoje wrażenia z jedynego w życiu polowania na jakie go zaproszono... "Wyobraźcie sobie państwo, stoimy pod lasem na stanowiskach, ale dość daleko jeden od drugiego. Dali mi strzelbę do ręki, ale nie miałem ochoty strzelać, bo to zaraz tyle dymu i huku, a i o wypadek nietrudno... Nagle wychodzi z lasu jakiś zwierz i prosto na mnie się kieruje... Duże to było, więc zrobiło mi się trochę nieprzyjemnie. Zwracam się więc do sąsiada z prawej strony i mówię do niego: "Wilk!" A on na to: "Osioł!" Zwracam się do drugiego na lewo i znów mówię: "Wilk!" a on "Idjota!"... Wtedy zrozumiałem, że się to do mnie stosuje, a nie do tego bydlaka, który okazał się być dzikiem! i którego podobno spłoszyłem, bo zawrócił do lasu... Strasznie mi nawymyślali, jakeśmy zeszli z tych stanowisk! Przysięgłem sobie, że już nigdy na polowanie nie pojadę. Coprawda, to i nigdy już mnie nie prosili!" Uśmieliśmy się do łez, bo trzeba było widzieć przy tem opowiadaniu jego minę... z głupia frant. Komik urodzony! I poco szedł na medycynę, zamiast do teatru! Ktoś pomyłka życiowa, jakich wiele!

Doktór W. był ożeniony z rodzoną siostrą Kasprowiczowej, pierwszej żony poety, tą, która go ż odeszła dla Przybyszewskiego. Dziewczynki dwie Kasprowiczówny, przyjeżdżały latem do Smotrycza do ciotki. Ale z siostrą doktorowąa W. zerwała stosunki, i nawet nigdy o niej nie wspominała. Wiarołomstwo, skandal, rozwód - nie miały jeszcze wtedy u nas utartego kursu... Nie byliśmy jeszcze "moralnie rozbrojeni"...

Z Wiśniowczykiem również łączy się wspomnienie mojej trzeciej "przygody" politycznej. Było to na rok przed wybuchem I.W.Wojny. Otrzymałam ze Lwowa list od babuni, w którym mi donosiła, że czuje się bardzo niezdrowa. Zaniepokojona, postanowiłam zaraz do niej pojechać.

Wiśniowczyk, ogromny szmat ziemi i lasów oraz fabryka cukru miał

tak specyficzne warunki komunikacyjne, że warto o nich pomówić. Ze względów strategicznych Rosjanie nie pozwalali na budowę kolei w tej okolicy będącej właściwie pasem granicznym pomiędzy dwoma zaborami. Najbliższa nasza stacja Płoskirów odległą była o 75 wiorst ... Stamtąd końmi szły transporty węgla do fabryki, żelaza, części maszyn itp. no i my dojeżdżaliśmy, gdy wypadło nam wyruszyć w świat, uważając to za trochę niewygodne, ale nie tragiczne... Jechało się "rozstawnymi końmi". Jedną czwórkę wysyłało się na pół drogi, do Jarmoliniec, wyjeżdżało się drugą, którą zostawiano w tychże Jarmolińcach, przeprzęgając do powozu pierwsze - wypoczęte. Kiedyś w błoto marcowe k jechaliśmy w ten sposób do domu 14 godzin!.. Gdy dodam, że fabryka nie posiadała oświetlenia elektrycznego, tylko dziesiątki lamp naftowych, - to chyba dam bardzo charakterystyczny i ciekawy obraz tych takich niedalekich czasów!--- ostatnich lat przed I W.Wojną.

Cukier eksportowano częściowo do Austrji, i w tym celu zbudowano w nadgranicznym Husiatynie duży skład fabryczny. Byliśmy więc z Husiatynem w ciągłym kontakcie i znano nas tam doskonale. Miasteczko leżało częściowo jeszcze w "Rosji", częściowo już za kordonem, i tam też była zaraz stacja kolejowa w stronę Europy. Granicę przejeżdżaliśmy własnymi końmi, zaopatrzeni zwykle tylko w przepustki.

Otóż dnia odnośnego jechałam jak zwykle, spiesząc na pociąg do Lwowa. Stojący na posterunku żołnierz austryjacki zasalutował jak dobrym znajomym. Dla formy zapytałam, czy mam przepustkę wizować. Zaprzeczył ruchem głowy. Na stacji kupiłam bilet i wyszłam na peron. Po chwili zbliżył się do mnie jakiś pan, ubrany po cywilnemu, i zapytał: "Dokąd Pani jedzie?" - "Do Lwowa" odpowiedziałam odruchowo, i w tej samej chwili chciałam dodać: "A Panu co do tego?", gdyż w owych czasach nie było przyjęte, aby mężczyzna tak obcesowo pytał kobietę o jej projekta - ale nie zdążyłam, bo nieznajomy lekko uchylając klapy marynarki i ukazując blaszkę z orzełkiem austryjackim, powiedział grzecznie, ale stanowczo: "A ja Pani nie pozwolę jechać".

Tajny agent! przemknęło mi przez głowę. Nie było rady, trzeba było uciec się do pertraktacji, bo jechać chciałam koniecznie. Pokazałam mu przepustkę. "Dlaczego nie wizowana?" - badał. "Pytałam się żołnierza na posterunku, czy mam wizować... Zresztą nigdy tego nie robimy, wszyscy nas tu w Husiatynie znają! Jestem żoną dyrektora z Niśniowczyka, niech Pan kogo chce zapyta!"

Drożył się czas jakiś, wreszcie machnął ręką. "Niech Pani jedzie!" W tej właśnie chwili nadszedł pociąg, więc uradowana, że mi się udało, wsiadłam do wagonu, nie zauważywszy, że mój "tajniak" wszedł do drugiego. Z Husiatyna jechało się do Lwowa tylko kilka godzin, ale trzeba było przesiadać się dwa razy, w Kopyczyńcach i w Tarnopolu. Stwierdziłam wówczas z wielkim niezadowoleniem, że "anioł stróż" austryacki czuwa nademną. W Kopyczyńcach chodził na peronie krok w krok za mną, W Tarnopolu siedział w Restauracji przy drugim stoliku i obojętnie pił herbatę. Udawałam, że go nie widzę... We Lwowie zajechałam do znajomego pensjonatu. Nazajutrz rano, gdy wyszłam na ulicę, ujrzałam tajniaka o parę kroków od bramy domu, w którym zamieszkałam... Przez cały czas pobytu mego we Lwowie, który trwał przeszło tydzień, chodził za mną jak cień, zawsze z daleka, dyskretny i delikatny. Chodziłam do sklepu - czekał przed sklepem, szłam do restauracji na obiad - pił piwo przy drugim stoliku... Trudno wyrazić jak przykra, jak nękająca jest taka ciągła obecność kogoś, kto nam od rana do wieczora depce po piętach!

Już po dwóch dniach byłam okropnie zdenerwowana. Wilją wyjazdu wezwano mnie na policję. Tam spisano całe moje "curiculum vitae" i cały mój rodowód nie darowując żadnej prababce... Dobrze, że wiedziałam, jak która była z domu! i że im recytowałam to bez zająknienia!... Pomimo załatwienia tych wszystkich formalności w sposób chyba dla nich zadawalniający - "anioł stróż" towarzyszył mi w drodze powrotnej, odprowadził aż do Husiatyna, i spokojnie paląc papierosa, patrzył, jak wsiadałam do powozu.

Historja ta błaha w gruncie rzeczy, ale bardzo nieprzyjemna jest przyczynkiem do nastrojów przedwojennych i psychozy upatrywania na każdym kroku szpiegów.

Z nadgranicznego zaścianka Wiśniowczyka, do którego jeszcze przy innej sposobności wrócę, cofam się w przeszłość, w moje beztroskie lata dziewczęce w starym dworze widawskim przeżyte. Życie płynęło spokojnym nurtem, przeplatane od czasu do czasu jakąś zabawą, kuligiem, tańcami. W dnie powszednie największe urozmaicenie przynosiła poczta, gazety, pisma, listy, powiew z dalekiego świata... W Widawie odbierało się korespondencję w Wójtowcach, które jednak były tylko stacją kolejową i urzędu pocztowego nie było tam wcale. Listy wrzucało się wprost do skrzynki w wagonie, skąd również przez grzeczność tylko wyrzucano to wszystko, co do Wójtowiec było zaadresowane. Natomiast wszelkie listy polecone i paczki trzeba było odbierać w odległym o 20 wiorst Czarnym Ostrowiu. Do Wójtowiec posyłało

się trzy razy tygodniowo, ale w Czarnym Ostrowiu nieraz długo leżała paczka albo list polecony, zanim je przywieziono, - przy okazji ... Niejednokrotnie bardzo mi to dokuczyło, gdyż często sprowadzałam z Warszawy książki i zawsze ich oczekiwałam z upragnieniem i niecierpliwością.

W tych latach dziewczęcych odbierałam oczywiście sporo listów od przyjaciółek, które się od czasu do czasu zmieniały... Pisywało się do siebie foljały, poruszając najrozmaitsze tematy, filozofię, literaturę, sztukę, sprawy życiowe i uczuciowe, skupiające nasze budzące się serca kobiece około tego najważniejszego zagadnienia. Posyłałyśmy sobie wzajemnie wiersze, przez nas pisane (któż w pierwszej młodości wierszy nie pisze!) lub takie, które nam wpadły w ręce, i pasowały właśnie do poruszanego w liście tematu. Bo jednak te listy, tak je sobie teraz przypominam, miały w sobie dużo z charakteru stylowych wypracowań szkolnych, od których latami byłyśmy jeszcze tak bliskie!... Ale robiły nam prawdziwą przyjemność, i oczekiwało się poczty zawsze z upragnieniem. W Widawie stary Piotr przynosił ją uroczyście na srebrnej tacy i wręczał babuni, która listy rozdzielała, oddając każdemu to, co do niego było zaadresowane. Czasem poczta przychodziła podczas obiadu lub herbaty wieczornej. Na myśl mi wówczas nie przyszło otworzyć otrzymaną korespondencję przed wstaniem od stołu! Leżał taki upragniony, czasem długo oczekiwany list nierozpieczętowany obok talerza, i trzeba było rozmawiać obojętnie, tak jakgdyby się nie było wcale ciekawym jego treści,,, Tak nakazywały bowiem przepisy dobrego wychowania. Lata całe potem, w życiorysie jednego z wielkich ludzi znalazłam wzmiankę, że "nigdy nie otwierał on listów zaraz po otrzymaniu" - i było to zacytowane, jako dowód silnego charakteru. Myślałam nieraz odtąd, jakie jednak mądre były te kanony "dobrego wychowania" (na pozór takie drobiazgowe i bezmyślne), jakie głębokie w swoim ukrytym celu... Ćwiczyło się wolę, uczyło opanowania zachcianek, powściągało ciekawość - patrząc na nierozpieczętowany list obok talerza...

Przez czas jakiś prowadziłam korespondencję ciekawą z kimś, kogo nie znałam osobiście, i którego nigdy nie było danem mi poznać.

Pewnego jesiennego wieczoru poczta przyniosła mi list podpisany:"Hodi". Był to pseudonim Józefa Tokarzewskiego literata i publicysty (1841-1910)redaktora w roku 1906-tym Nowin Wileńskich. Okazało się, że staruszek spotkał w jakimś piśmie jeden z moich drukowanych już wówczas wierszy i zainteresowany, dopytał się o adres autorki. Zawiązała się pomiędzy nami bardzo ciekawa wymiana

listów, czysto intelektualnych, na gruncie wspólnych upodobań literackich. Spieraliśmy się o poglądy i kierunki, o zagadnienia stylu, języka, piękna. Staruszek był krewki, więc nieraz mnie zbeształ, ja miałam cięte pióro, więc parowałam jego cięcia. Powoli wytworzył sobie o mnie pewne pojęcie i wyobrażenie i poprostu zakochał się w tym swoim ideale.. "Gdybym mógł cię spotkać gdzieś na rozstajnych drogach, na koniu twoim, wnuczątko moje ukochane, i mógł ucałować przynajmniej twoje strzemię!"...

Romantyk był dziaduś! Ale ja właśnie w tym czasie się zaręczyłam i co innego, a raczej kogo innego miałam w głowie,,, Doniosłam poczciwemu staruszkowi o zmianie w mem życiu, napisał jeszcze potem bardzo oryginalny list do mego narzeczonego, i - wyszedł z życia mego na zawsze, bo cóż jest stałego pod słońcem!... Straciłam go z oczu, a dziś na jego nieznaną mogiłę z wdzięcznością rzucam parę wspomnień.

Zupełnie w innym rodzaju była korespondencja moja z panem Tytusem M. Żonaty już wówczas ten młody nasz sąsiad miał zawsze dla mnie wiele przyjaźni, a że wymowaliśmy oboje z wielką łatwością, a on miał przytem satyryczne zacięcie, więc pisywaliśmy do siebie wierszami długie listy. Był to rodzaj kroniki sąsiedzkiej, w której każdemu coś się dostało. Wierszami też omawialiśmy sprawy bieżące, często była to "częstochowszczyzna", ale zdarzały się i doskonałe wierszyki. W jakimś wyjątkowo nieurodzajnym roku, zamiast dosłownego narzekania na brak gotówki, co byłoby zbyt banalne, - otrzymałam np. takie rymy:

"Gdzieżeś o Kaśko? gdzieżeś luby Piotrze?
"Ostatni z biurka idzie Mikołajek!
"Na sorokowce zmieniłeś się, łotrze,
"Tęczowa pani należy do bajek!..."

Ażeby zrozumieć dziś ten wierszyk trzeba wiedzieć, że "Kaśka" to tęczowy stu rublowy banknot z wizerunkiem Carycy, Piotr - 500 rublówka, Mikołajek - 25 rubli, wreszcie "sorokowce" srebrne monety wartości 20 kop.

Innym razem o szwagrze swoim Stanisławie J. sławnym mruku, a moim sąsiedzie, przy jakiejś balowej kolacji, pisał:

"Ogromny, wysoko, 22 roki, z milczenia 5 z plusem dostanie...
"Daremnie się łudzisz, daremnie się trudzisz,
"Rozgadać nie będziesz go w stanie!"

Listy zaczynały się różnymi nagłówkami: "Wandolineto, siostro mojej duszy", kończyły się w te słowa: więc tej, co babką jest dzie-

ciom mej żony, ale ci przez pocztę pozdrowień miljony". - Ja odpisywałam czasem żartobliwie: "Drogi panie Tytusie, znów ulegam pokusie, Rymowania napadła mnie faza, Szybko chwytam za papier I stalowy mój rapier Biorąc w rękę dosiadam Pegaza".

Czasem znów stroiłam lutnię na wyższy ton:

"Tej nocy księżycowej srebrzysta legenda
"Rozsnuła się poświatą brylantowych skier...
"Śni mi się jakaś szczera, serdeczna gawęda,
"Śnią mi się wzloty jasne do niebiańskich sfer".

Cała okolica bawiła się tą poezją na codzień i powtarzała nasze rymy. Dotąd, po tylu latach spotykam takich, co je pamiętają! Raz przyjechały na Podole kuzynki Tytusa, panny K. Ojciec ich zajmował wysokie stanowisko w Austrji, jakiś czas był nawet ministrem, mieszkali stale w Wiedniu, tym przedwojennym, ślicznym, uroczym Wiedniu. Obie panny były niesłychanie miłe i wesołe, zwłaszcza młodsza Ira, istny kozak "półdjable weneckie", jak ją nazywał stary pan M., nieco zgorszony jej dokazywaniem. Urządziliśmy kiedyś konny spacer. Ira jechała z Jerzym O. Naturalnie Tytus zaraz to opisał.

"Ona z maleńkim Jorżykiem
"Z werwą wielką i szykiem
"Pogrążyła go w smętnej zadumie...
"Jej to jest ganz egal,
"Noch einmal, noch einmal...
"Kto tam serca się jej dorozumie!..."

Tak to zaprzęgliśmy muzy w rydwan naszej beztroskiej młodości.

Ogromny dwór w Sołomnej wśród stuletniego parku zrósł się z moimi wspomnieniami młodości w jedną nierozłączną całość. Było to bliskie sąsiedztwo Widawy i bywałam tam bardzo często, bawiąc nieraz po kilka dni. Ogromnie kochałam nieżyjącego już dziś kuzyna mego Bohdana Z. i serdecznie przyjaźniłam się z jego żoną. Była to niesłychanie piękna kobieta, subtelna, trochę egzaltowana, z trudnością poddająca się wymaganiom dnia powszedniego. Miała łabędzie na stawie, harfę celską na szczycie wysokiego świerka, mnóstwo książek najnowszych i nut. Młodzi ludzie bywający w Sołomnej prawie bez wyjątku kochali się w niej, a ona przyjmowała te hołdy jako coś, co się jej słusznie należy... Lubiła być otoczoną, lubiła przyjmować od mężczyzn hołdy... Cóż dziwnego! Przywilej piękności!

Pewnej zimy pojechali z mężem do Wenecji. Bohdan, typowy szlachcic polski czuł się lepiej na ziemi lub w siodle niż w gondoli... To też Mila karmiła gołębie na placu św.Marka, on wynalazł sobie inne zainteresowania. Brał lekcje szermierki. Nauczyciel, młody Wenecjanin, okazał się miłym, dobrze wychowanym chłopcem. Zaproszono go na Podole. Przyjeżdżał przez szereg lat, aż do wybuchu wojny i mieliśmy z niego stałą uciechę. Włoszysko było odpowiednio głupie, ale nieszkodliwe. Można było kpić z niego do woli. W pierwszym roku jego bytności, wszyscy zapalili się do szermierki i brali lekcje. Panie też próbowały. Mila kazała sobie uszyć specjalny kostjum: majteczki z czarnej satyny i na to krótka spódniczka... I sport ten i kostjum wywołały krytykę i zgorszenie starszych pań. Nikomu się wtedy nie śniły dzisiejsze kąpielowe stroje i obyczaje... A jakże dziecinnie niewinne były i kostjum ten i cała ta szermierka!...

Wenecjanin nazywał się Guido Gianese i był blondynem. Żadna z nas się w nim nie kochała. Gdyby miał ogniste czarne oczy, - kto wie?. Ale tak ten typ nic nam nie mówił. Giudinio popełniał rozmaite "gaffy". Zobaczywszy, że panowie w Polsce całują panie w rękę, zaczął stosować ten sposób powitania nietylko do mężatek, jak to było przyjęte, ale i do panien, co już uważano za zupełnie "shoking". Gdy mu zwrócono na to uwagę, był bardzo zdziwiony i nie chciał zrezygnować. "bo to jest bardzo przyjemny zwyczaj". Zdaje się że oprócz szermierki nie miał nasz Wenecjanin żadnego "wykształcenia". Był synem malarza portrecisty, bardzo średniej klasy, sądząc po portrecie Mili, przywiezionym z Wenecji.

Pewnego lata przyjechał do Sołomnej na wakacje Kazimierz Sichulski. Znienawidzili się z Guiduniem od pierwszego wejrzenia. Włoch, wychowany w cieniu pracowni ojcowskiej, uważał się za wyrocznię w dziedzinie pędzla i palety. Sichulski był z natury zarozumiały i despotyczny, a nonsensy, które Guidunio wygłaszał, zamiast go śmieszyć, doprowadzały go do pasji. Wenecjanin posiadał nieźle język francuski, który Sichulski znał bardzo słabo. Nie mogli się właściwie dobrze rozmówić i tylko mimiką wymowną walczyli ze sobą, co było nad wyraz zabawne. Oczywiście obaj kochali się w uroczej pani domu, co nie wpływało bynajmniej na polepszenie stosunków pomiędzy nimi... Sichulski pod każdym względem stał wyżej od Guidunia, ale w obcowaniu codziennym był nieznośny. Fantaska, hipokondryk, z lada przyczyny władał w melancholję. Bardzo utalentowany i zdolny, był mimo to okropnie zazdrosny o innych artystów i krytykował ich bez miłosierdzia, z wyraźną zawiścią, co było w nim bardzo niesympatyczne. Jako karykaturzysta stał się niebawem postrachem całej

okolicy, blok i ołówek miał zawsze w kieszeni. Utrzymywał, że każdy człowiek jest podobny do jakiegoś zwierzęcia lub ptaka... Portretował Milę jako pingwina, Zdzisława Cz. jako dzika... Podobieństwo karykatury było zdumiewające i wywoływało wybuchy śmiechu. Jak mu się upatrzona ofiara wymykała, póty kluczył, póki jej nie złapał, najczęściej w takich razach chwytając odbicie w lustrze, czego się nikt zwykle nie spodziewał. Mnie mówił, że powinnam się zawsze ubierać w bronzowym kolorze moich włosów i oczu. Miałam kształtne ale niesłychanie małe ręce, które go gniewały. "I to, to ma być ręka kobity?" - złościł się, gdy wyciągałam do niego dłoń na powitanie. "Za mała! stanowczo za mała!"... - "Trudno, już nie urośnie! - mówiłam wesoło - "A jeszcze pan zobaczy, jak męża krótko w ręku trzymać będę!" - "Wierzę, wierzę! To każda z was potrafi!" Nachmurczył się i zgasł. - "Co mu się znów stało? ... Z tymi artystami to nigdy niewiadomo..." - mówiłam do Mili. - "Wiadomo, bo ma żonę, z którą się rozszedł. Małżeństwo to dla niego drażliwa kwestja" - odpowiadała pojednawczo.

Guiduniо był łatwiejszy. Doskonale nauczył się jeździć konno, co było dla niego niesłychaną nowością po weneckich gondolach, i z zapałem towarzyszył nam na naszych spacerach. Jesienią ogromnie zapalił się do polowania na przepiórki i na kaczki. "Naiwniak" z niego pod tym względem był niesłychany. Pewnego dnia siedzieliśmy w pokoju przy szeroko otwartych oknach na ogród, oboje Bohdanowie, ja i jeszcze jeden z młodych sąsiadów. Wtem zdaleka nadbiega Guiduniо i wielce podniecony swoją łamaną nieco francuzczyzną opowiada, że jakiś ptak, olbrzymi, wspaniały siedzi na drzewie w ogrodzie. Panowie, nie wiele myśląc porwali za strzelby i wyskoczywszy oknem pobiegli za nim we wskazanym kierunku. Wrócili po paru minutach, sataczając się od śmiechu. Ptak okazał się... swojską indyczką, która przefrunęła niskie ogrodzenie podwórka i usadowiła się na konarze płaczącego jesionu do poobiedniej drzemki... Dokuczało się potem biednemu Guiduniowi przez dobre kilka tygodni tą indyczką!...

Był czas kiedy z pasją uprawialiśmy sport konny. W Sołomnej, na ogromnym stawisku (placu po spuszczonym stawie) urządziliśmy sobie maneż i tam nieraz po kilka godzin dziennie ćwiczyliśmy prawidłową konną jazdę pod kierunkiem i podług wskazówek jednego z sąsiadów, dawnego kawalerzysty. Doskonale "przeszkoleni" i "wytrenowani" z tym większym zapałem urządzaliśmy spacery konne, wycieczki i "polowania z lisem". ~~Exp~~ Opis jednego takiego polowania zachował się w moich notatkach w urywku:

"Prześliczny Ali pomknął jak strzała,
"Wstęga cofetti się rozsypała.
"I barwnym śladem przez ogród stary
"Ochoczo pędzą wesołe pary.
"Mijają stawy strojne szuwarem,
"Gdzie błotne ptactwo wybucha gwarem,
"Mijają lasy milczące, złote,
"Co szumem liści budzą tęsknotę,
"Pędzą na ciche, wyżęte pola,
"Puste, tajemne jak ludzka dola..."

Zabawa polegała na tym, że jadący na czele i rozsypujący "confetti" jeździec zmiał u ramienia przyczepioną lisią kitę. Należało go dopędzić i kitę zerwać. Kto tego dokazał, był królem polowania, zwycięzcą. Oczywiście lis kluczył, mylił ślady, wyszukiwał trudny teren i przeszkody, aby tylko nie dać się złapać. Jesienią, kiedy ścierniska były puste, a lasy złote, tło do tych zawodów było doprawdy wymarzone! Kiedyś! dnia 3-go października (starego stylu) urządziliśmy spacer do prześlicznych lasów satanowskich, nad Zbruczem położonych. Było tak ciepło, że w lesie rozesłaliśmy szkiełka ziemi derki na miękkim posłaniu różnorodnych zeschłych liści i siedzieliśmy tak na ziemi, gawędząc, rozkoszując się pogodą i jedząc przywieziony podwieczorek. Z góry, przy najlżejszym powiewie sypały się nam na głowę ostatnie liście, wiotkie, białe nici "babiego lata" plątały się w przezroczystym powietrzu, na tle ciemno szafirowego błękitu. Dopiero o zmierzchu zdecydowaliśmy się powrócić do naszych wierzchowców i szarabanów (bryczek). Przyjął nas w swoje gościnne progi dom w Kurówce, gdzie przebrawszy się, tańczyliśmy wesoło. Położyliśmy się jednak stosunkowo wcześnie, bo już o 4-tej rano, widocznie zmożeni ruchem i całodziennym przebywaniem na powietrzu. Zauważyliśmy, że w pokojach przytulnych, niewielkich, ze spuszczonymi ristami roletami "stramami" było jakoś dziwnie chłodno... Kładąc to na karb niewyspania, szybko pogasiliśmy światła i wkrótce dom cały pogrążył się we śnie. Kiedy obudziliśmy się o 10-tej rano, było za oknami śniegu na metr, i sypał wciąż gęsty, lekki, biały jak pierze z wielkiego sita... Zrobił się gwałt. Zjechaliśmy się wszyscy, niektórzy z dalekich stron ekwipażami na kżeś kołach... Skąd wziąć tyle sanek! i jak do domu wracać?...

Nazajutrz śnieg padał bezustannie dobiliśmy się jakoś do Sołomnej, gdzie był dom większy jak w Kurówce i tam utknęliśmy ostatecznie, przez cały tydzień tańcząc, grając, śpiewając i bawiąc się doskonale. Któregoś dnia zaczęliśmy wznosić podczas kolacji rymowane toasty. Zaczął naturalnie Tytus, robiąc aluzję do landa, którym

zwykle podróżowałam z babunią:

"W śniegu bardzo często przewraca się landо,
"Twoje zdrowie piję przyjaciółko Wando!..."

na co odpaliłam z miejsca:

"Czyja werwa płonie żywiej niż spirytus,
"Tego zdrowie piję: niech nam żyje Tytus!"

a ta bestja wstaje i z miną najniewinniejszą, zwracając uwagę wszystkich na moją ówczesną sympatję i sąsiada przy stole, powiada bez zająknienia: "Wandolineto! Korzystaj z momentu!
"Zaprzestań flirtu, spróbuj sakramentu!..."

Dano mu rzęsiste brawo, a ja spiekłam raka. Bo w owych czasach jakże niewinnych flirtów, panienki piekły jeszcze raki...

Zapamiętałam sobie parę takich wybryków pogody na Kresach, o których mówiło, że "ziemia dobra, tylko niebo drań". Pospolitą klęską była posucha, zwłaszcza na Ukrainie, gdzie czasem po ostatnich deszczach w początkach kwietnia, nie spadła do lipca ani kropla. Pod szafirową kopułą nieba leżała ziemia dysząca żarem i więdnącą roślinnością modliła się o deszcz...

Wybrykiem natury była kiedyś tak ciepła jesień, że w dzień Zaduszny (nie zapominajmy, że według nowego stylu to już 16-ty listopad) siedziałam dłuższy czas na ziemi przy grobie dziadunia, na który przywiozłam kwiaty... A kiedyś znów przeciwnie, w dzień św. Jana, pamiętny imieninami w sąsiedniej Bębnówce, zbierałam przed południem truskawki w futrze!...

Na Kresach wogóle źle mówiliśmy po polsku. Pomijam śpiewny akcent, po którym nas poznają i po którym my sami wzajemnie się poznajemy, tak, że wystarczy jednego zasłyszanego zdania, aby stwierdzić w myśli: "To swojak". W wagonie, w sklepie, na ulicy, nawet jeżeli na skutek tego stwierdzenia nie wywiąże się rozmowa, to pomiędzy tymi obcymi ludźmi przelatuje uśmiech, owiany w życzliwość jak w tęczę... To wszystko czasem... Ale przez ułamek sekundy, tak krótki jak mgnienie oka, każdy z nich był... tam. Ale powracam do rzeczy realnych. Więc akcent. Śpiewny, miękka wymowa spółgłosek, zamiast n - ń, zamiast s - ś, tak że wychodzi: hiszpański, świętojański itp. Następnie prowincjonalizmy i rusynizmy, a głębiej, na Ukrainie nawet rusycyzmy. Tych naleciałości odeszliśmy się prawie zupełnie, mieszkając w Królestwie. W tekście niniejszej książki zastosowałam je jednak przy każdej okazji, umieszczając obok danego wyrażnie słowo polskie. Postąpiłam tak dlatego, że w ten sposób podane życie kresowe nabiera więcej

rumieńców lokalnych i tętni prawdą. Każdy kresowiec uśmiecha się z rozczuleniem spotkawszy po latach w druku dobrze znane słowa, którymi się nieraz posługiwał, których już niemal zapomniał... Będzie to dla niego jakby pieszczota z starej Piastunki Przeszłości zawsze kochanej, choćby ręce jej były szorstkie, a głos chropowaty...

Gorszą według mnie plagą naszej mowy były "makaronizmy", przeplatanie ustawiczne słowami i całymi zdaniami francuskimi mowy polskiej. Była to bezmyślność, złe przyzwyczajenie, a obrażało mowę polską lekceważeniem, lenistwem, niemal pogardą... Zwróciła mi na to uwagę jedna z tych, co były tej mowy kapłankami, a wspomnienie to niezatarte, muszę wpleść w moje opowiadanie.

Wracałyśmy z babunią z zagranicy. Po drodze miałyśmy się spotkać z wujem moim Włodzimierzem i żoną jego, która była na wpół cudzoziemką, ale wcale nieźle mówiła po polsku. Kiedy wyjeżdżaliśmy w dalszą podróż do Lwowa, wujostwo odprowadzali nas na kolej. Była wczesna jesień, to też wszedłszy do wagonu, otworzyłam okno, i wychyliwszy się, rozmawiałam z wujostwem oczywiście po francusku. Babunia tymczasem zajęła miejsce w przedziale obok jakiejś pani, niskiego wzrostu, niełądnej, w okularach, ubranej bardzo skromnie, prawie niestarannie. Pociąg ruszał. Ostatnie powiewanie chusteczkami, ostatnie:" au revoir, au revoir!" Cofnęłam się na swoje miejsce i usiadłam naprzeciw nieznajomej. Wtedy ona zwróciła się do mnie i zapytała: "Dlaczego Pani mówi po francusku?". Byłam tak nieprzygotowana na to zapytanie, wogóle na tak obcesowe zainterpelowanie przez obcą osobę, że na razie nie znalazłam słowa odpowiedzi. A ona mówiła dalej bardzo grzecznie, ale trochę drwiąco: "Bo jeżeli dlatego, żeby nie być rozumianą - to cel chybiony! Dziś - każda kucharka mówi po francusku!" - Milczałam. Uznawałam logikę tego rozumowania, a ona poraz drugi powtórzyła: "Więc - dlaczego pani mówi po francusku?". - "Bo taki mam zwyczaj!" - bąknęłam wreszcie, zła już i zbuntowana. "To zły zwyczaj" - mówiła łagodnie, a mądre jej oczy patrzyły na mnie badawczo, jakby przejrzeć chciały, co kryje we mnie młodziutka dziewczyna pod maską eleganckiej, banalnej panny salonowej. "Niech pani pomyśli, język polski taki piękny, taki bogaty, wszystko nim można wyrazić, wszystko wypowiedzieć ..." Mówiła w ten sposób dłuższy czas, przekonywująco, spokojnie, dziwnie ciepło i swojsko. Nie odzywałam się, bo czułam, że słuszność jest po jej stronie, a nie chciałam się uznać za pokonaną. I

dla zaakcentowania swojej niezależności i nieustępliwości, wyszłam na korytarz wagonowy. Po chwili zrobił się ruch w przedziale. Pociąg zbliżał się do Tarnowa, gdzie moja nieznajoma miała widocznie wysiadać, gdyż wyszła z przedziału z nessys neseserem w ręku. Zgrzytnęły hamulce, nagły ruch rzucił nas ku sobie tak blisko, że nad samym uchem usłyszałam słowa: "No cóż, będzie pani mówić po francusku?" , a widząc, że na mej twarzy wzbiera już gniew gorącą falą rumieńca, wzięła mnie za rękę i przytrzymując w swojej powiedziała niskim, głębokim głosem: "A jednak, może moje słowa znajdą oddźwięk w duszy pani, gdy jej powiem kto jestem: Marja Konopnicka!" - Wysiadła, a ja wstrząśnięta, zrozpaczona, prawie we łzach, wróciłam do babuni, która widząc mnie taką zmienioną, z niepokojem zapytała: " Co się stało?" - "To była Marja Konopnicka! ... a ja się z nią kłóciłam! .. ja zmarnowałam taką godzinę!" - odpowiedziałam...

Marja Konopnicka - to było dla nas nietylko nazwisko opromienione blaskiem poetyckiej sławy. To było Piękno przez nas umiłowane, ideał, wzór uczyć i myśli. Mogłyśmy paplać po francusku, ale czułyśmy po polsku! Miałam wówczas 17 lat, i jak wszystkie moje rówieśniczki, umiałam całe ustępy jej poezji na pamięć. Myśmy wtedy modliły się jej słowami: "o spokój rodzinnych pól, za tych co płaczą i cierpią ból", prosząc "by dom nasz wziął Bóg pod straż..." Ona wierszami swojemi budziła w nas pierwsze odruchy miłości społecznej, wstrząsnęła sumieniem, malując wiejskiego sierotę co "stał w sądzie przed kratą" , "drobny, wychudły, z oczyma jasnemi, w których łzy wielkie i ciężkie wzbierały"... - Za nią szeptałyśmy :"Pójdź dziecię, ja cię uczyć każę!" i nie uchylałyśmy się nigdy od pracy na polu oświatowym, gdy się do tego nadarzała sposobność. Ona wreszcie, nachylona nad dziewczęcem sercem pytała: "Czy wiesz ty piękna i ty uśmiechnięta ... co znaczy kocham?..." i odpowiadała: "Posłuchaj, kocham - to nie znaczy wcale, chcę być pieszczotą w twym domu królewną... Kocham - to znaczy chcę w cichym zakątku żyć zapomniana, byleś Ty był ze mną... Chcę nad kołyską naszego dzieciątka nucić piosenki w noce ciemną..." (A nie jak dziś, umawiać się przed ślubem, że się dzieci nie będzie miało wcale..). "Kocham - to znaczy chcę z tobą podzielić gorzki chleb trudu i łez i boleści, chcę oczy twoje w dniach smutku weselić, i tarczą być twojej części... Ja kocham ciebie, to znaczy chcę z tobą podźwignąć ciężar co życiem się zowie...". - Każda strofka, każde zdanie, każde niemal słowo czyste jak kryształ, a twarde jak stal było wskazaniem dla duszy młodej... Upajałyśmy się

melodyjnem brzmieniem wiersza, a równocześnie w serca nasze zapadała siejba zdrowych zasad, wzniosłych ideałów, na których pragnęłyśmy budować życie. Prześliczna pieśń :"A gdy poszedł król na wojnę" rozdzierała przed oczami naszymi zasłonę niesprawiedliwości społecznej i byłyśmy całem sercem po stronie tego "Jaśka, któremu dół kopali" i któremu "zaszumiały od dąbrowy te dzwoneczki, te liljowe..."

Kto sobie zdaje sprawę wszem była poezja w życiu młodzieży polskiej w tych latach politycznego ucisku i brutalnej przemocy obcego najeźdźcy, ten zrozumie jakim niezapomnianem wydarzeniem było dla mnie to zetknięcie się z wielką naszą wieszczką! I ona dobrze wiedziała co robi, wyjawiając mi swoje nazwisko, wiedziała, jaki cudowny będzie wówczas oddźwięk jej słów! Może przeczuwała, może wiedziona intuicją poznała, że w tej młodej dziewczynie, co bezmyślnie obcą mową kalała sobie usta, kryje się zadatek na Polkę gorącą, która we własnej mowie się rozmiłuje, zacznie ją studjować, postara się nią doskonale owładnąć, a rozkochana w jej bogactwie - pisanie za największą rozkosz z życia zechce poczytywać będzie. Tak, do pióra popchnęła mnie Marja Konopnicka, i wszystkie dobre chwile, które temu zawdzięczam, właściwie Jej zawdzięczam, Jej, tak ludzkiej dla mnie wtedy, tak pobłażliwej i sercem bliskiej!... Wtedy odrazu, na tym wagonowym korytarzyku złożyłam ślubowanie: "kochać i czcić moją mowę". - O tym postanowieniu, o tej przemianie, która nastąpiła w mej duszy napisałam zaraz do niej po powrocie do domu, kierując list pod przypuszczalnym adresem. Wiedziałam, że miała wtedy majątecznek ziemski pod Tarnowem. Nie wiem, czy list ten otrzymała, ale odpowiedzi nie dostałam nigdy. W kilka lat później byłam właśnie we Lwowie, kiedy umarła. Pogrzeb jej odbył się bez udziału duchowieństwa, odmówiła bowiem pociechy religijnej przed śmiercią. Stojąc na balkonie, patrzyłam na wspaniałą manifestację uczuć narodowych, na kwiaty, wieńce, organizacje i młodzież szkolną w karnych szeregach. Wilją wieczorem poszłam się z nią pożegnać, leżała w krypcie dolnego kościoła u Bernardynów. Pusto było i mrocznie o tej późnej godzinie. Klęczałam sama u stóp trumny i modliłam się doprawdy całą duszą. "Boże! daj jej pokój wiekuisty! Przyjmij ją do chwały Swojej, Ty, który w głąb serc ludzkich patrzysz, i znasz każde ich drgnienie... Daruj jej ten bunt ostatni.. Daruj jej te wszystkie słowa buntu, które się rwały na jej usta pod pręgierzem bólu i rozpaczy... I Przebacz! bo wiele kochała. Przebacz, bo dla wielu była drogowskazem i światłem... Daruj, bo tyle dobrego zdziałała swem słowem natchnionem!..."- Rzadko kiedy w życiu umiałam się modlić, ale wtedy w tej mrocznej krypcie - modliłam się prawdziwie!

— — — — — —

Muszę jeszcze raz wrócić do francuszczyzny i do roli, jaką odgrywała u nas w owych latach.

Nietylko ja, ale dwa poprzednie pokolenia, pokolenie mojej matki i mojej babki miały od dzieciństwa bony francuski, tak, że nie pamiętało się kiedy i jak opanowało się ten język nie gorzej od swego własnego... Miało to swoje dobre strony, zapewne... oszczędzało dzieciom w przyszłości ślęczenia nad słówkami francuskimi w latach szkolnych. Pod tym względem przychodziło się już "do gotowego". Mam w tej chwili na myśli moje pokolenie, które chowało się już na pensji lub w klasztorze. Babki nasze i matki do zamążpójścia pozostawały w domu i kończyły nauki pod kierunkiem prywatnych, domowych nauczycielek, często cudzoziemek. Oczywiście francuszczyzna wraz z jej skomplikowaną gramatyką i trudną ortografją zajmowała lwią część programu. Zabawną historję o sobie opowiadała babunia. Miała lat 16, gdy ją z dziadkiem moim zaręczono i dzień ślubu w bliskim terminie oznaczono. Nauczycielka jej, uwiadomiona o tym fakcie, załamała ręce z rozpaczy i wykrzyknęła:" Mais elle n'a pas fini sa grammaire!" Nie wiem, czy kazano jej w czasie narzeczeństwa kuć w dalszym ciągu tę gramatykę, bo o tem nie wspominała. Może już dano jej spokój... Napisać list bez błędu już umiała pewnie, a o to głównie h chodziło. Pozatem, jedynym celem "edukacji" było zajęcie panienki do pewnych lat i wyposażenie ją w pewną ogładę. Potem zaczynała "bywać" i wychodziła za mąż. Nieraz później kształciła się sama, mnóstwo czytała, przebywała w towarzystwie światłych i wykształconych ludzi i wszelkie braki się wyrównywały. Np. w babce mojej nigdy nie zauważyłam jakiejkolwiek niższości intelektualnej. O wszystkiem wiedziała, wszystko ją interesowało, o wszystkiem umiała rozmawiać w sposób interesujący. To samo dałoby się powiedzieć prawie o wszystkich znanych mi paniach z tej samej epoki. Stanowczo gąsek i "kur domestica" pomiędzy niemi nie było! Do mówienia po francusku tak się od lat najmłodszych przyzwyczaiły, że nie sprawiało im to najmniejszej trudności. Mówienie po francusku uważane było za "dobry ton", a na to ludzie wówczas byli bardzo wrażliwi. Nieco później, gdy francuszczyzna przestała być przywilejem warstwy wyższej - zaczął wchodzić w modę język angielski. Przyjęła go najprzód arystokracja i tu mam do zanotowania doskonałą anekdotę.

Jedna z moich ciotek na Podolu wychodziła za mąż za księcia Cz. Ślub odbywał się w Niedniu, w orszaku same mitry i hrabskie krzyż korony. Znalazł się tam kuzyn panny młodej, nie tytułowany, młody, wykwintnie wychowany szlachcic o bardzo ciętym języczku. W pewnym

momencie, otoczony gronem osób, mówiących pomiędzy sobą wyłącznie po angielsku, i nie zważających na to, że on tego języka nie posiada, - odezwał się po francusku: "Je croyais me trouver au millieu de gens bien élevés, et je ne vois autour de moi que des princes!..." (Myślałem, że znajduję się wśród ludzi dobrze wychowanych, a tymczasem widzę dokoła siebie samych książąt!).

Że na tę manję cudzoziemczyzny podnosiły się protesty tu i tam, tego mam dowód w przedśmiertnem życiu mojej matki, która prosiła, abym do 8-mi lat nie miała przy sobie francuski... Na takie śmiałe i niezależne ustosunkowanie się do utartego bądź co bądź w owej epoce zwyczaju - wpłynęła niezawodnie nauczycielka mamusi, Panna Kamińska, która była, jak mi zawsze opowiadano, osobą wyjątkowo rozumną i gorliwą patryotką.

Panna Kamińska przebywała w Widawie długie lata, mając przy sobie siostrzenicę swoją sierotę po bracie, Walercię Chłopecką. Z matką moją łączyła ją serdeczna przyjaźń, której koniec położyła dopiero śmierć mamusi. Kiedy mnie w późniejszych latach spotykała, rozczulała się zawsze niesłychanie nademną, jako nad córką "ukochanej Waluni". Chłopcy, to jest bracia mamusi musieli jej nieraz porządnie dokuczać, bo bardzo nieśmiała i bierna, nie potrafiła się krzx bronić, a była przytem ogromnie niełądna. Mimo to jednak była do Widawy bardzo przywiązana. Przeszła do tradycji w anekdocie, mianowicie W.C. nie nazywano u nas nigdy inaczej wyłko "Walercia Chłopecka".

Jak przestronne były wówczas dwory, i jak szeroką skala życia dowodzi przebywanie przez lata całe nauczycielki z siostrzenicą... Wprawdzie panna Kamińska była osobą wyjątkowo cenioną, ale sam fakt nie był odosobniony. W tejże samej Widawie mieszkała w oficynie przez kilka lat stara francuska, Którą córka jadąc na posadę do "Rosji" nie miała gdzie zostawić, więc ją przywiozła ze sobą...Trudno sobie doprawdy dziś wyobrazić taką sytuację!

Kiedy umarli kolejno braterstwo babuni Bolesławowstwo Z. w Kumanowie i babunia objęła opiekę nad pozostawionym przez nich z drobiazgiem, umieściła przy sierotach nieocenioną pannę Kamińską, jako wychowawczynię i opiekunkę (oczywiście z nieodstępną Walercią). krix Dzieci w Kumanowie było 5-ro, 3 dziewczyki i 2 chłopców. Najmłodszy Ludwiś miał zaledwie parę latek i, jak wynika z opowiadań, które słyszałam niejednokrotnie, jeździł w lecie z panienkami do kąpieli.

Kostjumy były prawdopodobnie bardzo mało przejrzyste, ale mimo to panna Kanińska wydawała surowym głosem polecenie: "Walérie plongez, Louis ne regardez pas!" Jak słusznie zauważono, gdy Walercia się zanurzyła, to Ludwiś mógł przecie już patrzeć! Śmiano się też z tego powiedzonka lata całe.

Do jakiego stopnia była posunięta fałszywa pruderja nietylko w owej epoce, ale i w latach późniejszych, już mojego dzieciństwa sięgających, dowodzi zapamiętane przeze mnie zdarzenie. Po śmierci zamusi czas jakiś mieszkałam u dziadka mego Z. w Kijowie. Zajmowaliśmy mieszkanie na parterze. Okna wychodziły na niewielki, ze wszystkich stron zabudowany ogródek, należący do sąsiedniego domu, w którym mieściła się pensja żeńska i internat. Uczennice podczas rekreacji wychodziły do tego ogródka, a ja lubiłam siedzieć w oknie i patrzeć na nie. Kiedyś wdrapałam się jak zawsze na parapet i bawiłam się dużą lalką, którą ubierałam, wkładając jej koszulkę i majteczki. Tego samego wieczoru dziadunio przyszedł do mojej starej bony, polecając jej, aby mi nie pozwalała bawić się w ten sposób na oknie, ponieważ przełożona pensji przysłała z wymówkami, że "Bawię się nieprzyzwoicie" i że"to jest gorszące dla uczennic, które wychodzą do ogrodu".

Powracam do nauczycielek w Widawie. Odstąpiwszy pannę Kanińską sierotom, do młodszej swojej córki, a mojej ciotki Mańci miała babunia "guwernantkę" francuskę p.Józefinę Bach, pospolicie "Bachantką" przezywaną. Z opowiadań o niej sądzą, była to histeryczka i złośnica jakich mało, i trzeba było anielskiej cierpliwości i łagodności Mańci, aby z nią wytrzymać. Bachantka nawet poczciwemu Bazylemu zalała sadła za skórę, bo bardzo źle ją wspominał. Nauczyła się trochę mówić po polsku i skarżyła się na niego: "Jaki ten Bazyl niedobry człowiek! nie kce robić na moje pokoje!" (faire ma chambre). Powiedzenie to przetrwało Bachantkę i Bazylego.

Z nauczycieli moich wujów wspominano czasem niemca Smajdra i pana Świeżawskiego z ogromnym,zawsze czerwonym nosem, który sprawiał, że go zupełnie niesłusznie posądzano o zaglądanie do kieliszka... Pamiętam jeszcze tego staruszka, siwiutkiego jak gołąb. Był w owym czasie nauczycielem chłopców w Żuczkowcach, ale uczniowie przeważnie "wiali" z lekcji, a on już sobie rady z niemi nie mógł dać. Był zdaje się na łaskawym chlebie w tym przezacnym domu, który niejednego samotnika przygarnął, i otaczał ciepłą, domową atmosferą, tak że każdy czuł się tu dobrze i swojsko. Babunię witał zawsze pan Świeżawski z specjalną atencją, kawałkiem duszy tkwiąc jednak w Widawie.

Te wszystkie starodawne opowiadania znałam z ust sędziwej służby, która mnie w dzieciństwie otaczała, z gawęd najmłodszego z moich sześciu wujów Franciszka, z pamiętnika mojej matki, w którym niejeden ciekawy szczegół znalazłam. Nizało się to wszystko na jedną nitkę, długą jak życie, - drobne zdarzenia codzienne, ludzie i zwierzęta, śmiech i łzy... I w cichej, skupionej atmosferze starego dworu, w cieniu i w świeżym chłodzie obrośniętych winem ganków, utrwalało się to gdzieś w duszy... Tak głęboko, że przetrwało wszystko, i dziś nieśmiało, z mgły lat odległych i pyłu zapomnienia powstaje jak bajka, jak piosenka przebrzmiała, jak pomost świetlany, pomiędzy tymi, co byli "tam" - a tymi, co są teraz "tutaj" i którzy już "tu" będą, bo "tam" nigdy nie wrócą...

Babunię trudno było nakłonić do opowiadania o przeszłości. Na tej przeszłości stało kilka krzyży i leżało kilka płyt grobowych... rodziców, męża, dziecka, córki dorosłej... Odgrodziła się od tej przeszłości przelanymi łzami, skrzepła i zamknęła się w sobie. Natomiast lubiła gawędy o chwili bieżącej, wieczorne kwadranse "balandy" pod piecem. W stołowym pokoju była jedna ściana ciepła od pieca który się w niej mieścił. Pod ścianą tą stała wygodna, niska kanapa, na której zasiadałyśmy po herbacie wieczornej. Jeżeli, w ciągu dnia gdzie jeździłam, musiałam opowiedzieć dokładnie, od początku, ze wszystkimi szczegółami, jak było, kogo widziałam, co słyszałam, jak kto wyglądał, jak był ubrany itd. Nie było w tym chęci kontroli nademną, tylko uważało się za rzecz zupełnie naturalną, aby ta osoba, która była poza domem, opowiedziała tej drugiej, która w tym domu pozostawała, wszystko, co mogłoby ją rozerwać i zainteresować. Jeżeli zaś wyjeżdżałyśmy razem, to również omawiało się po powrocie wspólne wrażenia z wizyty. Nigdy nie nudziłam się przebywając z moją babką, nigdy nie zalegało pomiędzy nami pełne przymusu milczenie. Z obcowania codziennego z osobą starszą wyniosłam umiejętność dostosowywania mojej bujnej młodości do spokojnych wymagań jej wieku. Nauczyłam się wtedy sztuki rozmawiania. Babunia utrzymywała, że gdy człowiek chce, to zawsze ma coś drugiemu do powiedzenia. Trzeba zrobić ten wysiłek. Tylko człowiek leniwy jest mrukiem. Niedawno właśnie opowiadała mi jedna z moich rówieśnic, również kresowianka, jak babka jej wybierając się z którąś z wnuczek na wizytę, zapytywała w drodze: "A czy ty serce moje pomyślałaś o tem, o czem będziesz rozmawiać?" Uważano wtedy, że do ludzi należy iść z pewnym kapitałem umysłowym i dzielić się z drugimi bogactwem, które rozum ludzki może ogarnąć.

Czasem grałyśmy z babunią wieczorem w pikietę, czasem kładłam na okrągłym stole pod wiszącą lampą pasjansa. Przerywał Piotr, który wchodził z imbrykami, za nim chłopiec kredensowy wnosił samowar buchający parą, gotująca się woda szumiała jednostajnie - zasypywałam herbatę. W rogu stołowego pokoju stała okrągła półka staroświecka, o trzech coraz mniejszych od góry kondygnacjach, a na niej filiżanki. Pojedyncze filiżanki, z których każda należała do kogoś z rodziny i czekała, aż ten ktoś przyjedzie, i Piotr mu w niej poda herbatę... Rozpierzchli się po świecie dawni mieszkańcy rodzinnego domu, pozakładali własne gniazda, żyli własnem życiem... Ale w Widawie czekała ich Przeszłość ze swoim czarem minionej bajki dzieciństwa i młodości, i czekały na starej półce filiżanki.

Była jedna, duża biała, w niebieskie bociany w locie, własność wujaszka Włodzia, była biała z czerwonym brzegiem - wuja Karola, wysoka, wąska, w drobne kwiatki różowe - Mańci i babuni zielona z pąsowym makiem, tak długo używana, że barwa od palców się starła i była w tym miejscu biała plama... Myślę, że dziś jeszcze po tylu latach na ruinach rozgromionego mego rodzinnego domu poznałabym skorupy każdej z tych starych filiżanek...

W szklankach nie podawano nigdy w "porządnym" domu herbaty. U ekonoma na folwarku, - tak. U księdza na probostwie w ostateczności także. Ale we dworze polskim - nigdy! To był zwyczaj rosyjski, a my na Podolu jak ognia strzegliśmy się wszystkiego, co Rosją trąciło. Na Ukrainie, gdzie większy był kontakt z Moskalami, zdarzało się że któryś z panów używał szklanki do herbaty, ale wtedy najczęściej w specjalnych srebrnych podstawkach z rączką do trzymania tak jak filiżankę.

Po wieczornej herbacie podawano w Widawie owoce, których babunia była wielką amatorką. Ale uznawała tylko niektóre i to w najlepszych gatunkach. Agrestu, porzeczek, wiśni nie podawano u nas wcale. To były owoce "kuchenne". Leśnych poziomek, ulubionych przez babunię nie mieliśmy wcale. Lasy były odległe o kilkanaście wiorst, nie było zwyczaju noszenia stamtąd jagód. Ogrodowe poziomki sadziłam kilkakrotnie, ale jakoś u nas nie "szły". Zato truskawki miałyśmy wspaniałe i w dużej ilości, ananasowe białe i różowe i znane już wówczas olbrzymie "madame Moutot". Był jeszcze jeden gatunek nazwyczaj plenny o jagodach podłużnych, dużych, bardzo słodkich, kształtem do poziomki ogrodowej zbliżonych, ale jagody mocno trzymały się nasady.

Pędów, tzw. "wąsów" nie dawały te truskawki wcale, trzeba je były rozmnażać przez rozsadzanie krzaczków. Zdaje się, że była to truskawka dzika, uszlachetniona przez kulturę ogrodową. Nigdzie poza Widawą tej odmiany nie spotkałam. Była ona mniej efektowna, ale smaczniejsza od nowszych odmian.

Maliny miałyśmy ogromne, czerwone i białe, powtarzające. Czereśni wcale. Wogóle czereśnie były na Podolu rzadkością. Latem rozpoczynał się sezon znakomitych melonów hodowanych w inspekcie. W południowych powiatach kresowych sadzono je na "basztanach", to jest polowych ogrodach. Kawony, np. czyli arbuzy tylko z basztana są smaczne. Inspektowych nigdy babunia jeść nie chciała. I miała rację. Kawon basztanowy, rosnący i dojrzewający na otwartej przestrzeni, w pełnych promieniach słońca, miał smak przedziwny i słodycz niezrównaną. Gdy się go rozkroiło, był wewnątrz sperlony jakby rosą. Nic mu nie dorównywało w ugaszeniu pragnienia w upał, na stepie ukraińskim! To też hodowano go tam w wielkich ilościach, a ceny w roku urodzaju były poprostu śmieszne. Za rubla można było dostać cały wóz!... Jeżeli się chciało kupić kawona wprost na basztanie, lub nawet a miasteczku na targu, to zwyczaj miejscowy upoważniał kupującego do próbowania... W tym celu wycinało się nożykiem kawałek, jakby okienko ze środka i kosztowało. Jeżeli nie był dość słodki, próbowało się drugi...

Na Ukrainie też jadałam kawony solone w beczkach na podobieństwo kwaszonych ogórków. Jest to doskonała przyprawa do mięsa. Owoc pod wpływem soli nabiera jakiegoś winnego smaku, jest musujący i lekko szczypie w język. Nigdzie w Polsce tego przysmaku nie spotkałam, ani też w żadnej książce kuchennej nie znalazłam przepisu na ten ukraiński specjał.

Wczesną jesienią rozpoczynały się w Widawie brzoskwinie i to w ilości wprost niesłychanej, poprostu pudami! A było tylko jedno krzewo drzewo. To widawskie drzewo brzoskwiniowe było na całą okolicę sławne. Posadziła je jak cały ogród babka babuni pani Wasilewska, której śliczny portret wisiał w saloniku. Było to więc za moich czasów już drzewo stuletnie, a jeszcze po moim zamążpójściu długie kilka lata rodziło... Prawda, że warunki miało nadzwyczajne i wyjątkowe, gdyż mieściło się w osobnym budynku. Po drugiej stronie oranżerji, na niższej niecce ściśnie rozpięte były konary tego olbrzyma. Od południowej strony szereg wielkich okien skupiał na nim światło i gorące promienie słońca. Była to właściwie ogromna ściana ze szkła, służąca jednemu tylko drzewu... Ale ono wypłacało się za szklarza

i za opał (bo w zimie "brzoskwiniarnię" jak ten budynek nazywano opalano na równi z oranżerją) rodząc ogromne ilości doskonałego owocu. Pod moim oknem były posadzone młode drzewa brzoskwiniowe rozpięte na południowej ścianie. Owocowały, ale bez porównania mniej obficie i owoc był o wiele mniej smaczny. A stare drzwo pod koniec dostało raka i uschło. Brzoskwiniarnię rozebrano i znikł ślad po tym widawskim "curiosum" i pańskiej zachciance. Bo przecież inaczej nie można nazwać budowania osobnego pomieszczenia dla jednego drzewa!

Na tyłach oranżerji i brzoskwiniarni znajdował się tzw."kanał". Tam mieściły się paleniska obu budynków, a prócz tego skład narzędzi ogrodowych: grabi, "sap,ryskali" i konewek do podlewania. Tam też znajdowały schronienie dla siebie i swego potomstwa wszystkie włóczące się i bezdomne kotki. Wiedziałam dobrze, gdzie szukać mięciutkich, puszystych kociątek i gdzie nosić im mleko! Razu jednego kuna zjadła maleństwa, a jedno zwłaszcza była takie cudne, całe bielutkie.... Płakałam wtedy, rozżalona na cały świat i pełna współczucia dla kociej mamy, która zdaje się prędzej odemnie pocieszyła się po tej stracie... Zwróciła mi na to uwagę babunia, która nie lubiła sentymentalizmi i ... kotów.

W domu jedna tylko Marfuszka wychowanka Piotra była tolerowaną ze względu na rekordowe zdolności łowieckie. A i to niewolno jej było bez specjalnego zawezwania przekraczać progu przedpokoju, gdzie leżała dnie cała na fotelu, pod kołdrą, jak mały, tajemniczy sfinks z przywróżonymi oczami. Miała bardzo oryginalne futerko w trzech kolorach czarnym, białym i mocno żółtym, właściwie pomarańczowym. Był to jedyny kot "domowy" jakiego pamiętam w Widawie

Przedpokój widawski był przedzielony kolumnami na dwie części. Na jednej z kolumn wprost drzwi wisiało niewielkie lustro, ot takie tylko, aby panowie mogli w nim sprawdzić "rozdziałek" i wąsy podkręcić. Panie tym lustrem nie interesowały się wcale, wchodziły bowiem zawsze do salonu w kapeluszach. Jeżeli to była wizyta etykietalna, to pozostawały w nim przez cały czas, jeśli nie, to po przywitaniu, i szeregu wstępnych frazesów, pani domu proponowała zdjęcie kapelusza i zabierała gości do swego pokoju, gdzie można było włosy poprawić i w odpowiednim miejscu kapelusz umieścić. Wtedy warto było na wsi nosić co innego, jak czapkę! Bo to i nie zmarnował się w przedpokoju, przywalony stosem płaszczy, i można było się nim pochwalić, i nawet zazdrość wzbudzić... Miał więc ten kresowy zwyczaj swoje dobre strony.

Kresowiacy byli bardzo przesądni. Wierzyli w różne dobre i złe prognostyki, w różne zabobony, i w życiu codziennym nieraz do tego stosowali swoje posunięcia i projekty. Tak jak wszędzie, 13-ka była uważana za feralną liczbę, piątek za "ciężki" dzień, w którym nie należy nic rozpoczynać, ani kup też w podróż wyruszać. Za spotkanym "batiuszką" (popem) należało trzy razy splunąć, albo rzucić trzy słomki, aby odwrócić od siebie grożące nieszczęście, pełne wiadra wróżyły gościnne przyjęcie, puste - nie zastanie sąsiada w domu. Nie należało witać się przez próg, palić w równocześnie trzech świec. Rozsypana sól przepowiadała niesnaski w domu, jak również odwrócony spodem do góry bochenek chleba. Jeżeli prawa dłoń swędziła oznacza to powitanie, lewa - pieniądze. Gdy dzwoni w uchu, - ktoś nas ogaduje. Jeżeli na wiosnę ujrzy się pierwszy raz bociany w locie - przepowiada to podróże i nieustanne zmiany. Bociany na gnieździe - osiedlenie się, zagospodarowanie na stałe. Kiedy na dworze szalała wichura, żegnano się pobożnie i mówiono: "pewnie się ktoś powiesił!" Kiedy w zimie dokuczały długotrwałe mrozy - rachowano łysych... to znaczy wymieniano głośno kolejno nazwiska 12 mężczyzn pozbawionych włosów wymawiając po każdym nazwisku po rusińsku słowa "Po resilsia moroz" (przesił się mrozie). Im bardziej łysi byli rachowani delinkwenci, tym lepiej rachowanie miało skutkować!... Jedna ze starszych pań w okolicy utrzymywała, że jeszcze lepiej jest wypisać nazwiska na karteczce i wywiesić na sznurku za oknem... Skutek podobno był natychmiastowy... Praktyki z rachowaniem łysych nie należały bynajmniej do czasów zamierzchłych, uciekałyśmy się nieraz z babunią do tego "niezawodnego" sposobu, siedząc na kanapie pod piecem i słuchając, jak gonty na dachu trzaskają od mrozu... Babunia wzdychała" Trzeba porachować łysych!" Uśmiechała się przytem z pobłażliwością, zapewne nad sobą, i brakiem trzeźwego krytycyzmu...Ja zaś, z rozbujałą wyobraźnią młodości, która tak chętnie przyjmuje bajkę za pewnik - rachowałam. I prawie zawsze nazajutrz była "odelga" (odwilż)...

Działo się tak prawdopodobnie dlatego (jak to sobie dziś tłomaczę), że to był środek heroiczny, ostateczny, do którego się uciekano, gdy już nie można było dłużej znieść zimna... A nasilenie mrozu zawsze po jakimś czasie mija... i okres ten poprostu schodził się z rachowaniem łysych!

Nie lubiono też, gdy psy wyły w nocy księżycowe. Ale na to był również sposób niezawodny: wystarczało przewrócić stojący przy łóżku pantofel z lewej nogi podeszwą do góry... Milkły odrazu!...

Unikano też wybijania drzwi w zamieszkałym już domu, bo to mogło spowodować śmierć kogoś z mieszkańców... Znałam wypadki, kiedy lata całe znoszono okropne niewygody, wynikające ze złego rozkładu pokoi, a nie chciano się zdecydować na przebicie ściany, tak dalece ulegano psychozie przesądu...

Nocą odzywały się "pućki". Były to małe sówki, których mnóstwo mieszkało w ogrodzie, gnieżdżąc się w dziuplach starych zmurszałych drzew. Wieczorem wylatywały z ukrycia i okrążały uśpiony dom cichym, bezszelestnym lotem swoich miękkich skrzydeł. Głos ich, coś podobnego do dźwięku słowa "puć, puć" niepokoił sennych przesądnych mieszkańców. Nie lubiono, gdy one się odzywały. Mówiono, że kogoś "wywołują" i żegnano się pobożnie... Zdaje się, że nigdy nie stwierdzono, aby wołały, gdy ktoś z nas miał "odejść"... One tylko dawały znać, że są - a my przypominaliśmy sobie wtedy, że - nie zawsze będziemy...

Te wszystkie zabobony i przesądy przekazywano z pokolenia na pokolenie, powtarzane w tradycji starych dworów kresowych i z kresami zrosłe, tak nam weszły w krew, że nie pomagało "mędrca szkiełko i oko" i pomimo wszystkich zdobyczy nowożytnego rozumu, ja sama dotąd nie przywitam się przez próg, nie lubię, gdy się sól rozsypie na stole i odruchowo poprawiam przewrócony bochenek, a gdy mróz dokuczy - rachuję łysych....

O ile wiara w przesądy i zabobony była zupełnie przyjętą, o tyle nie uznawano snów, a opowiadanie o nich uważano za przywilej "garderoby", brak wychowania i dowód "prostactwa". Trudno zrozumieć, dlaczego pomiędzy temi dwoma dziedzinami, bądź co bądź pokrewnemi sobie na szczeblach łwdzkiej kultury, czyniono takie rozgraniczenie na niekorzyść snów... Trudno również pojąć, jak to beskrytyczne przywiązywanie znaczenia do niektórych drobiazgów wbrew logice poprostu, godziło się u naszych dziadów z żarliwą wiarą i gorliwą pobożnością... Moja babka, np. gniewnie zdmuchiwała trzecią świecę, którą ktoś niebacznie zapalił, a jednocześnie nigdy nie ubezpieczała plonów od gradobicia, tylko odnośną sumę składała w Tarnorudzie na msze do cudownego Pana Jezusa... I na marginesie już tylko zanotuję, że klęski gradobicia nigdy w Widawie nie było...

W sypialnym babuni był klęcznik, nad nim krucyfiks z relikwiami św.Krzyża. Tym krucyfiksem żegnała nas staruszka błogosławiąc w ważniejszych chwilach naszego życia, przed każdym wyjazdem i dalszą

podróżą. W saloniku wisiał na ścianie duży obraz starego pędzla: Matka Boska z mr rodzicami, św. Joachimem i św. Anną, Święta Rodzina - ta ziemska jeszcze zupełnie, bez Jezusa, ale już przesiąknięta Jego cnotami i Jego niebiańskim tchnieniem. Przed tym obrazem klękaliśmy wspólnie w dnie świąteczne, kiedy z powodu bezdroży nie można było dojechać do kościoła. Babunia odmawiała głośno modlitwy, odczytywała Lekcję i Ewangelję. Zwyczaj ten przetrwał w Widawie do końca. Jeżeli w domu był gość, klękał i modlił się razem z nami. Na progu klęczała służba katolicka. W wielu domach kresowych, we wszystkich prawie istniał zwyczaj tych wspólnych nabożeństw świątecznych.

Ale, o ile było można, jechało się do kościoła. Parafje były nieraz odległe, 10, 12, 15 wiorst. Od czasu do czasu, to tu, to tam wypadały odpusty. Wtedy wszyscy księża do jednego kościoła się zjeżdżali, dzieląc pomiędzy siebie trud spowiedzi i kazania. Jechało się wówczas tam, gdzie był odpust. Na "Szkaplerzną" w Tarnorudzie, na "Spasa" (Przemienie Pańskie) w Kumanowie.

"Wielki odpust w Kumanowie, przy licznym udziale,
"Tak jak zwykle w tradycyjnem odbył się upale"

rymowałam w liście do Tytusa.

Istotnie, 6 sierpnia, więc tłok, ścisk i najczęściej upał niesłychany. Ludzi zbierało się nieraz po kilka tysięcy, grzmiały organy, śpiewano suplikacje, ksiądz podtrzymywany przez dwóch najpoważniejszych obywateli niósł wysoko nad tłumem wzniesioną złocistą monstrancję, procesja obchodziła kościół dookoła, przy biciu dzwonów, srebrzystym dźwięku ministranckich dzwonków i śpiewach z wezbranych piersi. I serca naprawdę wzbierały pieśnią pobożną, polską, co na usta się rwała jedynymi słowami w ojczystym języku, którymi nam głośno mówić było wolno!... Wiarą ojców wzbierały serca i dawały temu wyraz te tłumy, kornie w proch padające na dźwięk słów: "Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny!" Śpiewają tę pieśń wszędzie, jak Polska długa i szeroka, ale nie wiem, czy gdziekolwiek śpiewano ją tak żarliwie, jak właśnie u nas na kresach!

Były to lata prześladowania i ucisku polskości, katolicyzmu tworzył oazy wśród morza "urzędowego" prawosławia, i nigdy nie wiadomo było, czy po odpuście któryś z księży za jakieś niebaczne w kazaniu słowo nie pójdzie "na pokutę" lub nawet na "wysiedlenie"... Milczący, ponury, podejrzliwy stał wówczas w kościele wśród tłumu rozmodlonego ludu i obłoków wonnego kadzidła "stanowy", umundurowany przedstawiciel władzy i przemocy. Jeżeli był "gorliwy" lub chciał robić karjerę, przyczepiał się do byle czego i zaraz pisał "donos".

Bierniejszy nie doszukiwał się "zdrady Państwa" na każdym kroku. Czułego wreszcie na pieniądze można było "habarem" (łapówką) unieszkodliwić.

Księża bywali różni, ale gorliwi byli chyba wszyscy, bo to w powietrzu leżało i każdy mimowoli podrywał się ku górze, dawał ze siebie największy wysiłek, dbał o kościół, o szaty liturgiczne, o uroczystą oprawę nabożeństw. Bowiem rozumiał każdy, że przyciąga do kościoła tym sposobem wrażliwe na zewnętrzne formy kultu owieczki. Ileż to za mojej pamięci odnowiło się na kresach kościołów, - a kosztem jakich wysiłków i przeszkód, i trudów, - to Bogu jednemu wiadomo!. Ile zorganizowało się nabożeństw, choćby pierwszo-piątkowe, uroczyste, przez księdza K. wprowadzone w Tarnorudzie. Ile cichej pracy pasterskiej w okresie wielkanocy, w parafjach liczących nieraz do 5-ciu tysięcy dusz. Ile heroicznej odwagi na ambonie, gdy trzeba było mówić, a ukryty za kolumną wróg słuchał i na każde słowo niebaczne, zbyt śmiałe, zbyt gorące czyhał...

Niechże te linje pobieżnie kreślone i tematu w jednej setnej części nie wyczerpujące, będą hołdem dla tych wszystkich kapłanów, którzy w parafjach naszych pracowali i trwali na kresowej ziemi - do ostatka.

W zapiskach tych nie zajmuję się polityką. Jeżeli więc użyję słowa: wyrażenia: "Kresowiacy byli konserwatystami" - to mam na myśli zamiłowanie ich do tego, co było, co ich otaczało w formach życia zewnętrznych i w przedmiotach martwych.

We dworach naszych nic nie zmieniało się latami. Nie przesuwano mebli, nie przewieszano portretów. Zawsze na tym samym miejscu stały stare kanapy, zawsze nad nimi wisiały te same lustra w złoconych ramach, lub poczerniałe obrazy. Serwantki mieściły te same cacka: filiżanki saskie i figurki z sewrskiej porcelany i grające blaskami tęczy cudownie rżnięte kieliszki z kryształu... W rogu rozpierały się te same brzuchate komódki zamczyste, na konsolach biły godziny lub zastygały w martwym bezruchu wahadeł zegary empirowe... Do każdego z tych starych pokoi można było wejść po ciemku i śmiało iść przed siebie, bez obawy natknięcia się na nieprzewidziany przedmiot... Wszystko było od lat "przewidziane" i trwało bez zmian. Jeżeli zaś zmiany próbowało czynić młode pokolenie dochodzące do głosu, to spotykało się z krytyką: głośną krytyką żyjących, i niemą krytyką przedmiotów, które na znak protestu za poruszenie ich z dawno zajętych stanowisk, ukazywały nagle jakieś rysy, pęknięcia lub barwy spłowiałe.

U nas w domu nie pamiętam nigdy żadnego przemeblowywania. Jedynie w moim pokoju wolno mi było coś niecoś poprzesuwać i zmodernizować. Ale pozatem, stary dwór tkwił w oprawie swoich dwóch winem obrosłych werand, które niewiem dlaczego nazywano "markizami", przepełniony starymi rzeczami i przez to właśnie taki swojski, że się w nim nic nie zmieniało. Każdy, wróciwszy po latach do rodzinnego gniazda odnajdywał stare kąty, a wśród nich swoje wspomnienia... Dziś wspomnienia te bezdomne skarżą się wichrom stepowym na swoją niedolę, a my mozolnie i daremnie staramy się dobić do jakiejś przystani, coby nas otuliła ciszą swoich ścian, jak niegdyś otulał stary, ukochany dwór...

Z pośród szczegółów charakteryzujących epokę i ludzi nasuwa mi się na pamięć sypialnia babuni, z której nigdy nie usunięto drugiego łóżka. Gładko zasłane, z nietkniętymi poduszkami i kołdrą, przykryte kapą, stało pod opieką obrazka Matki Boskiej, święconej palmy i kropielniczki z wodą święconą u wezgłowia. Dziada mojego już prawie nie pamiętam, po śmierci mojej matki chowałam się w Widawie, tam wzrosłam, stamtąd za mąż wyszłam, dwukrotnie z dzieckiem mojem przyjeżdżałam.. W sypialnym pokoju nic się nie zmieniało i maleńka gąbeczka w kropielniczce była zawsze wilgotna... Ktoś wody dolewał stale, ktoś pamiętał, i łóżko zmarłego było nietykalne..., święte... Wydobywam dziś na światło dzienne te drobne szczegóły przez nikogo nie zauważone, przez nikogo nie zaobserwowane... Bystre oczy podlotka patrzyły, kobieta dojrzała sprawdziła z tajonym wzruszeniem. Wydobywam na światło dzienne drobne, charakterystyczne dowody wierności, silniejszej niż śmierć, - dziś, w dobie powszechnych rozwodów, co jak rak społeczeństwo toczą.. Przymykam oczy na chwilę i ważę na szali serce kobiety wtedy i - dziś...

Powróćmy jednak do życia powszedniego. Niosło ono jak zawsze życie - troski i choroby. Jak się wówczas leczono?

Doktorów było niewielu. Nazywano ich "konsyljarzami" i mało co wyżej "uważano" od cyrulików... Wezwani do chorego, przyjeżdżali ze w długim, czarnym surducie, zapisywali bańki i mikstury i czasem zagraniczne :"bady". Bańki stawiano cięte, a do "badów" chętnie jeżdżono. W modzie był Karlsbad, Marienbad, Francensbad, później nieco Krynica. ~~Niekiś~~ Wielkim również powodzeniem cieszyły się morskie kąpiele na Limanie w Odesie. Tak jak sobie to dzisiaj uprzytamniam, to wyjazdy te były nakazem mody i pewnym snobizmem raczej podyktowane, niż prawdziwą potrzebą. Ludzie byli silniejsi, warunki życia

zdrowsze, trudno zresztą przypuszczać, aby wszyscy potrzebowali w tym samym roku leczyć się w Karlsbadzie, lub w Marienbadzie obchudzać. Do Krynicy i na Liman jeżdżono całymi domami, z bonami, nauczycielkami, fraucymerem.

W razie wielkiej niedyspozycji leczono się środkami domowymi. Więc oczywiście kwitł kwiat lipowy na poty, mięta na żołądek i tym podobne zioła. Ale prócz tego uciekano się do tzw. "środków sympatycznych". Nazywano je tak, może dlatego, że dość daleko odbiegające od medycyny, działały zapewne mocą sugestji, sympatją jaką dla nich odczuwano... Chociaż... może pod bardzo prymitywną formą zawierały istotnie składniki lecznicze. I tak np. na anemję ówczesne panienki jadały jabłka, w które poprzednio na kilka dni nabijano szereg gwoździ... Jadałem je... Miały smak żelaza. Na chrypkę i "ciężar na piersiach" przykładano plaster z kozłowego łoju, łój rozsmarowywano cieniutko na kawałku papieru, zwykle rodzaju grubej bibuły, w którą były wówczas opakowywane głowy cukru. Do takiego plastra przystykało się dwie tasiemki i zawieszało na szyi. Należało to nosić na piersiach, pod bielizną tak długo, aż przeziębienie minęło. Małym dzieciom, gdy miały katar smarowano piętki również łojem... Na jęczmień były dwa sposoby: albo należało go "rozpędzić" i w tym celu, gdy zaczynał zbierać, natrzeć go w kształcie krzyża złotem dukatowem to jest złotą obrączką, - albo, gdy był "dojrzały" przyśpieszyć pęknięcie rzucając w płonący ogień trzy ziarna jęczmienia. Na ból oczu - kompresy z esencji herbacianej i przemywanie "wodą ogórkową", o czem już wspominałam. Na wyrzuty skrofuliczne herbatka z liści orzechowych i dzikich bratków polnych. Jak widzimy - ziołolecznictwo na pograniczu zabobonu... Dlatego uważam, że nazwa była doskonale dobrana: "środki sympatyczne".

Doktorów, jak mówiłam było na tej ogromnej połaci kraju niewielu. Pamiętam dobrze dra Nitowskiego w Czarnym Ostrowiu, świetnego djagnostę, tego, który pierwszy w tych stronach zwrócił uwagę na ślepą kiszkę. W Gródku mieszkał przyjaciel wszystkich dworów okolicznych stary doktór Eustachy Targowski. Ogólnie lubiany, miły i ogładzony towarzysko, niesłychany amator tańca, był jedynym z tej epoki "konsyljarzem", którego przyjmowano nietylko jako doktora, ale jako gościa. Na wieczorkach, wątpiąc już w swoje szanse (zważywszy łysinę i pokaźny brzuszek) nie "sumął" do starszych panien, tylko z zapałem obtańcowywał podlotki, zaszczycone i dumne z jego wyboru. Z tych też lat moich młodocianych datuje moja z nim przyjaźń. Póź-

niej, gdy zaczęłam się zajmować chorymi w Widawie, był moim doradcą. Uśmiechał się z trochę kpiąco widząc mój zapał, i zazwyczaj nazywał moje wysiłki "społeczną filantropją", ale rozumiał doskonale, że na tych ogromnych przestrzeniach, przy stanie dróg i wielkich odległościach od większego centrum, powinien każdy dwór mieć apteczkę i powinien w tym dworze być ktoś, kto da pierwszą pomoc w razie wypadku lub nagłej choroby. Pouczał więc mnie praktycznie i pod jego kierunkiem i według jego wskazówek opatrywałam rany i wrzody, stosowałam bańki i kompresy. Podał mi spis środków, które miałam zawsze pod ręką, wraz z watą, gazą i bandażami. I jakoś pomagało się tym ludziom, którzy z wielkim zaufaniem garnęli się do mnie. Znał też doskonale Dr.Żarnow Targowski chłopa ruskiego i jego ciemnotę i patrzył na niego bez złudzeń. "Gdy do pani przyjdzie po lekarstwo, niech pani nie wybiera tej chwili, aby go cywilizować i pouczać! To cel chybiony. Trzeba go brać takim, jakim jest i do tego swoje rady dostosowywać. Jeżeli pani chce, aby osłabionemu po tyfusie czy zapaleniu płuc babа rosół zgotowała, - to zamiast jej tłumaczyć, że ma chorego odżywiać, niech jej pani każe zarżnąć o zachodzie słońca czarną kurę na progu chaty nożem trzykrotnie umaczanym w wodzie... Wtedy może być pani pewną, że kurę włoży do garnka... Im więcej głupst jej pani powie, im dziwaczniejsze będą panine polecenia, - tym większą wzbudzi pani wiarę..."

Było to dla mnie młodej, przejętej różnymi hasłami, niemiłe i trudne, ale z biegiem czasu przekonałam się, że stary Targosio miał zank rację... Hasła są bardzo dobre na wiecu i na papierze... a życie płynie utartym korytem i niechętnie to koryto zmienia....

Proboszcz w Felsztynie ks.G. potrzebował pieniędzy na odnowienie kościoła. Postanowiono urządzić na ten cel loterję. Zebrano liczne fanty, różne drobiazgi, ktoś dał parę prosiąt, ktoś drugi ofiarował krowę... Jedna ze starszych pań zajmowała się całością imprezy. Rozdała po wszystkich dworach bilety do sprzedania. Dostałam i ja pewną liczbę. Kosztowały po 25 kop. i choć w krowę nikt nie wierzył, kupowano chętnie, nietylko służba dworska, ale i wieś. Kupił "batiuszka", kupił Wejlich... Z tym była potem, awantura. Wygrał duży portret Leona XIII... "Nu, co ja z nim zrobię?" - pytał zakłopotany wielce. Odkupiłam od niego ten portret za rubla i ofiarowałam klucznicy. Zarobił na czysto 75 kopiejek i był uradowany.

Ponieważ miałam właśnie wyjechać do Lwowa, na kilka tygodni, więc porządkowałam listę sprzedanych biletów, aby ją wraz z pieniędzmi odesłać do Żuczkowiec, gdy naraz stary Piotr przynosi mi 25

kopiejek w 5-ciu ogromnych, miedzianych monetach i mówi, że Ksenia z ogrodu prosi o jeden bilet. Byłam zła, bo kopertę już przed chwilą zakleiłam... "Nie mogła to wcześniej się zdecydować?" -"A no, proszę panienki, taka biedna dziewczyna, żal jej było pieniędzy, ale widzi, wszyscy biorą, no to i jej się zachciało." - "A jaki% ona chce numer?" - "Ona mówiła, że nie wie". Dałam pierwszy lepszy, który mi wpadł w ręce. Ponieważ losowanie fantów miało się odbyć podczas mojej nieobecności, więc poleciłam kucharzowi, Kostkowi Adamowskiemu, aby w mojem zastępstwie pojechał w oznaczonym dniu do Żuczkowiec i odebrał dla Widawy wygrane fanty.

Opowiadał mi potem, że kiedy wrócił z tego losowania i oznajmił Kseni, że wygrała krowę, rozpłakała się ze złości, sądząc, że sobie z niej kpi! Była to sierota i siedziała u obcych ludzi na komornem. W głowie jej się niechciało pomieścić, aby się jej coś podobnego przytrafiło!. Z trudnością wyperswadował jej Kostek, że to prawda, że musi nazajutrz nająć chłopa z "motuzem" (sznurem) i posłać po krowę...

A kiedy tę krowę zobaczyła, rozpłakała się po raz drugi, tym razem ze szczęścia. Oto była teraz "posażną dziewczyną". Mogła wyjść zamąż, jak każda gospodarska córka! Miała krowę!...

Epilog rzeczywiście nie kazał na siebie czekać...tyle, aby wyszły zapowiedzi... Znalazł się amator na krowę i Ksenię. Gdy wróciłam ze Lwowa, była już "młodycią" (mężatką).

Wszystkie dziewczęta, które u nas służyły, wszystkie ze wsi, które się lepiej znało, przychodziły przed ślubem prosić o błogosławieństwo. Odbywało się to z padaniem do nóg i z wielkim płaczem, który był warunkiem koniecznem tego ceremonjału. Łzy trzeba było osuszyć datkiem pieniężnym. Przysyłały potem weselny "korowaj" (placek).

Po skończonych żniwach przynoszono do dworu wianki z pszenicy i żyta, które zawieszano w przedpokoju, gdzie pozostawały do następnych żniw. W dzień wilji, starszy parobek (w Widawie stary Prokop) przynosił snopek złożony ze wszystkich gatunków zbóż, a potem sięgając pod nogi garść ziarna mówił:" Żebyście byli zdrowi jak woda, weseli jak wiosna i bogaci jak ziemia". Zachwycała mnie poezja tych życzeń, śliczne i takie trafne porównania. Formy tej używał lud miejscowy stale, o ile chciał "panom" powinszować.

Kolację wigilijną jadano tak jak wszędzie z sianem pod obrusem. Zasiadano do niej z pierwszą gwiazdą, łamano się opłatkiem ze służbą. Jadłospis był mniej więcej taki sam jak wszędzie, ryby pod rozmaitemi postaciami, i kompot z "suszeniny" (suszonych owoców). Jako typowe kresowe potrawy występowała kapusta duszona z grzybami, pierożki drożdżowe z powidłami, i na zakończenie wieczerzy - kutia.

Prawdziwa, autentyczna "kutia" to ziarna pszenicy, moczone przez 9 dni, aż napęcznieją i zmiękną trochę, potem gotowane i wymieszane z makiem, który się uciera z miodem. Masa ta powinna być gęsta. Dobrze zrobiona "kutia" jest bardzo smaczna.

Lud kresowy był muzykalny. Może nietyle spotykało się tam pięknych głosów, ale słuch mieli wszyscy wyborny. Pieśni i dumek znali bez liku i bardzo lubili śpiewać. Śpiewali nietylko przy wszelkich uroczystościach i przy zabawie, śpiewali przy robocie. Zeszły się dwie baby ba kładce nad stawem, walą kijankami w bieliznę - i śpiewają. Pielą grządki w ogrodzie - śpiewają. Idą z sierpami na łan - śpiewają. Przy burakach, gdy na ogromnym łanie było czasem po kilkuset ludzi, wzwał niosła się pieśń chóralna, cienki dyszkant głosów kobiecych, mocny a głęboki bas męski. Melodje były po większej części tęskne, słowa smutne, a że i sam sposób śpiewania był rozwlekły, robiło to zdaleka wrażenie żałosnego zawodzenia. Ale na tych polach bezkresnych miało to urok swoisty i wiele poezji. Melodji skocznych mało się spotykało, pomimo, że kozak był tu przecie narodowym tańcem. Takie nieliczne piosenki o skocznym rytmie nazywaliśmy "czabaraszki", np. znane: "I szumyt i hudyt, dribnyj doszczyk ide..." albo "Czerez riczeńku, czerez hołoto, podaj ruczeńku moje zołoto", ale i one miały melancholijny podkład w słowach.

Zastrzegałam się przeciw polityce... W trakcie pisania tych kartek z "przeszłości" pulsujące tętno dnia bieżącego raz po raz odrywało moje myśli od tego co było, a kazało patrzeć na to co jest... W wyniku tych wyżł obserwacji nasuwają mi się pewne analogje.

Od trzech lat trwająca wojna domowa w Hiszpanji wielkimi krokami zwycięskiej ofensywy gen.Franco zbliża się do końca. Pozostawia za sobą morze krwi bratniej, ruiny, gruzy, nieprawdopodobne zniszczenie całego kraju...

Obwiniają nas często, żeśmy tam, na kresach nie umieli zjednać sobie ludności miejscowej, że krótkowzroczna nasza polityka nie potrafiła zjednoczyć w jedną całość organiczną tych obszarów, obwiniają o kastowość i tak dalej...

Mój Boże! czyż ta nieszczęsna Hiszpanja, gdzie brat walczy przeciw bratu, gdzie synowie tej samej ziemi topią ją we łzach i krwi dla celów partyjnych, pod batutą wpływów obcych i ogólnych, światoburczych zapędów, - czyż ta Hiszpanja nie jest dowodem, że tam gdzie do walki staje demagogja, a wywrotowe hasła rozbujają tłumy, tam niema mowy o zahamowaniu niszczycielskiego procesu. W Hiszpanji Hiszpan walczył z Hiszpanem. Tam u nas lud ruski, prawosławny powstał przeciw szlachcie katolickiej i polskiej... I tu i tam, bolszewicki szatan zbroił ludzi do bezprzykładnej rzezi... Jeśli nawet przyjmiemy, że wśród komunistów trafiają się ideowcy, którzy pragną walczyć o sprawiedliwość, - to zapominają oni o wielkiej prawdzie, którą tak trafnie wyraził Krasiński:

"Kto chce iskier z czarta kuźni
"By przepalić czarta moc,
"Ten mądrości wiecznej bluźni,
"Ten świat w gorszą spycha noc!"...

Zawieruchа na Kresach, pogromy dworów, zmuszanie szlachty do opuszczania odwiecznych gniazd, zamienianych przez motłoch w kupy gruzów i zgliszcz, - to nie był akt zemsty dziejowej za jakieś nasze na tej ziemi błędy czy winy... To był żywioł, który rozpętany, już się opanować nie dał, aż spełnił dzieło zniszczenia, aż się wyładował w strumieniach krwi, w łunach pożarów, w morzu cierpienia i łez. Żadne "ludzkie" metody, żadna praca społeczna wśród wsi nie zdołają zahamować tego rozszalałego huraganu, jakim jest tłum... Aby się takim katastrofom jak w Rosji i w Hiszpanji przeciwstawić, trzeba uchwycić hydrę zła za łeb! Uodparnianie przeciw niej jest tylko półśrodkiem, który w danym momencie zawiedzie. Były na Podolu i Wołyniu dwory, odgraniczone od wsi murem obojętności lub niechęci. Były takie, które żyły z chłopami na nieustannej stopie wojennej, procesując się i sądząc o kradzieże i szkody... Były takie, które szły do ciemnego ludu z pomocą, lekarstwem, dobrym słowem, braterskim sercem... Poszły z dymem wszystkie.

Chyba nikt piękniej od Konopnickiej nie zaklął w słowa uroku, jaki posiada dla każdego jego rodzinne gniazdo!

"Czy znasz ten dom, rodzinny dom
"Co w letnią noc, wśród srebrnej mgły
"Szumem swych lip wtórzy twym snom,
"A ciszą swą koi twe łzy?... "

Lipy. W ich ciemną, bogatą zieleń wtulały dwory z kresowe swoje białe ściany. Całymi zagłądały w niskie okna, ocieniały dach gontami

kryty, a latem w porze kwitnienia całą sadybę owiewała miodna, słodka woń. Drzewa dyszały gwarem pszczelnych roi, pracowicie brzęczących pośród liści... Hej!.. czy pachną gdzie lipy tak mocno?...

Ogród w Widawie był stary. Mówiono mi, że sadziła go babka babuni pani Wasilewska. Widocznie założono go według pewnego planu, gdyż pagórkowaty teren od dworu ku stawom schodzący był bardzo umiejętnie wyzyskany. Skupiny drzew i krzewów, kręte ścieżki, pojedyńcze drzewa, rozrzucone na ogromnych trawnikach. Był to stanowczo jeden z najładniejszych "parków" w okolicy. Słowa "park" jednak nie używaliśmy nigdy na kresach, choć zadrzewione przestrzenie dokoła dworów naszych (których również nie mianowano pałacami) były nieraz ogromne. Mówiło się poprostu: dwór i ogród.

Otóż w ogrodzie widawskim prócz lip były ogromne świerki, wyniosłe białodrzewy i brzozy. Czy jest cudowniejsze drzewo jak brzoza, inna o każdej porze roku, a zawsze pełna poezji i wdzięku. Czy na wiosnę, gdy się w jasną zieleń młodziutkich listeczków ustroi, czy w lecie, gdy szumi melodyjnym pogwarem gęstych gałęzi, czy w jesieni, kiedy cała złota stoi na tle zwiewnych tumanów mgły, a z każdym podmuchem wiatru sypie deszcz liści i kobiercem w barwach szlachetnego kruszcu ziemię zaściela, - czy w zimie wreszcie, gdy stanie, jak panna młoda w ślubnym stroju, cała w puchach śniegowych, lub też wszystkie swoje gałązki w stalaktyty zamieni i cichutko niemi dzwoni...

"I płynie jakaś dziwna melodja w zaświaty,
"Melodja, której nawet anieli nie roją,
"Melodja, której nigdy nie usłyszą kwiaty,
"Choć się stokroć słowika trelami upoją..."

Toteż zajmowała ta królowa drzew poczesne miejsce w naszym ogrodzie. Prócz niej były jeszcze ogromne jesiony, klony i graby i brzosty. Wierzby naturalnie, rosochate na groblach nad stawem, dziesiątki razy rąbane, przycinane corocznie, a zawsze z nową siłą prężną wybuchające ku życiu młodymi, tryumfalnymi pędami. Były wierzby płaczące, o długich, zwiewnych gałęziach, smutnych w swoim doziemnym geście zniechęcenia... Ich mało. Gdzieniegdzie trafiały się topole włoskie, piramidalne, ale nie pasowały tutaj, sztywne, jakby sztuczne, na tle krajobrazu, gdzie przeważały linje faliste i miękkie. A u stóp drzew drobiazg roślinny: kaliny, bzy, jaśmin, czeremchy, dziki bez, tak zwany "buzyna", uważany za chwast i zajadle tępiony. Niesłusznie! Zerwany liść czy ułamana gałązka wydawały wprawdzie niemiłą woń, a kwiaty o miodnym, dusznym aromacie do bukietów się nie nadawały wcale. Ale zato kształtem były cudne, olbrzymie, baldaszkowate grona, złożone z drobniutkich, białych kwiateczków, z

których każdy był pyłkiem śnieżnym o złotym serduszku... Gdzieniegdzie w ogrodowych skupinach trafiały się akacje obwieszone przez czas krótki przepychem wonnych gron, lecz nie lubiono ich ogólnie, bo to i rozwijają się na wiosnę ostatnie, i najwcześniej, przy pierwszym szronie liście tracą, i w czasie kwitnienia ścieżki zaśmiecają... Kasztany... jesienna uciecha wszystkich dzieci, uroczyste letnie kandelabry, bogato łyskające wśród zieleni ciemnej baldachami kwiatów, jak woskowymi świecami...

W Widawie dziedziniec dworu był z jednej strony okolony kasztanami. Pod nimi mur niski, odgraniczający podwórze gospodarskie, podsadzony żywopłotem, który rósł marnie, będąc zbyt ocieniony drzewami. Mur i żywopłot dotykały szczytu kuchni, gdzie pod dachem gnieździły się gołębie. Niegdyś dobierała się do nich kuna, wdrapując się na górę po konarach ostatniego kasztana. Więc drzewo ścięto równo z żywopłotem, i ten wysoki, martwy pień sterczący pośród bzu, który w tym miejscu rozrósł się wyjątkowo bujnie, wyglądał zawsze w mych oczach jak zgilotynowany winowajca... Dokoła niego wyobraźnia moja snuła fantastyczne bajki, i dziś może dopiero spostrzegam,że w samem ich założeniu była pomyłka... Bo winowajczynią była kuna... a kasztan poniósł karę niesłusznie!...

Ale po tym spełnionym wyroku gołębie jeszcze liczniej się rozmnożyły, wzlatując w niebo pogodne i w słońce złote pstrą chmurą trzepocących skrzydeł... A kunom również dobrze się działo, bo hałasowały po dawnemu na strychu nad dworem i goniły się po dachu w noce księżycowe. Nie wiem, gdzie zaopatrywały się w żywność, bo nie słyszałam, aby kluczniczka skarżyła się kiedy na jaki mord w kurniku. Może żywiła je krwią swoją i jajkami rzesza ptasia, bo była tych skrzydlatych mieszkańców w ogrodzie moc niesłychana. W każdym razie słowików nie potrafiły wytępić, bo w maju od zmierzchu do pierwszego brzasku stary ogród trząsł się od kląskań i treli i drżał cały miłosną melodją maleńkich gardziołków. - Babunia lubiła słowiki i znała się na ich pieśniach. Wiedziała na czem największy kunszt polega, i w których krzakach bzu najlepszy śpiewak mieszka. Szłam z nią o zmierzchu do ogrodu, jak się mówiło "na słowiki". Siwe włosy, pomarszczona twarz, przygarbione ramiona nie przeszkadzały jej odczuwać wzruszenia pod wpływem wiosennej pieśni miłosnej... Wtedy, chwilami wydawała mi się młodą, i czasami, bardzo rzadko mówiła o sobie.

Pamiętam pojedyńcze okazy drzew w Widawie, tak jak się pamięta osoby bliskie i drogie. Pamiętam nietylko związane z nimi jakieś drobne przeżycia, fakty, ale również nastroje, zadumy, myśli i wie-

rsze napisane w ich cieniu, pod ich opiekuńczą zielenią... Ja sądzę, że człowiek tylko wtedy żyje całą pełnią życia, o ile tkwi korzeniami w ziemi, która go wydała, o ile jest organicznie złączony z innymi tworami tej ziemi, swoimi braćmi... Św.Franciszek mawiał: brat słońce, siostry gwiazdy... Ja miałam zawsze ochotę powiedzieć: "brat klon, siostra lipa, brzoza..."

Był stary orzech w ogrodzie, niski, ogromny, rozłożysty. Blisko nad ziemią gałęzie jego podawały chciwym dłoniom młodzieńczym swą mi niedojrzałą, zieloną tajemnicę... Czasem skusiły się te dłonie... Palce niecierpliwie zrywały zewnętrzną powłokę, która pozostawiała na nich czarne, trudne do zmycia ślady i natrafiały na drugą przeszkodę: stwardniałą już skorupkę, z której dopiero przy pomocy kamienia wyłuskać można było mleczne jeszcze, już w dziwaczne kształty poskręcane jądro... Zostawał po nim dziwny, nieco gorzkawy posmak... niby rozczarowanie... Trudu pokonanego tyle i tylko tyle przyjemności?...

Nieraz, w latach późniejszych obserwując życie, myślałam, że ma ono dużo podobieństwa do tych orzechów, zbieranych w dobie dzieciństwa....

Tradycja mówiło, że było to drzewo zasadzone w roku urodzenia młodszego brata mojej matki Włodzimierza. Pomimo więc okazałego pnia i potężnych konarów był to benjaminek i smarkacz wśród innych drzew tego starego ogrodu. Zapewne od dawna go już nie ma, a wraz z nim zginęło to całe liściaste rodzeństwo moje, ci starzy przyjaciele, co niegdyś "szumem swym wtórzyli mym snom..." Otaczają mnie inni ludzie, nachylają się nademną inne drzewa, piękne... może piękniejsze... ale nie te same!

Mówią, że tęsknota osłabia... Nie piszę tych kartek dla pokrzepienia serc. Piszę kronikę. W niej jak w zwierciadle odbija się epoka, wśród której należymy my, należę ja razem z moją miłością kraju rodzinnego i moją za nim tęsknotą. Miłość ta stanowi integralną część naszej natury, a my sami, od źródła tej miłości odcięci, - musimy reagować nieutuloną tęsknotą na wyrządzoną nam przez dzieje krzywdę. Możemy żyć, pracować, brać udział czynny w bieżących sprawach narodu i społeczeństwa. Możemy z bezprzykładną energją i prężnością kresowiakom właściwą borykać się z trudnościami doby obecnej i naszego położenia. Możemy nasz wrodzony zapał włożyć w jakieś przedsięwzięcie, możemy nawet intensywnie znów budować i tworzyć... Ale przychodzi godzina, która nas bierze w swoją Moc, która dusze nasze wyrywa rzeczywistości i na skrzyd-

łach wspomnień unosi. Jakieś słowo, jakiś gest, jakiś przedmiot, pożółkła fotografja, zabłąkany list - budzą nagle te wspomnienia tak starannie pod maską obojętności ukrywane, i wtedy znów, na krótką chwilę "... jesteśmy tam ,nas tutaj niema wcale..."(Leopold Staff).

W kronice naszych dni i w naszej tęsknocie zawiera się to samo: dusza kresowa i jej prawda. I dlatego czasem na tych kartkach pozwalam rozszlochać się tęsknocie.

-- ---------

Na dole w ogrodzie, w grupie świerków i mizernych sosen stała na wysokim cokole kamienna "figura" św.Jana Nepomucena, patrona wód. Prawie każda sadyba dworska na Podolu leżała nad szeroko rozlaną taflą stawów, i zielonym obszarem mokradeł i prawie wszędzie nad nimi wznosił się św.Jan, cisnący do piersi krzyż i patrzący okiem kamiennym w dal wody i przeszłości... Mieściły się te pomniki pobożnego kultu w obrębie ogrodów. Ale niegdyś było inaczej, stały one w polu, na groblach, na skrzyżowaniu dróg. Przeniesiono je do ogrodów po roku 63-cim, gdy srogie represje i prześladowania religijne zniosły z oblicza kraju krzyże katolickie i świętych czczonych powszechnie w kamiennych "figurach" przydrożnych. Widawski św.Jan stał dawniej w szczerym polu, u wylotu Mazurkowej grobli, którą jechało się do wsi od strony północnej. Ocieniały go również drzewa, jedno z nich zostało. Była to akacja. Widziałam ją jeszcze w roku 1917-tym, gdy po raz ostatni byłam na Podolu. Od lat całych taka sama, sucha, naga, odarta z kory, wyciągała ku niebu bezlistne ramiona, w których zastygły zapewne szemrane niegdyś u jej stóp pacierze... Nie tknęła jej przez pół wieku z górą chłopska siekiera niszczycielska, jakby zaczarowana w jakimś zabobonnym lęku... Dlaczego przetrwało tak długo to poświęcone drzewo?... Jakie moce tajemne broniły je przed ludźmi i przed żywiołem, co nieraz w postaci jesiennych wichrów szarpał je i miotał jak maszt zatapianego okrętu!... Ileż to razy, dążąc w zamieć śnieżną do domu, z dzikim lękiem przyczajonym w piersi, wyrywaliśmy się utęsknioną myślą do tego drogowskazu wśród białego oceanu!... Ileż razy witaliśmy je westchnieniem ulgi i szeptem pełnym dziecięcej wdzięczności:Dzięki Ci, dzięki Ci Boże!...

Czy stoi jeszcze teraz tam na rozstaju stara, sucha akacja, drogowskaz mxexxz czasów naszego dzieciństwa?....

Warzywnik i "młody" ogród owocowy zakładany już przez babunię, znajdował się po prawej stronie ogrodu spacerowego. Oddzielony był

"parkanem" (sztachetami). W pobliżu był "loch" (piwnica), gdzie przechowywano owoce zimowe, wspaniałe gatunki gruszek i doskonałe jabłka deserowe i kuchenne. Latem, gdy owoców nie było służyła piwnica ta na nabiał. Tam zlewano mleko do glinianych "hładuszczyków", tam robiono masło i ser. Było to daleko od "krowiarni" gdzie dojono, i od "piekarni" gdzie rezydowała klucznica ze swoim sztabem. Ale podobno ten "loch" był najlepszy ze wszystkich: chłodny, a przytem suchy. Zachodziłam do niego często w każdym sezonie, żyjąc w wielkiej przyjaźni z klucznicą Ortyńską i chętnie kosztując to sera i masła, to owoców... Tak zwany "stary sad" rozciągał się długim, wąskim pasem za bramą wjazdową i drogą, dotykając stawu. Rezydował w nim latem "sadownik" z żoną i kupą bachorów, mieszkając w chruścianej budzie i pilnując owocu. Z biegiem lat stare jabłonie i grusze pamiętające jeszcze czasy pani Wasilewskiej przestały rodzić i schły, jedne po drugich, aż w końcu wyrąbano je wszystkie, i ze "starego sadu" został tylko "wygon" pod kartofle. Rozebrano płot, jak również mur ogradzający mieszczące się niegdyś w tem miejscu inspekta. Na murze były dawniej rozpięte morele, ale również uschły i zostały wyrzucone. Żadne Odtąd już moreli w Widawie nie było. Kilkakrotnie sadzono drzewka sztamowe, ale widocznie w tej części Podola inaczej jak rozpięte na murze nie rodziły, a że muru południowego nie było, więc daliśmy pokój.

U wejścia do "starego sadu" przetrwała tylko studnia z wyniosłym żurawiem skrzypiącym doniośle ramo i wieczorem, gdy parobcy ciągnęli wodę nalewając ją do szerokiego koryta, w którym poili konie "robocze" to jest formalskie. Naprzeciw studni była kuźnia, w której kowal dawno nie pracował, przeniósłszy się do większego pomieszczenia bliżej stajni. Ale mały, schludny budyneczek stał tuż przy bramie wjazdowej, co roku starannie bielony, bo babunia nie lubiży ruiny i opuszczenia. Stał, - bo "może się kiedyś na coś przyda".

Wysoka brama widawska, drewniana, biało malowana...Nie otworzy się już nigdy przedemną... nie przekroczę już nigdy jej proga, aby wejść na ukwiecony dziedziniec leżący przed dworem...

Ogromny gazon zalegał ten dziedziniec zwartą masą zieleni w obramowaniu ulubionych przez babunię róż sztamowych. Na gazonie tym wprost dworu, "dywan" strzyżony z kolorowych liści: alternantery w kilku kolorach, zielono-białe i fioletowo-białe tradeskancje, żółte piretrum, ciemno-czerwona, prawie czarna perilla. Długie lata była u nas moda na ten rodzaj dekoracji gazonów, i okoliczni ogrodnicy wysilali się jeden przed drugim, aby jaknajpiękniejsze wyrysować wzory i jaknajlepiej dobrać barwy. Dywany te doprawdy przypominały

kobierce wschodnie! Biały ich zmatowane kolory i odcinały się wytworną plamą na szmaragdowym tle trawy. Po jakimś czasie gust się zmienił, strzyżone dywany zastąpiono kwiatami. Na tym naszym ogromnym gazonie była na lewo od domu grupa świerków, pod niemi ławki, na których się siadywało wieczorem, obok prześliczny krzak bzu perskiego. Z drugiej strony krzewy babuni o zagranicznych nazwach: boule de neige i perukenbaum. Dokoła dziedziniec zajazd szeroki, obszerny, boć przecie czwórka w poprzęg - to był u nas chleb powszedni! Taki był dziedziniec mojego rodzinnego dworu...

Naprzeciw dworskiej sadyby, po drugiej stronie stawu, na szeregu pagórków i zboczy, rozrzucona w fantastycznym nieładzie, leżała duża podolska biała wieś. Nad szeregiem strzech poczerniałych od deszczy wznosiła swoje kopulaste, na zielono pomalowe "bania" (kopuły) cerkiew prawosławna. Podolska "biała" wieś... Określenie tak często używane w kresowych opisach, że stało się już niemal zwrotem stylistycznym, pozornie pozbawionym treści... Tymczasem jest to zupełnie zgodne z prawdą. Wsie podolskie były białe, chaty ich obszerne, bielone nietylko wewnątrz, ale i na zewnątrz jasnymi ścianami wesoło śmiały się do słońca. Budownictwo miejscowe było bardzo specjalne i dlatego uważam, że ciekawe może być opisanie, w jaki sposób przygotowywało się "materjał". Była to w lwiej części glina. Gdy cieśla wzniósł szkielet chaty, wykopywano wpobliżu płaski dół, który wypełniano gliną, krowim łajnem i słomą. Dziewczęta wysoko podkasane wchodziły w to i bosymi nogami mieszły dokładnie na jednolitą masę. W miarę potrzeby dolewano po trochę wody. Robota ta, umazarowane wyżej kolan dziewczęta, zgrzane i spocone od wysiłku, - to wszystko wyglądało niesłychanie prymitywnie, i nigdy nie zapomnę miny jednej ze świeżo przybyłych na Podole francuzek, która to poraz pierwszy zobaczyła: "Mais q'est ce q'elles font?..." wykrzyknęła zdumiona...A ja wtedy bardzo się zdziwiłam, że można temu się dziwić!...

Kiedy już masa była doskonale wyrobiona, lepiło się z niej nieduże bochenki i układało szczelnie jeden przy drugim rzędami pomiędzy belkami. Z tego powstawały ściany. Glina schła, nie pękała dzięki nawozowi i słomie, z którymi była wymieszana, twardniała na masę ścisłą i nieprzewiewną, która doskonale "trzymała" ciepło na zimą, a latem nie nagrzewała się od słońca, tak, że podolska chata w największe upały była zawsze chłodna. Kiedy cała pusta przestrzeń pomiędzy belkami była wypełnioną, wyprawiano ściany gliną na gładko, po jakimś czasie bielono, i chata gotowa. Dach pokrywano

słomą, a że zboże wyrastało u nas bardzo wysokie, więc była to robota łatwa i zawsze ślicznie wykonana. Budownictwo to nie było kosztowne, a glina w ten sposób użyta i zastosowana doskonale zastępowała cegłę, która była droga, i którą tylko do budowy "gruby" (pieca) kupowano. W niektórych okolicach Podola było o drzewo bardzo trudno, jeszcze trudniej o piasek, który trzeba było do wyprawy budynku wozić nieraz o kilkanaście wiorst. Bogaty, jednolity czarnoziem na ogromnej przestrzeni tego kraju zalegał głęboką warstwą rodzajną, nie tolerując obok siebie innych rodzai gleby. Kamieniołomy były rzadkością, kamieni na polu nie spotykało się wcale. Do tych specyficznych, miejscowych warunków musiał chłop przystosować się przy budowaniu swej chaty. Rozwiązał to doskonale sposobem prymitywnym i prymitywnym materjałem, a"biała" wieś miała wygląd czysty, dostatni, zamożny, pod strzechą żytnią, w obramowaniu sadów wiśniowych.

Na długotrwałe, ostre nieraz zimy zabezpieczano się ogacając ściany nawozem. Częste opady śnieżne były tak obfite, że zasypywały chaty po dach. Drewnianymi łopatami przekopywano wówczas wąskie przejście dookoła pomiędzy zwałami śniegu, który mocno ubijano, robiono ścieżki jak tunele i zasiadano spokojnie z "lulką" (fajką) i wrzecionem na długie "weczernycie" (wieczory zimowe), czekając cierpliwie wiosny, która te masy śniegu zniesie i roztopi.

Można sobie wyobrazić, co się na wiosnę działo!... Szczęściem, zim ziemia chłonna, przepuszczalna, a kraj górzysty lub pagórkowaty, więc wody wiosenne spływały prędko. Szumiało to wszystko, huczało po jarach, a górą już grzało słońce, już baśki na wierzbach puszczały, już ciągnęły sznury dzikich kaczek i gęsi, już w oczeretach gwar się wielki czyniż, na wyższych skłonach ziemia dymiła... Szła wiosna.

Wiosno!...kto ciebie nie widział w tym kraju!...

Wieś kresowa przeszła za mojej pamięci ewolucję od rodzimych strojów ludowych, barwnych i wesołych, do szarej, miejskiej, proletarjackiej szarzyzny. Na Ukrainie noszono wysokie czapki barankowe, buńczucznie, po kozacku na głowę wsadzone, - zastąpiły je kaszkiety... Znikły czerwone buty z cholewami, które kobiety nosiły od święta,znikły sznury korali na szyi, bogato haftowane koszule. Na Podolu również tymi samymi wzorami zdobiono płótno,ścieg drobny, krzyżykowy w kolorach czarnym i czerwonym. W niektórych powiatach, bliżej Besarabji wyrabiano inny rodzaj płótna tak zwany "bombak" i wyszywano go w gwiazdki niciami srebrnemi i złotemi, czasem mieszając czerwone. Z tych płócien szyto koszule, zdo-

biąc szerokim szlakiem haftowanym dół i przód, górę bufiastych rękawów, ujętych przy dłoni haftowanym również mankiecikiem, oraz niski, przylegający do szyi kołnierzyk. Im dziewczyna z zamożniejszej rodziny pochodziła, tym dłuższą nosiła koszulę, nie potrzebowała bowiem "sobie płótna żałować"!... Spodnice były o wiele od koszuli krótsze, jaskrawe, barwne chustki u dziewcząt związywano pod brodą, u kobiet zamężnych chustki ciemniejsze i spowijające mocno całą głowę, rodzaj turbanu na same brwi wciśniętego. Nad Dniestrem w powiecie Mohylowskim, gdzie lud był wyjątkowo rosły i urodziwy, kobieta często zamiast spodnicy nosiła rodzaj zapaski, prostokąt z wełny własnego wyrobu, w który się owijały, i którego końce za pas ~~zawijały~~ zatykały. Gdy szły po wodę z glinianymi naczyniami na ramieniu, przypominała się Grecja, takie były zgrabne i wysmukłe, stąpające mocnymi, na bronzowo opalonymi stopami po kamienistych ścieżkach wiodących do studni. Nad Zbruczem było mniej pięknych ludowych typów, ale i tu się trafiały.

Z biegiem czasu, marzeniem i ideałem każdej wiejskiej dziewczyny stało się upodobnienie się do miejskich elegantek... Miasteczka podsuwały bluski, koszule z madapolamu, pod koniec mojej bytności na kresach już tylko starsze pokolenie nosiło domowe płótno i śliczne, haftowane szlaki. Podziwiałam zawsze pranie tej płóciennej bielizny, której chłopi używali, nieraz potężnie brudnej, zakurzonej, przepoconej. Odbywało się to na stawie, bez używania mydła, bijąc kijanką po zmoczonej sztuce i od czasu do czasu "chlupiąc" (polewając) na nią wodę... Siadały często dwie kumoszki-sąsiadki i łupu-cupu, łupu-cupu ~~kima~~ kijankami na zmianę do wtóru ożywionej pogawędki--- I co najdziwniejsze,- że bielizna po tych zabiegach wychodziła naprawdę czysta! Koszule wysuszone na słońcu, przewiane wiatrem szerokim były śnieżno białe.

Jeżeli czasami nawet mniej ~~xxrxxxxx~~ urodziwy, to lud kresowy odznaczał się jedną właściwością: miał cudowne, białe zęby. Doktorowie miejscowi, których pytałam, czem się to dzieje, twierdzili, że należy to przypisywać temu, że chłop rusiński prawie nie jadał mięsa, a chleb razowy, jedyne jego pieczywo odgrywał do pewnego stopnia rolę szczoteczki do zębów... Niewiem, czy ta ostatnia obserwacja była trafna, bo w Mohylowskiem nad Dniestrem widziałam także olśniewająco-białe zęby, a tam przecie zamiast chleba jedzą "mamałygę". Mamałyga jest to ciasto z mąki kukurydzianej, gotowane, a nie pieczone. Na gorąco jadają mamałygę do mleka, lub "smarują" (kraszą) ją słoniną. Idąc zaś w pole do roboty, biorą kawałek ~~xxxx~~

ciasta do kieszeni i pożywiają się w razie głodu tak jak chlebem. O ile mamałyga z mlekiem lub ze słoniną jest zupełnie smaczna, - o tyle ta zimna, w zastępstwie chleba, - brrr... Ale co kraj, to obyczaj!

Co kraj, to obyczaj. Bywa nawet tak, że odmienne warunki odmienną etykę ludziom narzucają. Jest to paradoks, gdyż oczywiście etyka jako taka jest dla wszystkich... Ale proszę posłuchać!

Mam tu na myśli ustosunkowanie się do ziemi, która jest warsztatem pracy, która bywa przedmiotem handlu, a która w niektórych wypadkach jest relikwią świętą, nietykalną...

Na kresach, do roku 1905-go nie wolno było Polakom kupować ziemi. Temsamem nikomu z nas sprzedać jej nie było wolno, aby spuścizna po ojcach, placówki na szańcach nie przeszły w ręce Moskala... Sprzedanie majątku uważane było za sprzeniewierzenie się obowiązkom narodowym, za odszczepieństwo i zbrodnię. I tak nam to w krew weszło, że nawet gdy po rewolucji nastała era względnej swobody a wraz z tem to ograniczenie w handlu ziemią zostało zniesione, - krzywym okiem patrzono na tego, kto wyzbywa się ojcowizny, za złe mu miano, kiedy się przy niej nie umiał utrzymać!

W Królestwie Kongresowym rządzono się innym prawem, ograniczenia narodowo-wyznaniowe nie istniały i tam majątki przechodziły z rąk do rąk stosownie do zmiany konjuktury w poszczególnych wypadkach. Prawdopodobnie dlatego tak trudno nam było zawsze z "koroniarzami" się zrozumieć i dogadać! Dlatego tyle u nas było przywiązania do gniazd starych, gdzie pokolenia rodziły się i marły, gdzie syn dziedziczył po ojcu nazwisko, harb, ziemię i zobowiązania wobec tej ziemi - obywatela kresowca.

Dwa ciekawe wypadki związane z tym światopoglądem nasuwają się mojej pamięci.

W latach 90-tych wyszła zamąż do Królestwa ciotka moja Mańcia, dziedziczka na Wołyniu majątek, Stetkowce. Mąż jej, człowiek już starszy był bardzo inteligentny, wykształcony i oczytany, gospodarz średni, raczej naukowiec-teoretyk. Rozpatrzywszy się w warunkach żoninego majątku, który lata całe był w dzierżawie, i na skutek tego dość zaniedbany, postanowił go sprzedać. Ciotka moja była niesłychanie dobrą, ale bierną.. Nie protestowała. Na kresach podniósł się jeden głos potępienia. Wuj ani się go uląkł ani się z nim liczył, miał bowiem w tej sprawie swoje zdanie. Stetkowce zostały sprzedane. Gdyśmy w kilka lat potem rozmawiali z nim o tem, motywował swój krok

przeświadczeniem, że majątki nasze na kresach oazy szlachty polskiej wśród morza rusińskiego ludu, z góry są skazane na zagładę, że w razie jakiejś zawieruchy dziejowej i tak przepadnie nam wszystko. Więc rozsądek, trzeźwy rozum i myśl przewidująca nakazują likwidować z wolnej ręki, póki jeszcze czas te placówki, wyciągając z nich maximum pieniędzy, które użyte "w kraju" mogą się przyczynić do podniesienia dobrobytu, kultury niejednego majątku, zamiast tkwić tutaj, jak skarb zakopany, który i tak dla nas przepadnie. Proroctwo jego sprawdziło się niestety! prawie wszyscy wyszliśmy z kresów z torbami!...

Drugi przykład takiej trzeźwej, przewidującej myśli, to dzieje sławnej do dziś dnia firmy nasion selekcyjnych Buszczyński i ska.

Konstanty Buszczyński miał majątek Niemiercze w powiecie Mohylowskim w sąsiedztwie Równej, gdzie mieszkał mój wuj Karol R. W Niemierczu zapoczątkowaną została hodowla elity buraków cukrowych. Pamiętam, kiedy jak kiedyś wuj Karol przyjechawszy do Widawy opowiadał, że Buszczyński kupił pod Krakowem majątek Narodową Górkę i że tam przenosi swoje najcenniejsze rośliny, motywując to tem, że w razie jakichś zamieszek lub zmian natury politycznej, są tam bezpieczniejsze... Ludzie wzruszali na to ramionami i mieli go za manjaka. O wojnie nikt nie myślał,nie zanosiło się na nią wcale, wszyscy na kresach mocno siedzieli na swojem i zdawało się, że zawsze siedzieć będą... Ten jeden mądry człowiek bystrem okiem przejrzał przyszłość mroczną i dzięki temu uratował swoje mienie i zabezpieczył placówkę pracy. Niemiercze przepadło, - a Narodowa Górka stoi...

W każdym bądź razie, kiedy nastała po 1905-ym większa swoboda w wymianie ziemi na kresach, i kiedy zniesiono ograniczenia dla Polaków, objawił się pewien ruch na tym odcinku, ale na ogół mały. Ze znanych transakcji wymienić potrafię Maków w pow.Kamienieckim, który Żurowscy nabyli od Raciborowskich.

Pozatem zdarzało się, że jakiś długoletni dzierżawca kupował zadłużony majątek, na którym gospodarował, czasem właścicielem stawał się wzbogacony ekonom, o którym różnie mówiono... Ludzie ci, pochodzący zwykle "z innej sfery" nigdy nie asymilowali się z obywatelstwem okolicznym. Stanowili oni pewien klan i trzymali się razem. Mieli pieniądze, i to nieraz duże, ale nie mieli ani "pochodzenia", ani wykształcenia, ani wychowania i dlatego ich "nie przyjmowano". Na kresach było się z jednej strony niesłychanie wrażliwym na to

"kto kogo rodzi??, - na kulturę, formy i "maniery" z drugiej. A że jest rzeczą bezsprzeczną, że kultura wraz z wszystkiemi jej "finezjami" nie da się nabyć w jednym pokoleniu, - więc też istniał wielki przedział pomiędzy obywatelami na kresach. Zato nie zauważyłam nigdy, aby tam u nas pieniądze komukolwiek imponowały! Może poprostu było ich za wiele!... Może ludzie byli zbyt wykwintni, aby znieść parweniuszostwo, które często z dużymi pieniędzmi idzie w parze... Dość, że ta kwestj kwestja nie istniała. Bywali u siebie ci z pałaców, i ci ze skromnych, bardzo skromnych dworów. Wielkie panie, błyszczące na szerokim świecie nazwiskiem i magnacką fortuną czuły się w obowiązku odwiedzać zrujnowane wdowy, ostatkiem sił trzymające się resztek ojcowizny i utrzymywały z niemi stosunki serdeczne, przyjacielskie... "Nowymi" ludźmi nikt nie pogardzał, tylko poprostu dawano im czas, aby przestali być "nowi"...

Kiedy wybuchła kresowa zawierucha i wszystkich wyrzuciła z siodła, znalazło się w Polsce bardzo wielu takich, którzy korzystając z ogólnego zamętu, poczęli się podszywać pod "kresowych magnatów". Bo dziwna rzecz, jak każdy z tych "typów" nigdy nie podawał się za właściciela jednego folwarku, ale posiadał zawsze, w nieokreślonej bliżej okolicy, między Kamieńcem a Humaniem np. kolosalne dobra! Namnożyło się wtedy tych zrujnowanych miljonerów tyle, że nawet rozległe stepowe ziemie nie zdołały ich wszystkich pomieścić wraz z ich pretensjami i bezgraniczną głupotą!... Psuli też reputację kresowcom prawdziwym, zrujnowanym ziemianom, spekulowali w Poznańskiem i w Królestwie na łatwowierności ludzkiej, uprawiali różne procedery, prowadzili różne interesy często mętne i zupełnie nie w "kresowym stylu"...

Miałam w owym czasie przy dzieciach bonę, której majątki rozciągały się od Kijowa do Witebska--- Mąż jej, podobno oficer zginął w roku 20-tym. Nazywała się pani Lubecka. Pomyliło się trochę biedaczce i podpisywała się Trocko-Lubecka... Coś tam widocznie o Drucko-Lubeckich słyszała, może była u nich pokojówką... Musiałam się z nią rozstać, bo pomijając że stale jadła szpinak nożem, co na ułożenie dzieci przy stole wpływało raczej ujemnie, - miała gusta towarzysko-erotyczne bardzo demokratyczne i noce spędzała w budzie ogrodowej ze stróżem, który pilnował owocu... Zdetronizowana pani "pseudo" kresowianka!...

Z tych lat przeżytych na kresach wyniosłam pamięć o kilku ciekawych zjawiskach i zaburzeniach w przyrodzie. Na Ukrainie widziałam pewnego razu zorzę północną. Bawiłyśmy z babunią u wuja mego Włodzi-

mierza w Kossarze i pojechałyśmy dnia pewnego z wizytą w sąsiedztwo. Wracałyśmy dość późno, około 1-szej. Było łato, lipiec, noc pogodna i ciepła po bardzo upalnym dniu. Już na parę wiorst przed Kossarą, zauważyłyśmyń,ż że się dziwnie rozjaśnia, tak, że sięgnęłyśmy po zegarki, aby sprawdzić godzinę i zdziwiłyśmy się niepomiernie, przekonawszy się że do świtu jeszcze daleko. Tymczasem robiło się coraz jaśniej, tak, że jak dojechałyśmy, nie trzeba było wcale światła w pokojach zapalać. Położyliśmy się zdenerwowani, pod niesamowitem wrażeniem. Coś niezwykłego było w tej nienaturalnej jasności. Nie można było zasnąć, dzieci się pobudziły, ptactwo zaczęło ćwierkać w ogrodzie, a na folwarku bydło ryczało i wyrywało się na pastwisko, sądząc, że to już rano... Potem zmierzch zapadł z powrotem i reszta krótkiej, letniej nocy minęła spokojnie, minęło również podniecenie nerwów i wyobraźni. Nigdy nie byłam w "Petersburgu" i nie znam jego "białych nocy", ale przeżyte na Ukrainie wrażenie było tak nieprzyjemne, że oceniłam wtedy należycie jak wielkim dobrodziejstwem jest ciemność i prawdziwa noc!

Na drugi dzień dowiedzieliśmy się z gazet, że zjawisko, które na Ukrainie objawiło się jako "biała noc" było zorzą ~~polarną~~ północną. W innych częściach kraju była ona widoczna w postaci światła i skoncentrowanych promieni, niesłychanej piękności. Był to chyba rok 1908

Drugim przeżytym przezemnie niezwykłym zjawiskiem było trzęsienie ziemi. Delikatnie zadrżała wówczas na Podolu skorupa ziemska, ale zadrgała, wiele osób to spostrzegło i nazajutrz gazety sygnalizowały ten wstrząs przez sejsmografy zanotowany.

Było to na jesieni, w sezonie kaczek, a że Widawa była ich specjalnym królestwem, często przyjeżdżali tu sąsiedzi myśliwi, aby użyć doskonałego polowania. Tego wieczoru przyjechał kuzyn mój Bohdan Z. i dwóch jeszcze młodych ludzi, przywożąc ze sobą kilka wyżłów. O świcie mieli wyruszyć łódką na stawy, aby strzelać do kaczek powracających z nocnego żerowiska. Położyliśmy się wszyscy dość wcześnie i czytałam jeszcze w łóżku, kiedy w pewnej chwili uczułam, że łóżko i cały pokój ze mną zafalowały... Było to niesłychanie dziwne, nieokreślone wrażenie i sama nie wiedziałam, czy nie jestem ofiarą halucynacji?... Po chwili jednak przyszła babunia, pytając, czy czegoś niezwykłego nie zauważałym, bo w pokoju jej w serwantce kieliszki kryształowe zabrzęczały..., jakby kto szafkę potrącił! Podzieliłam się z nią mojem spostrzeżeniem i dłuższą chwilę siedziałyśmy, nie wiedząc co o tym myśleć?... Ale wstrząs się już nie powtórzył. Nazajutrz przy śniadaniu zwierzał mi się ze swoich wrażeń Piotr, który dla opieki nad domem sypiał w gabinecie na otomanie.

"Już spałem proszę panienki - opowiadał - ale naraz się zbudziłem, bo poczułem, że kanapa się ze mną rusza... Pomyślałem: panowie ponawozili tych psów, pewnie który wlazł pod kanapę! Więc zapaliłem światło i zaglądnąłem, ale żadnego psa w pokoju nie było!"

Przez parę tygodni ludzie opowiadali sobie o tym zdarzeniu i o swoich podczas niego przeżyciach. Ale najwspanialsza przygoda przytrafiła się jednemu z okolicznych księży. Onego wieczoru, leżał już w łóżku, i czytał gazetę. (W niej napewno opisy napadów i rabunków ...). Nagle, wolniutko otwiera się szafa stojąca naprzeciwko łóżka. Ksiądz niewiele myśląc porwał za rewolwer i wygarnął do ukrytego w jej wnętrzu przypuszczalnego bandyty... Przekonał się nazajutrz, że przestrzelił własną sutannę!...

Burze bywały u nas bardzo gwałtowne, a ulewne deszcze robiły wielkie szkody w zbożach gęstych i wysokich, które kładły się wtedy pokotem. Mówiło się wówczas, że zboże "wyłożyło się" (wyległo). Górzyste położenie pól sprawiało, że gwałtowny spad wód wymywał, podmywał, zamulał. To też, gdy po gorącym i parnym dniu rozprażone powietrze stało nieruchome i ciche, spoglądało się z trwogą na niebo, czy nie pokazują się chmury?... Leżały zwykle z początku nisko na widnokręgu, żółte, bure, przeświecone promieniami słońca, lub granatowe, spowijające horyzont w ciemność i lęk... Pełzły ku sobie zwolna, łączyły się w fantastyczne wzory, czasem rozdarła je błyskawica, czasem gdzieś bardzo daleko zadudniły głuchym grzmotem... I nagle, w jednej chwili, ruszały jakby do ataku. Zrywał się wiatr i puszczał się z nimi w dziki tan, niósł tumany kurzu i liści, zamiatał ziemię gałęziami zginanych ku niej drzew. Niebo szybko zasuwało się mrokiem, słońce gasło, błyskawice raz po raz rozdzierały ciemności, raz po raz trzaskały pioruny. Deszcze gwałtowny, niezahamowany lał strumieniami, huragan łamał z trzaskiem stare drzewa, dom cały trzęsł się w posadach pod naporem nawałnicy. Potem zwolna, uspakajało się wszystko. Skłębione chmury przegnane wiatrem mknęły po nisbie przemytem z szybkością niesłychaną, ukazywał się skrawek czystego błękitu, słońce mrugnęło za rąbkiem obłoku. Padał jeszcze deszcz, ale spokojny już, drobny, gęsty. Cudownie świeży oddech wznosił się z piersi ziemi, z ogrodów, pól i łąk. Jeszcze czasem zaturkotał w oddali grzmot, jak odjeżdżający w przestrzeń wóz. Klęski... Cisza... Ćwierkają ptaszęta zalęknione, otrząsając mokre swe piórka, a ludzie wychodzą zwolna i idą sprawdzać rozmiary szkód...

Zwa Zerwany dach, połamane drzewa, zamulone pole, zbity gradem, stratowany ulewą łan... To też, gdy "szła" chmura, mieszkańcy dworów kresowych z dziecięcą ufnością uciekali się do tradycyjnych spo-

sobów, aby Boga przebłagać i klęskę powstrzymać. Paliło się na kominku palmę poświęconą, w pokojach pociemniałych od chmur zapalano gromnice, dzieciom polecano obiegać dom dookoła, dzwoniąc w malutki dzwoneczek Loretański. Niewiem, z jakiego czasu datuje ten ostatni zwyczaj, ani kto go przywiózł na kresy z pogodnego Loretto, ale pamiętam, że prawie w każdym starym naszym dworze dzwoneczek taki był. Biegałam z nim nieraz jako dziecko dokoła widawskiego dworu, a koło do zrobienia miałam ogromne, bo dwór był duży i od środkowego korpusu szły dwie przybudówki, jedna wysunięta naprzód, druga cofnięta w tył, tak że tworzyło to wszystko razem ogromną literę Z.

Z bijącem serduszkiem, w mroku nadchodzącej burzy biegłam prędko, dzwoniąc gorliwie i powtarzając Zdrowaś Marja. Nieraz wstrząsnęłam się cała, oślepiona nagłą błyskawicą, zadrżałam słysząc daleki grzmot... Nieraz pierwsze krople deszczu ciepłe, wielkie jak kieliszki spadły mi na główkę, a wiatr rozpiął warkoczyk i targał grzywką niesforną. Bardzo się bałam, ale równocześnie byłam dumną spełniając ten ważny akt, który miał na celu dom i nas wszystkich uchronić od nieszczęścia. Była to jedna z pierwszych powinności, która rozwijała we mnie poczucie solidarności ludzkiej i odpowiedzialności za ogół. Gdy wracałam, babunia witała mnie w progu, całowała w czoło i kazała spiesznie za mną zamykać drzwi, żeby uniknąć przeciągów, które pioruny "ściągały". A potem ją klękaliśmy wszyscy i staruszka drżącym głosem odmawiała modlitwy i psalm na kresach ulubiony: "Kto się w opiekę poda Panu swemu".

Jedna z takich strasznych nawałnic wryła się w moją pamięć specjalnym momentem. Burza szalała dokoła nas z jakąś piekielną siłą, klęczeliśmy modląc się z niem, trwogą w sercu, bo wiedzieliśmy, że Włodzio pojechał konno w pole i nie zdążył wrócić... Wtem, odgłos kroków za nami. Obejrzałam się: wszedł, odgarniając z czoła przemokłe czarne włosy, blady, ale zdrów i cały...Och! to uczucie ulgi i wdzięczności dla Boga! nigdy go nie zapomnę!

Wtedy wicher był tak straszny, że zerwał cały dach z cieplarni i rzucił na ziemię o kilkadziesiąt metrów od budynku. Ofiarą też padła jedna z najwyższych i najpiękniejszych topoli "nadwiślańskich" na dziedzińcu, tuż przy bramie. Ale gradu nie było...

Po bezdrożach jesieni, po zawianych śniegami zimowych szlakach, po roztopach i błotach wiosennych, - jakąż rozkoszą była jazda w lecie, utartą, gładką jak stół drogą, bez jednej koleiny, bez jednego kamienia! Najlepszą szosę oddam za taką drogę kresową! Po

"wozowicy" (zwózce), kiedy setki podwód chłopskich przetarły ją i wyrównały, można było dobrymi końmi mknąć jak wicher, a jedyną złą stroną były w wypadku długotrwałej posuchy tumany kurzu "prochu" jak u nas mawiano. Na ten sezon wszyscy przywdziewali "prochowniki", długie, luźne paltoty z popielatego płótna z kapturem na głowę. Nosił je każdy, bez różnicy, z tego samego materjału, tym samym krojem, rzeźnik Abramko na swojej jednokonnej bidce, którą rozwoził mięso po okolicznych dworach, bogaty kupiec zbożowy, i obywatel jadący z wizytą, i ekonom w niedzielę jadąc do kościoła, - każdy.

Najlepiej było jechać, gdy spadł mały deszcze i przybił "proch", albo nocą po obfitej rosie.

Na Ukrainie, na szerokim szlaku spotykało się nierzadko stada wołów, pędzone przez pastuchów w wysokich czapkach barankowych pomimo lata i upału. Woły były siwe, ogromne, z rozłożystymi rogami. A chłopi noszący czapki futrzane bez względu na upał byli po większej części łysi.

Na Besarabji, tylko Dniestrem od Podola oddzielonej, była również rozwinięta hodowla wołów, mniejszych coprawda niż woły ukraińskie i nie takich rogatych. W niektórych majątkach wszystkie orki uskuteczniano wołami. Uwiecznił to pędzlem Chełmoński i dobrze wyczuł i oddał poezję tego obrazka z kresowej palety.

Na pograniczu Besarabji, na tak zwanym Poberežu miał majątek mój wuj Karol R. Ta część Podola była znacznie więcej na południe wysunięta i odznaczała się o wiele gorętszym klimatem niż nasze ~~xxxxx~~ nadzbruczańskie okolice. ~~xx~~ Do tego też dostosowane były ziemiopłody i sposób gospodarowania. Spotykało się tam winnice, basztany, łany kukurydzy, w której kryły się jak w lesie liczne zające. Tak jak hreczka (gryka) u nas, tak tam kukurydza dostarczała podstawowego pożywienia miejscowej ludności w postaci mąki, z której robiono mamałygę. Dojrzewały tam wspaniałe owoce, morele, gruszki ~~x~~ jabłka. W Równej był sad w lesie na polanie, ze wszystkich stron osłonięty od wiatrów. Owoce udawały się tam nadzwyczajnie, a wuj był z nich niesłychanie dumny, bo drzewa te sam sadził.

Kraj był cudowny, położenie Równej wyjątkowo malownicze, tylko niewiem dlaczego wioskę tę nazywano Równą?... Dom leżał na wysokiej górze, naprzeciw drugiej jeszcze wyższej bieliła się kamienista droga wiodąca do Mohylowa, pomiędzy temi dwoma wyniosłościami rozrzucona w jarze ogromna wieś cała w ogrodach i sadach tonąca, na dnie jaru szumiał kapryśny strumień, pieniący się po nierównym, granitowym dnie.

Pola równiańskie bardzo górzyste obfitowały w bogate złoża fosforytów. Kiedyś, podczas mego pobytu u Wujostwa przyjechało dwóch Włochów, delegowanych przez jakieś konsorcjum, którzy badali te fosforyty i miejscowe warunki. Chodziło o założenie fabryki nawozów sztucznych. Woziliśmy ich po polach i łamaliśmy sobie języki, aby się z nimi dogadać, ale wybuchła wojna i do budowy fabryki nie doszło.

Każdy z nas kresowców pamięta do dzisiaj nietylko służbę ze swego rodzinnego dworu, pamięta niemniej dobrze służbę sąsiadów, którą znało się doskonale. I tak u nas w Płoskirowskim wiedział każdy, że w Widawie jest Piotr, że w Żagłówce wyjdzie na spotkanie małego wzrostu, brzydki jak małpa Michał w zielonej liberji z hrabiowską koroną na złotych guzikach... faworyt i zaufany pana Zygmunta M. Że w Kurówce u młodych M. zobaczy Rozylka, kawalerskiego sługę Tytusa, z tego tytułu "rozpaskudzonego" jak utrzymywała Tytusowa... Że w Sołomiej jest Kuba, obrośnięty jak "pasiecznik" według krytycznego powiedzenia mojej babki, i młodszy od niego Jakób, który się zawsze po kozacku nosił, aczkolwiek już od wielu lat był lokajem... że w tejże Sołomiej w stajni jest Kalina i Zosym o sumiastym wąsie, ucharakteryzowany trochę na modłę swego pana... Że w Ostapowcach na dźwięk dzwonków zbiegnie ze schodów do sali kamiennej i drzwiczki od powozu otwierać będzie stary Mikołaj, który po obiedzie na rozkaz pani będzie gościom demonstrował świeżo wykończone przez fraucymer ornaty, że w usłudze na ogromnym balkonie pomagać mu będą roznosząc herbatę i owoce dwaj kozacy Paweł i Sawa... Wiedziało się, że w Żuczkowcach był Jerzy, a w Łapkowcach Kacper, a w Bokijówce zawsze trochę brudny Wawrzyniec... Znało się tych "famulusów", którzy nietylko wprawnie brali rubelki wtykane im w łapę przy pożegnaniu, ale uśmiechali się do nas i traktowali nas jak starych znajomych, z którymi nietylko ich państwa, ale i ich samych moc wspomnień łączy!... Jakoż w dworach tych, na tych samych miejscach wiek życia swego przesłużyli, pamiętali niejedno... To nie byli obcy - I my dla nich byliśmy "swoi".

Nie mam na celu idealizowania tych ludzi! Z pewnością niejeden z nich to był wielki "łajdak"! Ale chciałabym podkreślić wypływający z ówczesnych społeczno-służbowych stosunków pewien charakter, zupełnie dziś nie do pomyślenia, pomimo (a może właśnie z powodu) związków zawodowych i tym podobnych zdobyczy socjalnych.

Stosunki towarzyskie na kresach układały się z jednej strony według pewnych pewnego protokułu i obowiązującej etykiety, z drugiej były niesłychanie proste i nieceremonjalne.

Do protokułu należało oddanie w przepisowym terminie pierwszej wizyty w odpowiedniej tualecie, odwiedzenie przynajmniej raz do roku wszystkich domów, z którymi się utrzymywało stosunki. Młode małżeństwa obowiązane były do objechania w pewien czas po ślubie całej rodziny bliższej i dalszej, rozpoczynając od najstarszych, w kolejności wieku i pokrewieństwa. Ale pozatem, życie pomiędzy dworami naszymi układało się niesłychanie prosto. Bywaliśmy często u siebie, bez żadnego specjalnego zapowiadania i zapraszania. Dwór każdy, nawet mniej zamożny był tak postawiony, że zawsze znalazła się dla gościa filiżanka herbaty i bułka z masłem, dla "ludzi" tj. furmana i kozaka barszcz i kasza, albo pierogi z piekarni, - a w stajni miejsce i owies dla koni (nie należy zapominać, że prawie zawsze jeździło się czwórką). Ale na "przyjęcia" nikt się nie sadził, jakby w myśl staroświeckiego przysłowia: "Do soli i chleba gości nam trzeba". Dzielono się tem, co w domu było; nikt nie spodziewał się, ani nie wymagał "występów", ani nie krytykował skromnie zastawionego stołu. Nikt nikomu nie imponował, ani nie starał się imponować.. Znaliśmy się przecie wszyscy od tak dawna! od dzieci, ale dzieci z tego trzeciego pokolenia wstecz!... Każdy wiedział "kto go rodzi", a oprócz tego "wiedzieli sąsiedzi jak kto siedzi!"... Więc doprawdy wszelka blaga była tu zbyteczna! Ludzi nowych, świeżo pomiędzy nami osiadłych nie było, jeżeli się kto żenił tu brał pannę z daleka, jeżeli młody człowiek z innych stron Polski w majątku żony osiadał? - to przystosowywali się oni do miejscowych obyczajów, miejscowego tła i wsiąkali w nie wkrótce zupełnie. Bowiem moc atrakcyjną miały kresy wielką. Byliśmy wszyscy bardzo zżyci ze sobą. Powiem więcej: zaprzyjaźnieni nietylko indywidualnie, ale całymi rodami. W stosunkach sąsiedzkich nie spotykało się skrępowania, choć przestrzegano kanonów form bardzo ściśle, choć na każde różne okazje obowiązywał panów surdut, choć na przyjęcie biskupa żadna z pań nie ośmieliła się włożyć dekoltowanej sukni, choć w salonie mężczyźni po kolei bawili panie, a młode panienki nie uciekały od staruszek... Ale to były rzeczy, których wymagało proste "dobre wychowanie". Wpajane od młodych lat, wchodziło w krew i stawało się drugą naturą. Wszelkie uchybienia na tym tle sprowadzano do "garderoby". Mówiono "garderóbskie maniery", "garderóbskie zachowanie", "widać, że jest nie z domu, ale z garderoby" itp. Zupełnie niesłusznie zresztą oskarżamo tę biedną "garderobę!" --- gdyż dawniejsze "femme de chambre", to były damy w porównaniu z do niejednej dzisiejszej damy!...

— — — — — — — — —

Imieninowe zjazdy bywały nieraz bardzo liczne. Nigdy nie było wiadomo, ile osób przyjedzie, bo nie zapraszano sąsiadów na ten dzień, o którym pamiętać mieli niejako obowiązek. Podawano herbatę z owocami, świeże bułeczki, ciasteczka kruche i paluszki z kminkiem, a na kolację polędwicę albo rozbef z "garniturem", albo kurczęta nadziewane kaszką krakowską z koperkiem, do tego sałata lub mizerja, na zakończenie lody. Ogromny stół nakryty na kilkanaście, czasem kilkadziesiąt osób, dźwigał nierzadko serwisy ze starej saskiej porcelany, czasem Korzec lub Faramówka, albo fajans angielski, co to dzisiaj po parę sztuk widać w oknie żydowskiej antykwarni... Żeberowe, cieniutkie obrusy drezdeńskie z herbem tkanym, "wyprawne" pani domu, albo jej matki, ciężkie srebrne kandelabry, kapiące dziesiątkiem świec, ciężkie sztućce z monogramami prababki... Wino. Białe i czerwone, besarabskie, krymskie, lub francuskie, zależnie od zamożności domu i podniebienia gospodarza, czasem stary węgrzyn słodki lub wytrawny. Szampana podawano tylko na ucztach weselnych i to nie wszędzie, raczej stary miód. Do kawy czarnej nie pamiętam likierów, w czasie tańców dla pań roznoszono limonadę i zimną orszadę (mleko z migdałów).

W Królestwie panuje ogólne przekonanie, że na kresach piliśmy dużo wódki. Otóż być może, że w domach kawalerskich, po zajazdach, w czasie jarmarków, panowie nie gardzili wódką. Ale w domach "familijnych" widziałam zawsze, że wypijali przed obiadem po jednym tylko kieliszku, który podawał im lokaj na małej srebrnej tacy, gdy już siedzieli przy stole. To, - żeby która z pań piła wódkę, - było nie do pomyślenia! Zakąski też nie były w modzie. Znano je z miasta, jako świetną, ale rosyjską specjalność. Na większe zebrania pożyczano sobie od sąsiadów lokai i kucharzy.

Był ślub, huczny i przy udziale licznych gości. Kucharzy z domowym szefem. Obiad miał być późnym wieczorem po powrocie orszaku weselnego z kościołem, położonego o kilkanaście wiorst. Aliści po powrocie zmieszana służba zaalarmowała panią domu, przebąkując, że coś tam w kuchni niedobrze... Kiedy stanęła na progu, oniemiała z przerażenia. Kuchmistrze upici, w przepisowej bieli, kurtki, fartuchy, czapki na bakier, - stali przed ogromnym stołem i z zapałem "szatkowali" marchewkę, której ogromny stos rósł z każdą chwilą, ku wielkiemu ich zadowoleniu... Poza tem nic nie zrobili...

Kronika milczy jakie było zakończenie, względnie rozwiązanie tej gastronomicznej tragedji... W każdym razie położenie pani domu było nie do pozazdroszczenia!

Był czas, kiedy w Widawie z zapałem grywano w krokieta. "Plac" był na dużym trawniku, co kilka dni równo koszonym. "Teren" jakby dziś powiedziano językiem sportowym, - ciężki. Ale świeżość zielonej murawy pod stopami, brak kurzu, który na placu ziemnym unosił się często przy silnym "odsyłaniu" kul, wreszcie większy wysiłek fizyczny, a to wszystko dawało widocznie ogromne zadowolenie, gdyż i domowi i goście grali w Widawie z pasją. Tenis w naszej okolicy pojawił się znacznie później. Panienki przez jakiś czas bawiły się żonglowaniem diabola i kokietowały młodych ludzi ruchami pełnymi lekkości i wdzięku. Nieco wcześniej, kilkanaście lat wstecz tę samą rolę rozrywkowo-podbójczą odgrywało bardzo rozpowszechnione "serso". Opowiadano mi, że kiedyś w Widawie grało przed domem całe młode towarzystwo: ciotka moja, wujowie, kuzyni ich i kuzynki z Kumanowa. Nagle coś na ziemi błysnęło. Ktoś się schylił, podniósł pierścionek. Staroświecki złoty pierścionek z rubinem. Stłoczyli się wszyscy zaciekawieni, zatanawiano się czyja to może być własność i skąd się ten pierścionek wziął?... podawano sobie z rąk do rąk do oglądania. Wtem ktoś niechcący tajemniczy przedmiot upuścił, schylono się, poczęto szukać, - nie znaleziono nigdy.

"Proszę panienki, - mówiła podnieconym głosem Olga albo Aniela - węgier jest". - Szło się do starej garderoby... Pokój ten był tak nazwany, bo gdy dzieci widawskie były małe i z niańkami i boną Arciszewską zajmowały całe skrzydło tej części domu, - tutaj rezydowała panna Kosecka i jej fraucymer. Później z dawnego dziecinnego pokoju zrobiono garderobę, a tu styl stały już tylko kufry i szafy z zimowymi okryciami służby i liberjami kozackimi.

W starej więc garderobie, na środku pokoju rozpakowywał węgier swoje "króbki" (nazywano je tak prawdopodobnie od rosyjskiego słowa "karobka" - pudełko). Czarny śniady, mówiący jakąś okropną polszczyzną - niewiem czy węgrem był rzeczywiście ten kupiec wędrowny?... Przebiegał kraj piechotą ze swoją "króbką" na plecach, lub jeśli się już niece dorobił, wożąc ją na bryczuszce, zaprzężonej w małego konika. Czasem miał na bryczuszce tych "króbek" dwie, trzy, zależnie od zamożności. Wnosił pewną rozmaitość w monotonne życie wiejskie, a pozatem zaopatrywał mieszkańców tego bardzo odległego od miasta zakątka w różne przedmioty, których wówczas nie można było dostać w lichych pobliskich miasteczkach.

Nieraz, f gdy się długo nie pojawiał, mówiło się: "Ach! żeby węgier przyszedł! Brakuje białych guzików do koszul i białe nici się kończą..." Mówiło się "węgier" w liczbie pojedyńczej, ale to

nie był zawsze ten sam. Widocznie tych wędrownych kupców było sporo, i nie powracali często do tych samych miejscowości, bo nie przypominam sobie, abyśmy mieli znajomego z poprzednich bytności węgra!

Towar swój pakował w sposób specjalny i samo opakowanie było też specjalne. "Króbka" duże pudło (zdaje się z łyka?)składało się z dwóch części równej głębokości. W jedną wkładało się towar, drugą się na to wsuwało, tak, że sięgała aż do spodu części pierwszej. Towar był bardzo różnorodny: materjały "bławatne", chustki na głowę perkalowe i wełniane. ręczniki "waflowe", drobna galanterja, igły, szpilki, guziki, nici, bawełna do cerowania i do haftowania czerwona i czarna, grzebyki i szpilki do włosów, oleodruki, wyobrażające niesłychanie barwne widoczki najczęściej z Tyrolu.. albo "miłościwie nam panującego" Mikołaja i Marję Teodorównę!..

Jeden z moich kuzynów doskonale naśladował węgra, zachwalającego swój towar. :"Cisa, cisarowa, midełka glicerinowe" zawsze z akcentem na pierwszą sylabę. Dla dzieci znalazła się piłeczka, gwizdek, harmonijka, pozytywka, na której można było nawet wygrać jakąś k nieskomplikowaną melodję. Ot, cała uboga jarmarczna tandeta, jakaż niesłychanie prosta, gdy sobie dziś o niej pomyślę, - jaka w tych czasach odległych pożądana i w innem świetle się nam przedstawiająca! Bo w życiu nie przedmioty się zmieniają, - ale oczy, które po latach patrzą inaczej, bez dziecięcego zachwytu, bez młodzieńczych złudzeń, bez męskiego zapału... Z biegiem lat płowieje świat, w wyblakłych odbijając się źrenicach, i dziś zapewne nie potrafiłabym się już cieszyć stojąc nad skarbami otwartej "króbki" węgra, choć je jako skarby wspominam...

Pakował ten swój towar węgier przedziwnie: miał ogromne arkusze papieru pozaginane ze wszystkich stron i dopasowane dokładnie do rozmiaru "króbki". Na tych rozłożonych arkuszach układał kolejno to materjały, to drobiazgi, przykrywał pozaginanymi brzegami papieru, tak że tworzyło się

/dalszego ciągu brak/

C z ę ś ć II

Ludzie w życiu i anegdocie.

Wspomnienia moje o starszym pokoleniu Kresowców czerpię z ustnej tradycji. Może znajdą się wobec tego w tem opowiadaniu szczegóły nieścisłe. Zdaje mi się jednak, że całość tak podana nabiera rumieńców życia, że Kresy ozdobione w te typy występują z ram z całą plastyką prawdy obyczajowej.

Rody kresowe, od wieków na tych rubieżach osiadłe, były silnie rozrodzone i możne. Z ostatniej przed Wielką Wojną klęski dziejowej wyszły zubożałe, gdyż po roku 63-cim niejeden majątek padł ofiarą kontrybucji. Ale w ogólności ludzie tu byli bogaci, ziemi mieli w bród i wszelkich dostatków i czuli się, może już nie jak potężne "Królewiątka" z czasów Rzeczpospolitej i powieści Sienkiewicza, ale w każdym razie jak udzielne książątka. Stąd duma i gest.

Pradziad mój, Wilhelm Zaleski, ożeniony z córką generała Zgliczyńskiego, Dominiką, miał na Podolu ogromną fortunę, składającą się z kilkunastu majątków, położonych w powiatach płoskirowskim, uszyckim i mohylowskim nad Dnieprem. Gniazdem rodzinnem Prawdziców Zaleskich były Wodyczki w płoskirowskim. Przeświczny pałac, salony ze stiukami, meble, obrazy, srebra, kryształy, stuletnie drzewa w parku - wszystko to składało się na "pańską" rezydencję.
Dziad Wilhelm był pięknym typem szlachcica polskiego, Głowę jego, niezwykle charakterystyczną, uwiecznił Matejko w Grunwaldzie.
W latach późniejszych, gdy nogi odmawiały mu już posłuszeństwa,

przykuty był do fotela. Ale śmiały profil, bystre oko, rozwiany włos biały nad wyniosłym czołem nadawały mu piętno jakiejś mocy i wielkości, tak że przygodny poeta pisał o nim :

"Na fotelu go wożą. A on by na tronie
zasiąść godzien, tak pańskość mu bije z postawy!..."

i dalej jeszcze większą dodaje pochwałę :

"A w piersi jego mieszkał duch wielki i prawy..."

Takim przeszedł do naszych wspomnień /3-go i 4-go pokolenia, z którego ja byłam najstarszą/.

Babka Dominika była szczupła, przystojna, inteligentna, wybitnie muzykalna. Podczas pobytu dziadków za granicą poznał ją Liszt i tak się zainteresował tą młodą osobą tak utalentowaną, że nie tylko grywał z nią na cztery ręce, ale nawet przyjechał w odwiedziny do Wodyczek. Dotąd jest w posiadaniu rodziny pamiątka tej wizyty wielkiego artysty w postaci litografji portretu Liszta z własnoręcznym podpisem i napisem : Wodyczki 1876.

Z pierwszego małżeństwa swego miał dziad Wilhelm 6-ro dzieci : trzech synów i trzy córki. Z córek najstarsza Wanda, babka moja, jeszcze za życia matki wyszła za mąż za Bolesława Rościszewskiego. Była ona ulubienicą ojca, który nie chcąc się z nią rozstawać postawił za warunek, aby młodzi zamieszkali nie na Ukrainie, w majątku dziada Bolesława- Kossarze - w powiecie Czehryńskim, ale na Podolu, w Widawie, którą to wieś dał córce w posagu. Tak się też stało. Do Kossary dziad mój tylko dojeżdżał, osadziwszy tam zaufanego ekonoma i gospodarował do śmierci w żoninym majątku. Byli tacy, którzy utrzymywali, że Babunia zawsze to akcentowała i mówiła : "U mnie", nigdy zaś : "u nas"... Ale może to była tylko ludzka złośliwość... Druga córka Marja, którą znałam, jako staruszkę wyjątkowo rygorysty-

czną i surową, jako młoda dziewczyna była podobno "flirciarką", jakby dziś powiedziano, "volage" - jak mawiano wówczas. Trudno mi zawsze było w to uwierzyć, patrząc na nią! Ale w tradycji rodzinnej powtarzano sobie fakty, na owe czasy niesłychane, jak np. historję o pantofelku, który panna Mariola ciskała zręcznym ruchem maleńkiej nóżki na drugi koniec salonu, wprost pod nogi tego młodzieńca, którego uwagę chciała zwrócić na siebie...

Za mąż wyszła z miłości, za niesłychanie przystojnego, dowcipnego i słynącego z wielkich zalet towarzyskich Miłosława Sarjusz Zaleskiego. - Urodzony z Sapieżanki, oddziedziczył on wraz z książęcym splendorem straszny nałóg : alkoholizm, który się potęgował z biegiem lat. Ciężkie miała życie wesoła Mariola! Ale ubóstwiała męża do końca, ukrywała nieszczęście, nikt nigdy z jej ust słowa skargi ani żalu nie usłyszał. Własne przeżycia znoszone z hartem niesłychanym, z poddaniem się woli Bożej i z wiarą w celowość wyroków Opatrzności, przeciw którym się nie buntowała, wyrobiły w niej zwolna twardość i bezwzględność dla ludzi. Ona, co się nigdy nie ugięła, nie poszła na kompromis,-nie uznawała kompromisów u innych. Nieprzewidziane nieszczęście, rozstanie się córki z mężem po kilkunastoletnim pożyciu, spadło na nią jak grom... Sprawa nabrała jeszcze groźniejszych pozorów, gdy się pokazało, że drugi zięć wdowiec chce bratową rozwodzić i żenić się z nią... Nigdy nie chciała uznać podobnej możliwości, do końca walczyła nieustępliwa i niemiłosierna. Córce na każdym kroku okazywała swoje niezadowolenie, tak że stosunki były bardzo przykre i ciężkie dla obu stron.

Na starość zdziwaczała ogromnie. Zawsze była samodzielną i energiczną, interesa swoje prowadziła sama, mieszkając w Zozulińcach na Wołyniu i wydzierżawiając swoją posagową schedę - Broniówkę- w bliskim sąsiedztwie Widawy. Syn jedynak ożenił się z Teresą Lipkowską i osiedlił się na Podolu w Krzywaczyńcach. Czyniła się dokoła niej coraz większa pustka. Zamknęła się w starym domu, przepełnionym

muzealnymi meblami, ze wspomnieniami swymi i z widmem "księżniczki" błąkającej się jakoby w przyległej, pustej części dworu, gdzie niegdyś mieszkała. Ta legendarna "księżniczka", która podobno "straszyła" w Żozulińcach, była ciotką Miłosława Zaleskiego. Ofiara jakiejś nieszczęśliwej miłości, o której nie mogliśmy się nigdy nic pewnego dowiedzieć, prowadziła do późnej starości życie odludne i nie widywało się jej nigdy. Umarła, zupełnie już "zramolizowana"/zdziecinniała/, pozostał po niej w jej apartamentach stos pestek od wiśni i mnóstwo pudełek od zapałek, których nie pozwalała wyrzucać.
Dla nas - młodszego pokolenia - była jedną z tych postaci z bajki, którą chętnie stroi się w romantyczne przeżycia, tak dalece, że dziś już sama dobrze nie wiem, co było zgodne z tradycją, a co dopowiedziała nasza bujna wyobraźnia... Dlatego nie chcę się zagłębiać w tajemnicę "księżniczki". Niech śpi spokojnie w swym grobie na zielonym, wiejskim cmentarzu. Nie wiem, czy w jej wędrówki pośmiertne wierzyła ciotka Mariola?...Ale widocznie nie przejmowały ją lękiem, gdyż jak wspominałam, lata całe przebywała w Żozulińcach zupełnie sama, rzadko tylko wyjeżdżając, aby odwiedzić Krzywaczyńce i Widawę. Oszczędna zawsze i rządna, pod koniec życia stawała się coraz bardziej skąpa. Ograniczała się na każdym kroku. Ponieważ wiedzieliśmy, że była to, bądź co bądź, bogata kobieta - więc te jej różne dziwactwa na punkcie oszczędności wzbudzały w nas serdeczną wesołość.
Pewnego razu obiecała mi na urodziny "zarękawek"/mufkę/ karakułową. Kupiła oczywiście barankową o wysokim, zwichrzonym włosie... Kiedy ją pokazałam w domu, wuj Włodzio, który był złośliwy, powiedział : "No tak, bardzo ładna. Tylko wiesz, możeby ją tak trochę ostrzydz?" Zepsuł mi całą uciechę z prezentu ! I poco?...

Opowiadano, że gdy będąc chorą kazała sobie gotować potrawkę z kurczęcia, rachowała na talerzu kawałki i wołała gniewnie : "A udko gdzie?" - Despotyczną była względem oficjalistów i służby. Mówiono, że w Żozulińcach nawet psy mają przed nią "mores".

Naprzeciw ganku była oficyna, a w niej kuchnia. Jeżeli któryś z kundysów, zwabiony smakowitą wonią obiadu dla skrócenia sobie drogi pomykał na przełaj, przez gazon - zawracała go jednym słowem : "którędy?" - i psisko jak niepyszne, ze spuszczonym ogonem rejterowało na ścieżkę i posłusznie okrążało klomb...

Z babką moją Ciotka Mariola kochały się bardzo i nigdy nie było między nimi żadnego nieporozumienia. Do spraw czysto osobistych, do spraw dotyczących dorosłych swych dzieci, nie wtrącały się wzajemnie, kierując się tą wyrafinowaną kulturą, która nawet pomiędzy rodzeństwem nie pozwalała włazić sobie "z kaloszami" do duszy... W drobiazgach pobłażliwie ustępowały sobie nawzajem, nie narzucając jedna drugiej swej woli. Może czuły, że "trafiłaby kosa na kamień"...

Za to najstarszego brata Zygmunta "sztorcowała" zacna Mariola porządnie. Kiedyś we Lwowie, gdzie rodzeństwo zjeżdżało się na dłuższe pobyty w zimie, byłam świadkiem wspaniałego zajścia. Mieszkaliśmy wszyscy w hotelu Żorża, odwiedzając się bezustannie. Wuj Zygmunt zadzwonił na pokojową i wydając jej jakieś polecenie, przytrzymał ją za ramię. Coś w nim widocznie ożyło w zetknięciu z młodą realnością... gdyż zwróciwszy się do nas powiedział z lubością : "O,o,o comme elle est dodue!"/O, jaka ona jest pulchna/, na co ciotka spiorunowała go jednym słowem : "Sigismond!"... ale intonacja tego wykrzyknika była taka, że staruszek jak zmyty zakręcił się i umknął do swego pokoju. /Ja zresztą też, bo musiałam wyśmiać się do woli/.

Babunia i jej rodzeństwo używali w rozmowie ze sobą przeważnie języka francuskiego, mówiąc zaś do siebie po polsku, posługiwali się często starodawną formą : "Panie bracie", "Pani siostro" - na wpół żartobliwie na wpół serjo.

Zimowe "sezoniki" we Lwowie przenosiły na 3-cie piętro do Żorża kawałek życia kresowego, zabarwiając je po swojemu i podporządkowując sobie wszystko i wszystkich. Było się tam jak u siebie.

Zajmowano szereg pokoi, wieczorami zbierano się to tu, to tam. My z Babunią mieszkałyśmy stale pod 71, ciotka Mariola naprzeciwko pod 62-gim, a wuj Zygmunt miał zwykle pokój na drugim korytarzu z oknami na plac Mariacki i dreptał nieustannie do sióstr to w tej, to w owej sprawie. Ja oczywiście żyłam swojem młodem życiem, trochę na uboczu, ale nie na tyle, aby nie obserwować staruszków, nie podpatrzeć i nie zapamiętać różności... I tak np. zauważyłam, pewnej zimy, że rozważną i skąpą ciotkę Mariolę opanował Jezuita, ksiądz W. i ciągnie z niej wcale pokaźny dochodzik dla ... Zakonu....

Był to młody jeszcze, przystojny, ogromnego wzrostu mężczyzna, świetny kaznodzieja i mówca. Niesłychanie wyrobiony życiowo i obyty towarzysko. Ciotka poznała go po jakichś rekolekcjach i stał się wkrótce codziennym gościem pod 62-gim. Że to wówczas "kto go rodzi" było najlepszym "entrée en matière", więc też na lekkie indagacje wuja Zygmunta począł dawać tak szczegółowe i zadawalające odpowiedzi, aż się dogadali z ciotką powinowactwa przez Sapiehów... Zaczęła staruszka mówić do ojczulka : "Alfredzie", a on do niej : "Ciotuniu", przypieczętowano to złotą papierośnicą pana Miłosława, ku słusznemu oburzeniu córki....

Na 3-cim piętrze była od kilku lat ta sama pokojowa, starsza już i o tak dystyngowanej powierzchowności i wzięciu, że-my ją nazywali "guwernantką", wyglądała bowiem raczej na nauczycielkę niż na służącą. Znała wszystkich doskonale, całą paczkę z Kresów, wraz ze wszystkimi słabostkami i śmiesznostkami. Od niej też zasłyszałam następującą wspaniałą historię.

Pewnego razu ciotka Mariola zaprosiła ojca Alfreda na kolację. Kazała kelnerowi przynieść na 3-cie piętro kartę. Księżunio, który lubił dobrze zjeść, zagłębił się z lubością w jadłospisie i po namyśle wybrał najdroższe potrawy : fileciki w maderze z truflami, kuropatewkę z kompotem. W staruszce słabość dla siostrzeńca walczyła ze skąpstwem. Wreszcie nie wytrzymała i w obecności stojącego w służbo-

wej postawie, z serwetką pod pachą, kelnera, zaryzykowała uwagę : "Proszę Alfreda, tak na noc, czy to wszystko... czy to nie sprawi boleści?..." Roześmiał się tubalnie i uderzył ręką po kolanie : "Ciotuniu! Kolacyjkę się zje, a boleści Panu Jezusowi ofiaruje !..." Nawet nie wiem,czy się zgorszyła, taka była w nim zaślepiona!...

U służby hotelowej nie miała "miru", nie była bowiem w napiwkach hojna... Dorożkarzom płaciła ściśle według taksy, bez żadnej nadwyżki, jak było wówczas w zwyczaju. To też nie lubili z nią jeździć, a znali ją doskonale, bo któżby kogo w owych czasach we Lwowie nie znał!... Raz spotkał ją z tego powodu "despekt" i mnie także!... Gdzieś tam miałyśmy razem jechać. Wyszłyśmy z hallu, a portjer hotelowy zatrąbił na fiakra. Podjechał "einszpener"/dorożka jednokonna/, a ujrzawszy ciotkę,stwierdził krótko : " A, to ta pani.. Nie pojadę!" Zawrócił konia, a my jak niepyszne zostałyśmy na trotuarze. Za naszymi plecami służba hotelowa, z portierem na czele, dusiła się ze śmiechu... przyznam się, że ten jeden raz byłam wściekła na ciotkę!...

Skąpstwo było cechą tak bardzo nie licującą z szeroką naturą kresową, że tym więcej zwracało na siebie uwagę i jego objawy utrwaliły się w mojej pamięci. Dziś, doszedłszy do uogólnień, muszę stwierdzić, że występowało ono u osób starszych, takich, które w młodości wcale doń nie okazywały skłonności. Było więc niezawodnie pewnem schorzeniem psychiki, pewnem osłabieniem ... a może budzącą się podświadomie samoobroną przed ruiną i niedostatkiem, które już następne pokolenie miały dosięgnąć?...

115

Ale razem ze skąpstwem swoim i mimo niego, była ciotka Marciola taką matroną i taką mocną indywidualnością, że już z tego samego tytułu należy się jej miejsce w galerii "typów" kresowych.
Taką wolą, konsekwencją, wytrwałością w życiu ktoś przeciętny nie mógł by się pochwalić! Przywiązana do starych tradycji, potrafiła dla nich nawet swoje skneratwo przezwyciężyć! - Miałam tego przykład na sobie. Byłam właśnie zaręczoną i w jej obecności rozmawiało się o mojej wyprawie. Mówiłam, że dzbanek i miednicę srebrną mojej matki trzeba będzie przetopić na tacę, która mi jest bardziej potrzebną. Ciotka odezwała się zupełnie nieoczekiwanie : "Proszę nic nie przetapiać! Ja - ofiaruję tacę". I rzeczywiście dostałam od niej, jako prezent ślubny, srebrną tacę, cukiernicę i "mlecznik". /dzbanuszek na śmietankę/. A miednica i dzbanek istnieją dotąd, uratowane dzięki niespodziewanej hojności ciotki Marioli,... bo należały do tradycji!...

Staruszka, cała we fioletach, była na moim ślubie w roku 11-ym.- Wtedy widziałam ją po raz ostatni. Zginęła tragicznie podczas pogromu, utopiona przez bandę chłopską na ziemi kresowej, której nie chciała opuścić.

Trzecia z rzędu córka dziada Wilhelma - Helena - przystojna, inteligentna, wesoła, często po śmierci matki swej przebywała w Widawie i tu poznała stryjecznego brata mego dziada, Romana Rościszewskiego z Tymoszówki na Ukrainie /tej samej Tymoszówki, której druga część należała do Szymanowskich/.- Podobał się jej przystojny, elegancki młody człowiek. Powiedziała więc szczerze braterstwu : "Wiecie, za tego Romana to bym wyszła!"
Małżeństwo było ze wszech miar odpowiednie i wkrótce doszło do skutku, w rezultacie jednak okazało się niefortunnem. Zdaje się, że

młodzi byli do siebie bardzo niedobrani, oboje gwałtowni, ona kapryśna i fantastka. Roman na przyjęcie żony wybudował i urządził śliczny dom, który jednak nie zyskał jej uznania. Grymasiła, wyjeżdżała coraz częściej i coraz dłużej bywała nieobecną. Dużo przebywała w Warszawie, gdzie zaczęła zajmować się dobroczynnością. Z biegiem lat małżeństwo "rozkleiło się" zupełnie. Nie było żadnego skandalu, nie nastąpił żaden, t.zw. wówczas "rompus" oficjalny. Po prostu odeszli od siebie, żywiąc dla siebie wzajemny szacunek i przyjaźń. "Incompatibilité de caractères" /niezgodność charakterów/, jak mawiano... I prawdopodobnie temperamentów!... Ale o tym wówczas mówić nikt się nie ośmielił!

Owdowiawszy po latach kilkunastu, ciotka Helena zamieszkała u Szarytek na Tamce, w klasztorze św.Kazimierza. Cały swój majątek oddała siostrom i nędzy wyjątkowej. Póki jej zdrowie i siły na to pozwalały, odwiedzała chorych i biednych. Wybudowała swoim kosztem oficynę przy klasztorze i tam miała dla siebie dwa czyściutkie, schludne pokoiki, sztywne trochę i puste, jak cela klasztorna, ale w których czuła się szczęśliwą pod opieką starej, wiernej Szafranusi. Na Podolu miała jeszcze wówczas śliczny majątek Bahłaje, w pobliżu Widawy leżący. Pamiętam, jak kilkakrotnie przyjeżdżała do nas latem, aby pozałatwiać różne sprawy administracyjne i gospodarskie. Traktowała jednak tę"własność" jako "dopust Boży" i była uradowana, gdy po roku 1905-ym znalazł się Polak, który zaproponował jej nabycie majątku. Uważała zawsze potem, że zrobił jej łaskę /a on zrobił doskonały interes!/ i że dobrodziejstwem było oswobodzenie jej od "tej kuli u nogi"... Pieniądze uzyskane oddała wszystkie Szarytkom, u których w późnej starości umarła, na parę lat przed wojną. Widziałam na warszawskich Powązkach, wśród szeregu ubogich mogiłek zakonnych grób jej, różniący się tylko napisem na krzyżu : "Hrabina Helena Rościszewska". Poczciwe

siostry, widocznie chcąc się jej wywdzięczyć, uczciły ją tytułem, który się jej nie należał i którego nigdy nie używała...

W rodzinie nie była popularną. Ta bogata, bezdzietna ciotka, która wcale o siostrzeńcach nie myśli, podświadomie irytowała zaostrzone apetyty sukcesorskie. Ale ona o żadne stosunki z rodziną nie dbała. Niby była czuła i serdeczna, jeśli ją kto odwiedził, niby się cieszyła, ale w gruncie rzeczy wszyscy byli jej najzupełniej obojętni i nie interesował jej nikt i nic poza klasztorem i jego sprawami. Pytałam ją kiedyś dlaczego żyjąc tak jak żyje, nie została zakonnicą?... "Bo nie cieppię ranoh wstawać!" - odpowiedziała. Dziś, myślę, że to była jednak zanadto rogata dusza i zbyt samowolna natura, aby się poddać posłuszeństwu zakonnemu. Nawet Bogu dawała ze siebie tylko tyle, ile chciała.
Bystra i inteligentna, umiała czasem być złośliwą, ale tak "z cicha pęk". Pyta ją jeden ze siostrzeńców, kiedy ją można odwiedzić... bardzo o to prosiła, ale na zakończenie dodała : "Tylko dobrze uważaj, bo to u nas są złe psy i czasem je wcześniej spuszczają..." Pamiętała z dawnych czasów, że ten ziemianin, od dziecka na wsi zamieszkały, ma jedną słabość : panicznie boi się psów!... Oczywiście był wściekły na nią i wszystkim tę historję o psach opowiadał.
"To niech każe pozamykać te psy!, jak chce mnie widzieć!..."
Nie kazała.

Ubierała się niesłychanie dziwacznie w jakieś czarne kaftaniki antycznym krojem, długie fałdowane spódnice, pod którymi nosiła turniurę... "Coś takiego już dziś nie ma", jak mówią na Pomorzu!... /So etwas gibt es nicht/. - Dla mnie była żywym obrazem minionej epoki i jako taką ją pamiętam i wspominam.

Z pośród dystyngowanych dam tego starszego pokolenia, które pamiętam, babka moja była bez zaprzeczenia jedną z najdystyngowańszych. W jej ustach słowa : "Quelles manières" były dla mnie największą naganą i od najmłodszych lat byłam wdrażana do zachowania się w każdej okoliczności spokojnie, z umiarem, z zastosowaniem wymaganych form, unikaniem gestykulacji. Niektóre słowa, niektóre wyrażenia nie przeszłyby mi przez usta, ponieważ przywykłam uważać je za "ordynarne", nie mówiąc już o wyzwiskach, które w repertuarze kobiety, tymbardziej pamiętki "dobrze wychowanej", nie istniały wcale. Dzień po dniu, rok po roku, byłam wciągana w pewien protokół towarzyski; nie mam pojęcia i nie pamiętam kiedy się tych różnych drobiazgów nauczyłam, drobiazgów, z których się składa całość wykwintnych form. Babunia uważała, że się jej należą, jako kobiecie i to kobiecie starszej, pewne względy i pojąć nie mogła, aby nawet w wyjątkowych okolicznościach ktoś im uchybił. Na tym tle wynikła kiedyś we Lwowie przezabawna historja, z której śmieliśmy się przez całe lata. Było to podczas zimowego sezoniku u Żorża. Wieczorem Babunia opuściła zebrane, w jednym z naszych pokoi, rodzinne grono i udała się do WC. Wraca po chwili oburzona i opowiada : "Wyobraźcie sobie, zasuwka widocznie jest zepsuta, otwieram drzwi, widzę że siedzi jakiś czarny, brodaty jegomość! Ja wchodzę - a on nie wstaje!..." "Mamo! - zawołał wuj Karol wybuchając śmiechem - to całe szczęście, że nie wstał!"...

Staruszka była wyraźnie poruszona nie, zepsutym zamkiem ustronnej ubikacji, nie wejściem w nieodpowiednim momencie... uderzyło ją i oburzyło jedno : złe wychowanie mężczyzny, który nie wstał, gdy ona weszła!... Ta humorystyczna historja jest tak charakterystyczną dla ówczesnej mentalności towarzyskiej, że ją zacytowałam, mimo że temat jest niezupełnie w mym guście... Z tych dawnych czasów wyniosłam bowiem między innymi wstręt do anegdotek, dowcipów dwuznacznych, wszystkiego tego, co nie mogło być głośno i wyraźnie powiedzia-

ne w salonie. Ten "salon", nieraz później osmieszany, miał jednak swoje dobre strony... Wymagał podciągnięcia się do jego djapazonu i utrzymania się na pewnym poziomie. - Niżej była "garderoba", "garderobiane maniery", "garderobiański sposób bycia"...
A przecież niejedna z ówczesnych mieszkanek"garderoby" mogłaby nauczyć manier i dystynkcji dzisiejsze "panie z salonów"!...

Wieczorem przyjmowano u Żorża wizyty. Wpadała czasem "na pół godziny" ciotka Anna Szymanowska, w "berlaczach"/botkach/ i futrzanej salopie, której zanic nie chciała zdjąć. Rozbierała się metodycznie,w miarę jak się jej robiło coraz cieplej w tym doskonale ogrzanym pokoju, podczas kilkugodzinnego u nas pobytu... Ale nigdy nie dała się namówić na to, by kalosze zdjąć odrazu! Były to lata, kiedy ze swoją rozmuzykowaną i kształcącą się młodzieżą opuszczała na zimę Tymoszówkę i osiadała we Lwowie. Felcio grywał Szopena, a ja, wtulona w jakiś kąt kanapy, przeżywałam najcudowniejsze chwile młodzieńczych marzeń i poezji. Katot mówił mało i grał mało, ale gdy sobie poprzez te wszystkie lata uprzytomnię jego oczy - wiem, że już wówczas tlił się w nich geniusz, zaś w uśmiechu malowała się ta dobroć, co ludzi ku niemu zniewalała i kochać gorąco kazała tego samotnika na wyżynach jego sztuki natchnionej!
Najstarsza z rodzeństwa Nula studjowała sztukę stosowaną, będąc obdarzoną specjalnymi zdolnościami malarsko-dekoracyjnymi, a pozatem sypała dowcipami, które skrzyły się jak brylanty... Niewiem dlaczego jedno jej "powiedzonko" utkwiło mi w pamięci, Dowodziła mianowicie, że skandal jest tym większy im większa jest różnica wieku pomiędzy nim a nią... i o ile ona właśnie jest od niego starszą... O wiele później śmiałam się z tego, zrozumiawszy po latach dopiero "pointę" tego zdania...

Stasia, moja rówieśnica, przyjaciółka serdeczna wszystkich

następnych lat, aż do spowitej kirem krypty u Zbawiciela, Stasia, słowik Tymoszowiecki, uczyła się wówczas śpiewu i gry scenicznej u sióstr Zofji i Marji Kozłowskich. Pamiętam jej debiut w teatrze Skarbkowskim w roli Lalki w Opowieściach Hofmana. Prosiła mnie, aby przyjść na ten debiut, na te zaślubiny z deskami scenicznymi "dotyny szlacheckiej"/dziecka szlacheckiego/. Kto tych czasów nie pamięta i kto nie zna zapatrywań ówczesnych sfer ziemiańskich, ten sobie nie może zdać sprawy jaką koncesją na rzecz Sztuki było wstąpienie panny z domu obywatelskiego do teatru, jakiej to dowodziło woli żelaznej u niej, szerokiego światopoglądu u matki, umiłowania Muzyki przez nich wszystkich - muzyków urodzonych i stygmatem tym naznaczonych od kołyski!

Ale poza "ich klanem" artystycznym szumiał ziemiański świat, świat tych zjadaczy chleba powszedniego, dla których aktorka była "tylko aktorką", a przestawała być "osobą z towarzystwa". Do tego "klanu" ja należałam, w tym klanie ja się obracałam... Ale tak kochałam Stasię i tak wierzyłam w słuszność jej sprawy, w piękno jej artystycznego powołania, że przezwyciężyłam wszystkie przeszkody, zwalczyłam wszystkie zastrzeżenia i w oznaczonym dniu siedziałam w loży z jedną z zaproszonych ciotek, ciskąc do bijącego serca kwiaty, które miałam rzucić na scenę. Byłam jedyną osobą z rodziny, która była na premierze /oprócz jej rodzeństwa/ i tego mi Stasia nigdy nie zapomniała! Nie raz to wspominała ze swoim uśmiechem uroczym, z prostotą serdecznej wdzięczności wielkich ludzi, którzy małych dowodów serca nie zapominają, gdyż sami mają wielkie serca. Urocza, niezapomniana, nieodżałowana moja Stasia!....

Z synów dziada Wilhelma najstarszym był wspomniany już kilkakrotnie Zygmunt, właściciel Lipczan nad Dniestrem. Wprawdzie sylwetkę jego zarysowałam epizodycznie, ale nie oddałabym mu sprawiedliwości i nie skreśliłabym prawdziwego portretu, gdybym nie stwier-

działa, że był to człowiek ogromnie inteligentny, wykształcony, wyjątkowo oczytany, miłośnik starych książek i druków, doskonały znawca historji i heraldyki. Miał w Lipczanach piękną, bogatą bibliotekę, w której ciągle szperał nie uważając jej jako integralną część umeblowania jedynie, jak to niestety najczęściej się zdarza... Nauki pobierał w Petersburgu, tam też skończył konserwatorjum i grał przepięknie, ale w późniejszych latach zaniedbał muzykę. Słyszałam go tylko raz w życiu... Bawił w Widawie, kiedy któregoś wieczoru, sądząc, że mnie nikt nie słucha, przegrywałam sobie "Sonatę Księżycową". Nadszedł cichutko, stanął za mną tak, że go nie spostrzegłam i począł dyrygować. Presto... presto... ralentando... piano... pianissimo... Zgorączkowana tym niespodziewanym świadkiem moich zmagań z Bethowenem zrezygnowałam wkrótce z gry prosząc natomiast gorąco, aby on siadł do fortepianu i pokazał mi jak to wykonać należy... Miałam u niego zawsze łaski, więc chwilkę się wahał, a potem spełnił moją prośbę i zasiadł na mojem miejscu. Zagrał całą sonatę na pamięć tak biegle i tak pięknie, że byłam zdumiona! Ale już nigdy więcej nie dał się namówić i opędzał się lekceważąco od wspomnień tej chwili, gdy uległ chwilowej zachciance i po niewiem ilu latach grał...

Wuj Zygmunt ożeniony był z Marją Czajkowską, właścicielką majątku Cruszka w powiecie jampolskim. Mieli 5-ro dzieci, z których najmłodsza "panienka z Kresów" - Elżbieta Dorożyńska, autorka książki "Na ostatniej placówce" przeszła niemal do historji postawą swoją na tej placówce, na której trwała wbrew wszystkiemu, dając świadectwo niespożytej woli i umiłowania kresowej ojcowizny.

Jak wszyscy w tej rodzinie, lubił wuj Zygmunt samotność. Sądzę jednak, że musiała mu czasem ciążyć w Lipczanach. - Dom na stoku wyniosłego wzgórza, spalone gorącem słońcem trawniki, oślepiający

odblask wapiennych gór, granitowe, urwiste brzegi Dniestru, płynącego w ogrodzie. Sadyba ta, nie pozbawiona dzikiego piękna, robiła na mnie wrażenie dziwnie smutne... może dlatego, że pozbawiona była ręki kobiecej, wujostwo bowiem rozstali się przed laty, dzieci były przy matce, odwiedzając ojca, który dziwaczał coraz więcej i coraz większym robił się odludkiem. Córki dorósłszy, chciały koniecznie rodziców pogodzić. W owych czasach rozbite małżeństwa były takie rzadkie i tak ciężko było dzieciom przystać na ich istnienie!... To był jakiś stan chorobliwy, nienormalny, który należało za wszelką cenę usunąć! Jakoż po wielu wysiłkach, staraniach i namowach spotkanie małżonków doszło do skutku w domu starszej, zamężnej córki, w Krakowie. Pamiętam, jak potem ciotka Mariola dopytywała się gorączkowo, jak to się odbyło : "No i co Zygmuncie?... no i co?" - "No i nic" - odpowiedział niechętnie. - "Pocałowałem ją w rękę!" Za wiele lat, za wiele żalu położyło się między nimi wałem, którego usunąć już nie byli w stanie... Do końca życia żyli osobno i umarli osobno, ona u siebie w Gruszce, on na "Ostatniej placówce" u córki w Nalżbijówce. Był już wtedy niedołężnym, zdziecinniałym staruszkiem, którym trzeba było opiekować się jak dzieckiem. Dożył pięknego wieku, ale mniej pięknych dni...

Bolesław,- drugi brat babuni. Oboje z żoną umarli młodo, zostawiając 5-ro drobnych dzieci, którymi opiekowała się babunia. Wszystkie te dzieci wychowały się, dorosły, założyły własne rodziny - i wszystkie skończyły tragicznie! Nie wiadomo dlaczego nemezis życiowa zawisło nad słonecznym, śliczny Kumanowem, gniazdem tej rodziny? Najstarszy Bolesław, właściciel Żabiniec w pow.kamienieckim i dziedzic rodzinnych Wodyczek, został rozstrzelany w lesie przez chłopów na tle jakichś porachunków osobistych i zemsty za sądy na podpalaczy i złodziei, których tępił wytrwale, walczył z nimi przez całe swe życie. Osierocił żonę i dwoje małoletnich dzieci.

Najmłodsi z rodzeństwa - słodka, kochana Helunia, żona Emanuela Pogorskiego z Jówek, szambelana papieskiego, i Ludwik - ożeniony z Zofją Jaroszyńską, zginęli w Kijowie rozstrzeleni w "Czerezwyczajce" jako "obywatele ziemscy" więc "wrogowie ludu" - skazany na zagładę element.

Wreszcie dwie córki : Dominika i Zofja. Dziwne ich dzieje znałam dobrze z opowiadań babuni. Domcia była rówieśnicą mojej matki i jej największą przyjaciółką. Tryskająca życiem, dowcipem i wesołością, typ trochę włoski, czarnowłosa z oczami jak gwiazdy. Babunia kochała ją ogromnie, prawie na równi z własnymi dziećmi. Znała doskonale jej naturę i usposobienie. Domcia była żywa i zalotna, bez złej myśli, to też gdy zakochał się w niej kuzyn jej Józef Zieleniewski, kokietowała go dla zabawy i zawracała mu głowę ile się tylko dało! Ale on miał dla niej uczucie głębokie i prawdziwe i czuł się tym nieszczęśliwszy, że był wyjątkowo brzydki, rudy, gruby, niezgrabny... Inteligentny, o kryształowej prawości, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, jak mało ma szans, aby się pannie podobać. A urocza kuzyneczka raz robiła mu nadzieję, od której zamierało mu serce - to znów się cofała, zimna, obojętna... Babunia nie omieszkała przestrzegać jej przed tą grą, ale dopiero wmieszanie się do sprawy jednej z dalszych ciotek przyspieszyło rozwiązanie. Ciotka ta w surowych słowach roztrząsnęła serce panienki i w takich barwach odmalowała z jednej strony rozpacz i cierpienie niefortunnego konkurenta, z drugiej zaś "nikczemność" jej postępowania oraz obowiązki, które zaciągnęła wobec ofiary swej lekkomyślności, złamanego i wykolejonego człowieka, że dziewczyna nie wiele myśląc, wstrząśnięta do głębi, nie poradziwszy się nikogo, zawezwała listownie młodego człowieka i sama mu ofiarowała swoją rękę. Kiedy babunia się o tym dowiedziała, załamała ręce. Znała Domcię i wiedziała co się w niej dzieje. Zdawała sobie sprawę, że dziewczyna pod wpływem chwilowej egzaltacji popełniła krok, którego żałować będzie całe życie!... Błagała ją, aby

aby cofnęła słowo, aby się nie gubiła i nie zaprzepaszczała w tym wymuszonym małżeństwie. Nic nie pomogło. Dziewczyna zacięła się i postawiła na swoim. Wzięli ślub. Mieszkali tak blisko Widawy, że Babunia miała ich ciągle na oczach. Młody małżonek otoczył ukochaną kobietę najczulszą miłością i staraniem, patrzył jej w oczy i starał się myśli odgadywać. Ale jednego nie mógł odgadnąć : że umiera-ła powoli z przymusu i męki! Podobno od dnia ślubu poprostu gasła. Zmieniła się do niepoznania : mizerna, bez humoru, oczy wpadnięte, zapatrzone gdzieś w przestrzeń, usta zaciśnięte w bolesnym skurczu milczenia. Nigdy ani słowa o sobie, o tym co czuje, co myśli... Zamknęła się zupełnie przed tymi, których najwięcej kochała : przed matką moją /wówczas również już zamężną/, przed babunią, która przewidziała jej mękę... Dalsi, sądzili, że zmianę w wyglądzie i usposobieniu należy kłaść na karb jej stanu i że to minie wraz z rozwiązaniem. Jakoż, niespełna rok po ślubie, urodził się syn. Na drugi dzień, korzystając z nieobecności w pokoju akuszerki, młoda kobieta kazała służącej otworzyć okno na roścież. Był luty. Fala mroźnego powietrza zalała pokój, owiała wątłą postać, wtargnęła w osłabione płuca... Nie pozwoliła zamknąć okna przez długie pół godziny, aż poczuła, że upragniona i przyzywana śmierć pojęła przyzwanie i z dreszczami i gorączką nadchodzi... Gdy babunia nazajutrz z Widawy przyjechała, zastała ją już nieprzytomną. Zapalenie płuc, na wyczerpany porodem organizm - to było zupełnie wystarczające. Umarła cicho, nie żałując życia, pomimo, że była taka młoda... Komentowano potem ten wypadek jako niedbalstwo służby, niedopatrzenie akuszerki... ale babunia, która była przy niej ciągle w tych ostatnich jej dniach, twierdziła stanowczo, że nieszczęsna żyć nie chciała, że przecierpiana męka porodu zdecydowała ją ostatecznie... Raczej śmierć, niż przeżywać to wszystko po raz drugi!... Wybrała śmierć.

Zrozpaczony wdowiec zamieszkał z pozostałym niemowlęciem w pobliskich Niemierzyńcach, które wydzierżawił. Mały Franio chował się zdrowo i rósł szybko. Opiekowała się nim stara, zaufana bona i codzień prawie dojeżdżała z Kumanowa siostra matki - Zofja.

I teraz zauważono rzecz dziwną : młoda, przystojna dziewczyna nietylko z powodu siostrzeńca bywała codziennym gościem w Niemierzyńcach... Ona zakochała się w szwagrze!...

Spostrzegł się po pewnym czasie... Ani jej nie kochał, ani się po raz drugi żenić nie miał zamiaru... Irytowało go to i niepokoiło...A gdy wreszcie kiedyś panienka w przystępie miłości i rozpaczy rzuciła mu się do nóg - tłomaczył się babuni i usprawiedliwiał, zgnębiony zupełnie! - "Czy ja taki piękny? Czy ja taki młody?..." Ożenił się w końcu, a biedna kobieta, która widocznie już wtedy nie zupełnie była normalna, zapadła wkrótce po ślubie na chorobę umysłową. Wlokło się to długie lata z przerwami, kiedy była zdrową zupełnie, kiedy przychodziły na świat dzieci /trzech synów i córeczka/, z nagłymi nawrotami melancholji, potem coraz częstszymi atakami furji. Mieszkali wtedy już stale w Odessie, ale Józef nie chciał nieszczęśliwej oddać do zakładu, trzymał ją w domu, w osobno dla niej urządzonych pokojach, pod opieką dwóch pielęgniarek, które się zmieniały i nie odstępowały jej ani we dnie, ani w nocy. Dobroć i subtelność tego człowieka, takiego na pozór z grubsza ociosanego, była nadzwyczajna! Znosił długie lata pod jednym dachem biedną obłąkaną, lękając się, że w zakładzie mogą jej zrobić krzywdę,lub że cierpieć będzie podczas możliwych przebłysków przytomności, poznawszy, że nie jest w domu, pomiędzy swymi... Zofja umarła jako starsza już kobieta - tragiczna córka tej smutnej rodziny, nad którą zawisło jakieś niepojęte fatum!...

Najmłodszy syn Wilhelma - Kazimierz.- Ożenił się z miłości z bardzo ładną, doskonale urodzoną, ale zupełnie biedną panną,

Jadwigą Markowską.- Dziad Wilhelm był przeciwny temu romantycznemu małżeństwu. Interwenjowała, uproszona przez brata, babka moja; wstawiła się do ojca i uzyskała pozwolenie. Wujenka Kazimierzowa zachowała za to zawsze wdzięczność dla bratowej, z którą dzieliła ją wielka różnica wieku. Okazywała jej wielki szacunek i przywiązanie, mówiła do niej zawsze w trzeciej osobie : "Niech Wandziunia"... co mnie bardzo bawiło... Wujostwo Kazimierzostwo byli ze sobą niesłychanie szczęśliwi całe życie i bardzo się kochali. Syna jedynaka wychowali bardzo starannie i jak na owe czasy "postępowo". Skończył bowiem wydział elektrotechniczny na politechnice lwowskiej. Ale nie zastosował w życiu nabytych wiadomości, osiadł bowiem po śmierci ojca na roli i gospodarował w majątku Gorczyczna w powiecie uszyckim. Rolnikiem nie był, wsi nie lubił, był więc,pomiędzy współczesnymi sobie obywatelami na Podolu, wyjątkiem.

Po wydaniu za mąż wszystkich córek i ożenieniu wszystkich synów stary Wilhelm Zaleski został sam w ogromnym wodyckim dworze, jednej z tych bardzo nielicznych rezydencji kresowych, które nie bez słuszności mianowano "pałacem". Pomimo domowników, licznych wówczas wszędzie "rezydentów", pomimo, że ciągle zaglądał ktoś z sąsiadów, a dzieci przywoziły przybywające na świat wnuki, samotność ciążyła staremu. A czuł się jeszcze w pełni sił męskich, postanowił się ożenić. Wybór jego padł na pannę Honoratę Zaleską, rodzoną siostrzenicę zięcia Miłosława, leciwą już osobę, która z miłą chęcią wyrzekła się panieństwa dla stokroć większych prerogatyw, które dawało jej małżeństwo z dziedzicem Wodyczek z przyległościami.

Ze związku tego przyszło na świat jeszcze 5-ro dzieci. Nigdy w moich najdawniejszych wspomnieniach, w rozmowach z tym starszym pokoleniem, które tak dobrze znałam, nie natknęłam się na najmniejszy ślad, nie to już krytyki, ale nawet cienia niezadowole-

nia z powodu tego kroku ojca. Wogóle nie mówiło się wcale o tym, przyjmując jako rzecz zupełnie zwykłą, że ojciec pomyślał o sobie, że sobie życie urządził jak mu było wygodnie i przyjemnie. A przecież tym sposobem uszczuplał dziedzictwo po sobie - drugiej żonie i jej potomstwu zapewniając część dóbr, które byłyby starszym dzieciom przypadły w udziale... Miejsce u boku ojca, w rodzinnym umiłowanym domu, zajęła macocha... Tytułowano ją "ciocią Honorcią" i lubiano ogólnie, bo była wesoła i niesłychanie dowcipna. Nad dziećmi, którymi ją Bóg w tak późnych latach obdarzył, trzęsła się po prostu i dziwaczyła niezmiernie. Ale delikatne to było, chuchrowate, nie do życia. Zrodzone ze starych rodziców, wszystkie nosiły w sobie jakiś uraz, który próby dłuższego życia nie przetrwał... Dwie dziewczynki umarły : Anunia - jako małe dziecko, Domciunia - jako dorastająca, cudnej urody dziewczyna. Z synów - jeden, Janusz, był ułomny, drugi - Antoś - niedorozwinięty, i chociaż dożył lat trzydziestu paru, musiał mieć zawsze przy sobie opiekuna - niańkę, który nim kierował i jak dziecko otaczał staraniem. Najmłodszy - Marcin - był zdawało się zupełnie "udanym". Ożenił się z wielkiej miłości z panną Wiktorją Bilińską z Dzielińcza, córką zruszczałego pułkownika. To romantyczne małżeństwo ostatniego dziedzica rodowych Wodyczek było uważane przez rodzinę za "mezaljans" i tylko dwie osoby stanęły po stronie młodych : moja babka i pani Martyna Zaleska z Ostapkowiec. Zawsze też obie protegowały młodą kobietę, która, oprócz urody, miała wielkie zalety osobiste i choć nie błyszczała ani inteligencją, ani dystynkcją - okazała się najlepszą żoną, pojmującą szczytnie swoje obowiązki i wypełniającą je bez zarzutu. Biedny Marcin wkrótce po ślubie popadł w suchoty i chorował nieustannie przez cztery lata. Młoda małżonka nie opuściła go do ostatniej chwili, towarzysząc do Davos, pielęgnując najtroskliwiej, nie myśląc o sobie, o możności zarażenia się, co jej przecie groziło w tym codziennym zetknięciu się z chorym! - To też nawet ci w rodzinie którzy jej nie lubili, musieli przyznać, że stanęła zupełnie

na wysokości i że nie można, jak tylko uchylić przed nią czoła.

Śmierć Marcina dała początek długoletniemu procesowi rodzinnemu. Geneza sporu była ciekawa, wynikła zaś z testamentu dziada Wilhelma, który wyposażywszy 6-ro dzieci swoich z pierwszego małżeństwa i zostawiwszy dla siebie Wodyczki z przyległą Wolicą i Klimkowicami, kawałek tej jeszcze pańskiej fortuny zapisał umierając drugiej żonie tak, że Marcin dziedziczył prawdzicowskie fortuny nie po ojcu, ale po matce... Po śmierci więc jego, ostatniego z dzieci pani Honoraty, wracały te majątki do rodziny jej - do Sarjuszów Zaleskich, a najbliższym sukcesorem okazał się Seweryn Zaleski, syn Miłosława i Marjoli, a więc wnuk Wilhelma w prostej linji, ale po kądzieli. Adwokaci potracili głowy. Sprawę, zawikłaną samą przez się, zaciemniała jeszcze okoliczność, że w grę wchodziło to samo nazwisko Zaleskich, Prawdziców i Sarjuszów. Były to dwie różne zupełnie, tylko spowinowacone rodziny. Ze strony Prawdziców wystąpił Bolesław /syn Bolesława/ z Kumanowa, kwestjonując prawa do Wodyczek swojego cioteczngo brata Seweryna, Sarjusza... Trwało to lata całe i ostatecznie wygrał Sarjusz na podstawie litery prawa i tego nieszczęsnego testamentu. Ale i wówczas jeszcze Bolesław nie dał za wygraną. Uważał, że Wodyczki muszą być jego, muszą być Prawdziców i po szeregu pertraktacji, namów i wielkich kosztów z jego strony odkupił od Seweryna gniazdo rodzinne. Trudno zgłębić jakie w nim grały pobudki : czy tylko, jak sądzili niektórzy, pieniactwo i upór, czy też doprawdy sentyment do tradycji rodzinnych i wszystkich pamiątek w pałacu wodyckim zawartych?... Był tak trzeźwy i twardy na pozór, że prawie trudno go było o to ostatnie podejrzewać, - a jednak gdy był już właścicielem rodzinnej relikwji, białego dworu na tle starego ogrodu i stawu, - z miłością, z pietyzmem, na jakie tylko prawdziwe przywiązanie zdobyć się może, przystąpił do odnawiania, odświeżania, przywrócenia wszystkiego do dawnego stanu, tak jak było za

dziada, za czasów świetnej przeszłości. A kiedy wszystko było gotowe uprosił stare ciotki, które za proces, za rodzinny zatarg, za szarganie nazwiska po sądach rosyjskich, krzywo na niego patrzyły, aby przyjechały do Wodyczek, obejrzały i powiedziały, czy wszystko jest tak jak pamiętają, jak było za czasów ich dzieciństwa i młodości.

Ożenił się w kilka lat potem, już jako starszy kawaler. O narzeczonej jego kursowało powiedzenie : "elle épouse une résidence", tak dalece przepiękne Wodyczki przesłaniały człowieka, tak dalece nie wierzono, aby mógł pozyskać czyjeś serce ten trudny, twardy, nieustępliwy Bolek!...

A jednak w duszy jego musiały istnieć głębiny tajne, których nikt nie znał, nawet najbliżsi... W tych głębinach, w tych tajniach leżało ukochanie, któremu poświęcił wszystko : opinję swoją, szarpaną przez krótkowzroczne ludzkie sądy, popularność - co pod głosami krytyki ginie, mir w rodzinie, przyjaźń znajomych, łatwe, spokojne życie... A nagrodą mu były tylko te łzy, co zabłysły w oczach dwóch starych kobiet i tajemniczy szept wskrzeszonej przez niego Przeszłości w starym domu rodzinnym, który jak relikwję chciał dzieciom swoim przekazać. Nie przekazał... Wodyczki legły w gruzach, a dzieci jego mocują się z twardym życiem, gdzieś na dalekich jego placówkach i nawet nie pamiętają piękna, o którego wskrzeszenie walczył ojciec na rodowym, kresowym posterunku!...

Kiedy po śmierci Marcina, Bolesław bystrym okiem ogarnął sytuację i na Wodyczki zagiął parol, ze zdolnością znakomitego strategа postanowił obsadzić wszystkie pozycje. - Już na pogrzebie zauważył wdówkę... Była młoda i bardzo, ale to bardzo ładna! A przytem według prawa należała się jej, tak zwana u nas"7-ka" po nieboszczyku

siódma część majątku w ruchomościach i nieruchomościach. To wszystko razem nie było do pogardzenia! Więc po krótkim czasie uderzył w konkury. Bo nawet gdyby wygrał proces - wdowie trzebaby jej część wypłacić, a z żoną scheda ta weszłaby do całości... Wygrana na czysto, a przymus osobisty żaden... przeciwnie! Wdówka była bardzo ponętna... Odmówiła jednak kategorycznie. Nie dał za wygraną i co pewien czas ponawiał oświadczyny, zawsze z tym samym negatywnym skutkiem.
A tymczasem proces szedł zwykłą drogą sądowych kolei : wygrana Sarjusza i znów apelacja... Bolesław był w prawie kuty, pomiarkował, że może stanowczo uprzykrzyć się przeciwnikowi i obrzydzić mu objekt sporny, tj. Wodyczki, jeżeli skłoni wdówkę do zrobienia użytku z przysługującego jej prawa zajęcia 7-mej części w każdym pokoju, w każdej ubikacji wodyckiego domu... Przecież według litery prawa 7-ma część nieruchomości, każdego krzesła, każdej kanapy była jej własnością!... Zastosowanie się ścisłe do paragrafu tego, mogło doprawdy wytworzyć tragi-komiczną sytuację!... Ale pani Wiktorja się śmiała. Nie zależało jej na dokuczeniu Sarjuszowi, ani na przysłużeniu się Prawdzicowi, który był jej najzupełniej obojętny. Nie miała najmniejszego zamiaru dopomagać do zrobienia tego kawału. Więc rad nie rad, musiał Bolesław zrezygnować ze ślicznej wdówki i ze wszystkich jej prerogatyw i radzić sobie sam. Widzieliśmy powyżej, że wcale nie tanim kosztem postawił jednak na swoim!

Proces Wodycki - jak sprawę tę w okolicy nazywano, obfitował w szereg epizodów i epizodzików, z których niektóre były bardzo dla ówczesnych ludzi i ówczesnych stosunków charakterystyczne.
Raz zimą przyjechał Bolesław do Widawy. Był to czas, kiedy był w ostrej niełasce u starszego pokolenia, ponieważ wujowie i ciotki nie zgadzali się z nim w różnych szczegółach rodzinnego zatargu. Babunia przyjęła go lodowato, aż mnie zmroziło. Było to przed samym naszym wieczornym obiadem, więc zasiedliśmy do stołu, przy którym zapano-

wało grobowe milczenie. Staruszka nie podejmowała rozmowy, ja literal nie bałam się odezwać, gość widząc co się święci nie otworzył ust. Stary Piotr zmieniał talerze i dania i widać jaka była niezwykła atmosfera, kiedy do dzisiejszego dnia zapamiętałam "menu" tego upiornego obiadu! Na deser były pieczone jabłka z cukrem i śmietanką, które mi już zupełnie nie chciały przejść przez gardło ... Odetchnęłam, gdy wstaliśmy od stołu. Bolesław pocałował babunię w rękę i zwróciwszy się do Piotra, kazał konie swoje zaprzęgać. Była godzina siódma, listopad, noc ciemna jak piekło i zamieć śnieżna... Babúnia słowa nie powiedziała, żeby go zatrzymać... Wyjechał w tę zadymkę, w ten mrok, co dokoła niego zaciągnął swą sieć nieprzewidzianych przygód i niebezpieczeństw... Zauważyłam, że staruszka dłużej niż zwykle modliła się tego wieczoru. Może niepokoiła się o wędrującego po morzu śnieżnym, bez światła i bez przewodnika?... Może błagała Boga, aby go ustrzegł od nieszczęścia i błądzenia w tę noc ciemną?... Może rachowała się z sumieniem własnym, co kazało jej postąpić tak bezwzględnie wbrew własnemu sercu?... Nie wiem. - Były czasem,w naszych tak bardzo zażyłych stosunkach,chwile, kiedy jakaś wzajemna delikatność, jakaś subtelność uczuć, jakaś poprostu pruderja dokoła spraw czysto osobistych, która nie pozwalała nam tykać ich słowami... Nad kwestją dziwnej wizyty zapadła zasłona, której w rozmowach ze sobą nie uchyliliśmy nigdy, nawet po latach, gdy Bolesław babunię przebłagał i Wodyczki odnowione pokazał... Widocznie wówczas czuł się winnym, uznawał to i żalu w sercu nie zachował.

Dziad Wilhelm miał rodzeństwo : przyrodniego brata - Jakóba /urodzonego z Szaszkiewiczówny/, oraz rodzoną siostrę /z Komorowskiej/. Ta ostatnia wyszła za Skibniewskiego.- Ród ten bardzo licznie rozrodził się na Podolu i osobny rozdział mu poświęcę. W krótkości chcę najprzód o dzieciach Jakóba pomówić.

Było ich 5-ro : dwóch synów : Aleksander i Marcin i trzy córki - Magdalena za Zieleniewskim, Paulina za Jodką i Anna za Skrzyneckim.

Znałam już z nich tylko Aleksandra, ożenionego z Martyną Grabianczanką i Annę Skrzynecką, tak zwaną "Bunię", która była typem niezrównanym.

Wuja Aleksandra pamiętam jako starca z białemi jak mleko włosami, zamodlonego podczas nabożeństwa niedzielnego w ławce naprzeciw naszej, w Kumanowskim kościele. Kiedy pewnych wakacji zabrakło go w tej ławce i widniały już w niej tylko wdowie kwefy pani Martyny i krepowy, długi welon córki, odczułam jakiś wielki brak, którego nigdy czas nie zdołał wypełnić, ani pamięci tej charakterystycznej postaci, w tem miejscu, zatrzeć. Był wyjątkowo pobożny i widok tego zamodlonego starca był budujący i wzruszający zarazem.

Jeździł zawsze karetą, w której miał mały ołtarzyk i w drodze odmawiał różaniec. Do karety zaprzęgano zawsze 4 siwe konie. Przypominam sobie również jak tańczył na wieczorkach w Ostapkowcach, z niezrównanym życiem i ochotą, której mu każdy młody mógł pozazdrościć! - Te dwa obrazki z jego, miłą pamięci mej, sylwetką, pozostały na kliszy moich wspomnień.

O wuju Marcinie szeptano zawsze, że się całe życie kochał w mojej babce, która odwzajemniała mu się siostrzanym jedynie afektem, w największej przyjaźni i w niezmąconie dobrych stosunkach pozostając zawsze z jego żoną, Jadwigą z Iwanowskich, tak zwaną "Marszałkunią", w swoim czasie, bowiem, wuj Marcin był marszałkiem szlachty.

Obaj ci bracia majątek własny stracili w 63-im, ale obaj pożenili się bogato i mieszkali w dobrach, które im żony ich wniosły w posagu. Marszałkunia była najlepszą żoną i matką, wzorową panią domu, cieszącą się ogólną sympatją sąsiadką. Ale ani ambicjami, ani uzdolnieniami nie wykraczała poza te ramy. Zato żona Aleksandra - Martyna z Grabianków - była wybitną indywidualnością i we wspomnieniach kresowych należy się jej osobna karta.

Grabiankowie, była to stara szlachecka rodzina ludzi nieprzeciętnych. Coś tam mówiło się niewyraźnie, że byli i wolnomyślni i "farmazony"... Fortuna ogromna, magnacka, której,po śmierci jedynego brata, została pani Martyna dziedziczką.

"Maleńka i drobna, a każdy z osobna
Sprzeciwiać się jej nie lubi...
Jej gniew nie igraszką! Nie jedną porażką
Z nas każdy w sekrecie się chlubi...
Jej cnoty, zasługi, sędziwy wiek długi
Zjednały powszechne uznanie...."

Do końca swego długiego żywota, zakończonego w pierwszym roku Wojny, z niesłabnącą energią prowadziła samodzielnie swoje interesa, we wszystko wglądała, wiedziała o wszystkiem. - Tradycja różne o niej opowiadała historje.

Więc naprzód legenda o pokutującej w pałacu Ostapkowieckim,duszy Starościny - jej babki. Dla uproszenia wiecznego odpoczynku tej duszy umęczonej, obarczonej ciężkim grzechem rodzinnym, młodziutka dziewczyna składa ślub, że wstąpi do klasztoru... Nie wiadomo czy nocne wędrówki Starościny ustały?... Ale panienka spotyka młodzieńca, w którym się zakochuje bez pamięci. Jedzie do Rzymu, gdzie papież zwalnia ją ze ślubu.- Pobierają się.- Zamieszkują w jej dobrach. Kocha go tą drapieżną wyłącznością swojej mocnej natury i jest o niego zazdrosną. On - światowiec, tancerz zawołany, wesoły, towarzyski, ogólnie lubiany i zapraszany, wyjeżdża często w sąsiedztwo, do domów przyjaciół i krewnych. Ale jej czekanie się dłuży... więc wsiada na konia, mały kapelusz okręca szafirowym welonem, którego końce rozwiane na wietrze trzepocą... Za nią na drugim koniu galopuje kozak... Wpada jak burza na dziedziniec, przed ganek : "Olesia tutaj nie ma?"... Nie ma.- Uderza konia szpicrutą i pędzi dalej do drugiego dworu, tam, gdzie przypuszcza zastać męża... On jest wyjątkowo łagodny i zrównoważony, więc dzięki temu o żadnych starciach

między tą parą nie ma mowy.- Tradycja za to notuje kilkakrotne katastrofy u młodej mężatki, katastrofy spowodowane prawdopodobnie tą szaloną konną jazdą, bez względu na stan... I kiedy po upływie kliku lat każdorazowe nadzieje na dziecko zawiodły, uczynili ślub, tym razem oboje. Jeżeli doczekają się potomstwa - będą od tej chwili żyć z sobą jak brat i siostra... Przychodzi na świat córka - jedynaczka. Na dwóch krańcach pałacu olbrzymiego pokoje - na prawo pani, na lewo pana, przedzielone szeregiem salonów. Pod nimi na parterze ogromna sień kamienna. Balkon na kolumnach i podjazd. Nocą zajeżdża kareta, wyraźnie słychać turkot, skrzypią ciężkie drzwi wejściowe... echa kroków w kamiennej sali... po schodach wiodących na górę... W dużym salonie, z niepotrąconej alabastrowej kolumny ogromna waza spada pod jej nogi... Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie!" Coś jęczy pod oknem w noc ciemną, jesienną... - "To gałąź tarła o gałąź... kazałam ściąć ten konar..." - Nie przeczy, że jęk słyszała.... "A światłość wiekuista niechaj jej świeci... niech odpoczywa w pokoju, amen"...

Wiedziała, że o tej pokutującej duszy pod jej dachem, mówią wszyscy. Sama o tem mówić nie lubiła... Jeżeli wspomniała mimochodem, to na to, aby zaprzeczyć... Czy wierzyła w tę starą legendę?... Czy widziała kiedy ducha Starościny?...

W apartamentach jej krosna, włóczki jedwabie. Cały warsztat robót kościelnych; zaopatruje wszystkie okoliczne świątynie w ornaty i kapy. Praucymer szyje bieliznę kościelną, obrusy, albы, korporały, komże. Robią szlaki z koronek ręcznych, szydełkowych lub podwlekanych na siatce. Sama haftuje nieustannie. Nawet, gdy przyjeżdża z wizytą, ma ze sobą robotę. Oczy od lat całych chore, ukryte nawet w czasach młodości za szkłami ciemnych okularów, wysila do późnej starości, pracując nieraz nocą... Na stole przykleja jeden przy drugim kawałki świec,"aby mieć niskie światło na robotę"... I ciągle, ciągle pracuje... Na daleką Syberję, do najbiedniejszych kościołów

posyła szaty liturgiczne, dołącza nieraz kielich srebrny, pozłacany. Zachęcone jej przykładem panie okoliczne robią również roboty kościelne, a już każda panna młoda czuje się w obowiązku ślubną suknię na ornat ofiarować...

W apartamentach pana szafka oszklona.- W niej wszystkie zabawki córki, wszystkie od początku, od lat najmłodszych : grzechotki, lalki, piłki, mebelki złocone, filiżaneczki malutkie ... Oboje kochali to dziecko jedyne ponad życie własne. Gdy wyszła za mąż, książęcą mitrą ród swój uświetniając, spędzali u niej kolejno długie miesiące zimą. A latem, ona przyjeżdżała do nich. Ożywał wtedy stary pałac. Goście, powozy, wyjazdy i przyjazdy, ruch nieustanny. Z biegiem lat zanikała jakoś tradycja pięknych bali, które w ogromnym pałacowym salonie gromadziły liczne pary, ale przetrwały zabawy i"wieczorynki". W każdą niedzielę z parafialnego kościoła zjeżdżali się sąsiedzi. Spędzano całe popołudnie na wielkim, krytym balkonie, gdzie podawano herbatę i owoce. O zmierzchu przechodzono do przyległego "dużego" salonu i często grano w gry towarzyskie - młodzi i starzy, wszyscy.- Ślepa babka, kipi garnuszek, serweta... Stary doktór Targowski latał z zawiązanymi oczami, a panienki wymykały mu się zręcznie, wśród wybuchów wesołego śmiechu.

Z biegiem czasu zaczęto jednak uważać te rozrywki za "piłę" i przymus, a domorosły wierszokleta pisał na ten temat :

"W Ostapkowcach jeszcze cicho. Wkrótce księżna zjedzie,
I będziemy w"petits jeux" grali po lichym obiedzie..."

Kuchnia nie była do pałacowych splendorów dociągnięta i uważano ją za bardzo słabą stronę Ostapkowiec. Zapewne dlatego, że pani domu zupełnie na te sprawy nie zwracała uwagi. Nie znała się i nie lubiła jeść. Sama odżywiała się w sposób zupełnie indywidualny, według własnej djetetyki : bardzo lekka herbata z cytryną, kartofle pieczone, kukurydza... popijała sokiem z kwaszonych ogórków. Czasem skrzydło kurczęcia, odrobina makaronu z pomidorami /spaghetti/,

wspomnienie Włoch, gdzie w młodości dużo przebywała... Pomimo tego spartańskiego trybu życia, była niesłychanie silną i wytrzymałą. W maleńkim, drobnym, starością wysuszonym ciele władał duch, władał charakter najbardziej niepodległy, najbardziej niezależny, jaki sobie wyobrazić można, najsilniejsza w świecie wola i nieprzeciętny umysł.

Poważali ją wszyscy : za życie bez skazy, za stare cnoty, które czyniły z niej prawdziwą matronę, za bezkompromisowość przekonań, za odwagę cywilną, z jaką każdemu powiedziała prawdę. Nikt nie potrafił nigdy narzucić jej swego zdania. Miała własny, zawsze trafny sąd o ludziach i o rzeczach.- Łatwą nie była z pewnością w codziennem obcowaniu. Jako indywidualność nieprzeciętna za dużo zajmowała miejsca i za mało go innym zostawiała obok siebie. Ale serce miała gorące, otwarte dla wszelkiej biedy i nędzy oraz ludzkiej potrzeby, a czyniła dobrze tak, aby "prawica nie wiedziała co czyni lewica". Z dziwactw jej, ze śmieszności pokpiwali ludzie, ale mimowoli ulegali emanacji tej wysoko-górskiej, czystej atmosfery moralnej, która ją otaczała.- Pozostawiła po sobie, głęboki szacunek i cześć.

O dwóch starszych córkach Jakóba Z. jakoś się nic w pamięci mojej z opowiadań rodzinnych nie przechowało. Za to najmłodszej z rodzeństwa - Annie, należy się osobny rozdział, tak w galerji typów, jak i w "sztambuchu" moich osobistych wspomnień. Rówieśniczki nazywały ją Nisią. Dla rzeszy całej młodego pokolenia wnuków swoich i cudzych, była"Bunią". Nie pamiętam, aby kto do niej mówił "pani". Już sam ten szczegół wskazuje, jak daleką była od banalnego, przeciętnego typu starszej "kanapowej" damy, jak gorące musiało w niej bić serce!... Jakoż, tak było istotnie. Była to osoba, która całe swe życie, żyła tylko uczuciem : swojem, albo cudzem, prawdziwem, albo urojonem... Żona Wojciecha Skrzynec-

kiego, którego zgodnie z wymaganiami "dystynkcji" ówczesnych czasów nazywała "Albertem", była podobno zawsze brzydką, ale nie wątpiła nigdy, że się wszyscy w niej kochają... Jako młoda panna i młoda mężatka tryskała wesołością i życiem. Był to "kozak", jak u nas ten typ określano. Wdową została wcześnie. Z trzech córek, dwie już dorosłe straciła. Majątek, rodzinne Semiduby na Wołyniu, rozeszły się częściowo na powstanie, częściowo na "bezhołowie"/nieład/, oboje bowiem gospodarzami nie byli. Osiadła przy najmłodszej córce Marjuni, która wyszła za młodego i bardzo przystojnego doktora Władysława K. - Mieszkali w Bóbrce pod Lwowem i wkrótce skromny domek doktorostwa stał się ulubionym miejscem towarzyskich zebrań okolicy, a stosunki przyjaźni, które gospodarze nawiązali w tych latach, przetrwały próbę życia i do dzisiaj ciepłem wspomnienia i serdecznej życzliwości otaczają pokolenie zrodzone w owych czasach, gdy uważano bądź co bądź marjaż obywatelskiej córki z doktorem za "mezaljans"... Taki był jednak urok tego młodego małżeństwa i tej starej matki, że ludzie lgnęli do nich i dom ich zawsze pełny był po brzegi.

Moje wspomnienia sięgają już tych czasów, gdy po śmierci męża, tragicznie zmarłego na tyfus, którym się od chorego zaraził, ciotka Marjunia z trojgiem dzieci i Bunią przeniosła się z Bóbrki do Lwowa. Biednym, osieroconym kobietom zajrzała w oczy troska materjalna. Marjunia miała jakąś małą emeryturkę po mężu i dopomagała sobie trzymając stołowników, których nigdy nie brakło, karmiła bowiem doskonale, mając świetną kucharkę, sławną na całą rodzinę - Helenkę. Helenka, jako młoda dziewczyna przywędrowała z temi paniami do Małopolski i już u nich pozostała. Wychodziła dwukrotnie za mąż i opłakiwała zgon mężów, którzy nie zostawili jej potomstwa, natomiast zarazili ją mocnym pociągiem do alkoholu. Od czasu do czasu wybuchała na tem tle awantura i Helenka wylatywała ze służby, aby po krótkim czasie wrócić skruszona i obiecująca poprawę. W gruncie rzeczy istnieć bez siebie nie mogły, panie i

sługa, która mimo swego nałogu dawno sługą być przestała i była najwierniejszym przyjacielem. Żyła jeszcze kilka lat temu i służyła w Krakowie u ostatniej z tej rodziny wnuczki Buni - Ani N.

Z tych lwowskich czasów pamiętam Bunię jako chudą, zasuszoną staruszkę, z cerą żółtą jak pergamin, w złotych okularach na nosie i wiecznym, nigdy nie skończonym szalem, który robiła na drutach. Siedziała w małym saloniku, przeładowanym gratami, na niskim fotelu z wysokim oparciem, zawsze uradowana, gdy przyszedł kto z gości, zawsze gotowa do gawędy i wspomnień. Znała mnóstwo ludzi, a zdawało się jej, że zna jeszcze więcej... Rozmowa np. była w tym rodzaju : "Wie Bunia, pan N.N...." - przerywała podniecona odrazu : "Brunet?" - "Nie, blondyn"- "To ten sam!" stwierdzała radośnie, zapominając, że przed sekundą chodziło jej o bruneta... Bawiły nas te słabostki staruszki i czasem naumyślnie prowokowaliśmy ją na tego bruneta czy blondyna... Jeszcze większą radość jej i nasza wynikała ze wspomnień kogoś ze współczesnych jej mężczyzn. Wtedy przymykała oczy, prawą ręką chwytała się za serce i przechylając głowę w tył, mówiła z przejęciem : "Szaleeenie się we mnie kochał!..."
Raz przyszedł do niej wuj Zygmunt Z. - kuzyn i "kontamporen". Bardzo wkrótce naprowadziła rozmowę na tematy osobiste : "Pamiętasz Zygmuncie, jakeś się we mnie szaleeenie kochał?..." Staruszek popatrzył na nią z pod oka i mruknął coś pod nosem, wyraźnie zaskoczony, a potem nachylił się do mnie i szepnął : "Szkaradna była zawsze!..." Można sobie wyobrazić jakeśmy się z tej hecy pomiędzy staruszkami cieszyli!
Kiedy się Buni opowiadało o kimś czy takiego, co wzbudzało jej uznanie, klaskała w ręce i wykrzykiwała radośnie : "Miljona wart!..." Powiedzenie to do niej przystało. W kole bliskich znajomych znana była, nie jako pani Skrzynecka, ale jako "Bunia miljona wart".

Powiedziałem na początku o Buni, że żyła tylko uczuciem : swojem lub cudzem, prawdziwem lub urojonem... Ciekawe było, jak ta

staruszka ożywiała się i młodniała poprostu w zetknięciu z każdą miłosną intrygą! Interesowało ją w życiu nadewszystko kto się komu podoba i co może z tego wyniknąć?... Układać marjaże, swatać, było jej pasją. Dla nas panienek miała w przepastnej kieszeni swojej czarnej, fałdowanej spódnicy talję kart i z przejęciem wykładała nam kabałę, w której stało, niezmiennie, że się ktoś w nas "szaleńczo kocha..."- Młodym ludziom również kładła kabałę, bo przychodzili do niej, a jakże, na gawędę, na zwierzenia, na "przepytki" jak nazywała dyplomatyczne badanie sytuacji... Nikt z młodych nie "wiał" od staruszki i nie unikał jej. Miała najwidoczniej w sobie jakąś siłę atrakcyjną, prawdopodobnie urok niespożytej młodości i wiary w miłość i szczęście mimo osobiste nieszczęścia i zawody... W tem skromnem, niemal ubogiem,mieszkanku nigdy nie dawała znać o sobie troska, zgryzota, niepewność o dzień jutrzejszy... Pogoda i humor, wesołość i werwa młodzieńcza, na przekór wszystkiemu! Wszelkie rodzące się sympatyjki między młodymi, wszelkie kiełkujące flirciki czuły się bezpiecznie w cieple opiekuńczych skrzydeł "Buni". Niejedna parka w owych czasach, zamiast sobie naznaczyć "randkę" w Parku Stryjskim lub na Wysokim Zamku, przychodziła po prostu do Buni... Siadali sobie tacy zakochani na niskich stołeczkach u stóp jej fotela, patrzyli sobie w oczy i szeptali czułe słówka, a ona przebierała drutami, zupełnie na nich nie zważając na pozór,tylko od czasu do czasu rzucając spojrzenie pełne ciepłego zrozumienia i sympatji... I jak tu było nie kochać takiej nadzwyczajnej staruszki?...

Z bratową swoją, panią Martyną Z. nie bardzo się zgadzały. O ile jedna była rygorystką, - o tyle druga była pobłażliwą. O ile jedna potrafiła całe życie doskonale administrować swoim majątkiem, - o tyle druga była przysłowiowym "świerszczykiem" z bajki, który "przespiewał całe lato"... Ale starość miała ciepłą, choć nie zasobną, prześwietloną przyjaźnią ludzką i miłością, któ-

rą sobie zdobyć umiała na ścieżkach swego "lekkomyślnego" pod względem materjalnym życia. Posiadała skarb, którego"rdza nie zje i złodziej nie wykradnie!"

Jedyna siostra Wilhelma 2. - Antonina wyszła za Skibniewskiego i dała początek licznemu rodowi zacnych i nieprzeciętnych ludzi, którzy rozrodzili się i gęsto rozsiedli na Podolu, gospodarując na dużych, pięknych, doskonale administrowanych majątkach.
Najbliżej Widawy osiadły był Mścisław, ożeniony z królewianką, panną Rogozińską. - Jako dziecko widziałam go kilka razy. Był wtedy już starcem, ze wspaniałą białą brodą, która mnie niesłychanie imponowała. W całej jego postawie malowała się niesłychana godność i powaga. "Koroniarską" modą, kazał się służbie tytułować "dziedzicem".
Mówiono o nim często, że ma szczęście do interesów. Odpowiadał na to : "Swoje szczęście odstąpię każdemu, tylko swojej głowy - nie!" Miał też zwyczaj dawać odchodzącym sługom i oficjalistom jednakowo brzmiące "świadectwa".- "Taki, a taki służył u mnie tyle i tyle... /Nazwiska i daty/" I końcowa formuła : "Weź go,będziesz kontent". Formuła ta, na piśmie, pozbawiona intonacji była mocno dwuznaczna!

Dom jego i całą rodzinę pomawiano o "chłopomaństwo". Istotnie, przybyła z Królestwa żona jego, wcześniej od innych pań rozpoczęła na Kresach robotę oświatową i społeczną, a właściwie zastosowała czynnie zbliżenie wsi do dworu. Ze względu na rozgraniczenie tych dwóch światów, które u nas istniało głównie na podłożu religji i wynikającego stąd pojęcia "polski i ruski", była w swoim rodzaju pionierką. Nigdy, nawet w czasach pańszczyźnianych, które wszak pamiętała jeszcze i o których opowiadała mi babunia, nie słyszało się u nas o pomiataniu i pogardliwem traktowaniu ludzi... Ale w Wołkowcach, lud ten wyniesiony był na piedestał... We wszystkich prawie dworach kresowych były stare mamki i niańki, które wykołysały całe pokolenia... Chodziło się do nich na pogawędki i bardzo kochało.

W Wołkowcach, na biurku każdego z dorosłej młodzieży stała fotografja starej jego niani w białym czepeczku... Póki żyła całowali ją w rękę z największym szacunkiem : panienki i chłopcy dorośli. Było to bez zaprzeczenia bardzo ładne, ale... nie odpowiadało charakterowi ruzińskiego ludu!... Nigdzie pogromy nie były takie straszne, jak w tych zdemokratyzowanych dobrach Skibniewskich... Właśnie z pośród tej rodziny największa liczba członków padła ofiarą "zemsty ludu"... Nie opłaciło się "chłopomaństwo", na które tak w swoi czasie obruszała się okolica!...

Opowiadano, że panienki w Wołkowcach do lat 18-tu chodziły w domu boso, a jako zajęcie i rozrywkę traktowały lepienie z dziewczętami z piekarni glinianych kurników... Dorosło potem całe to pokolenie : 4 synów i 2 córki. - Jedna z nich mówiła mi kiedyś : "Wychowanie... to ma do pewnego stopnia wpływ... ale tylko do pewnego... Zdaje się, że jednak najmocniejszym czynnikiem w człowieku jest atawizm. Wiesz, jak byłyśmy wychowywane... bielone ściany we dworze i proste, sosnowe sprzęty... Wszyscy lubimy antyki, mahonie, piękne nakrycia stołu, cienką porcelanę... My obie z siostrą ubieramy się u Hersego..."

To było przed wojną. Może po rozgromieniu dworu i zniszczeniu dostatniego bytu, łatwiej im było przystosować się do trudnych warunków współczesnych. Ale nie zauważyłam, aby byli wybitnie dzielniejsi od innych Kresowców, tych, których chłopomaństwo nie dotykało, wówczas, gdy siedzieli w swoich białych dworach, otulonych w zieleń starych parków i w tradycję długich lat szlacheckiej przeszłości!

Jako rolnicy byli Skibniewscy gospodarzami postępowymi. Oni pierwsi zaczęli na Podolu używać nawozów sztucznych, skomplikowanych narzędzi, oni zaprowadzili rasowe bydło w oborach swoich i racjonalny przerób nabiału. Właściwie ziemia kresowa podlegała od

szeregu lat rabunkowej gospodarce. Wierzono w jej niewyczerpane bogactwo, w zasobność czarnoziemnych pokładów, i nie kwapiono się bynajmniej z zastosowaniem nowszych zdobyczy naukowych w zakresie hodowli i rolnictwa. Doskonale jeszcze pamiętam w Widawie "trzypolówkę"; cały obszar majątku podzielony na trzy równe części : na jednej oziminy, na drugiej jarzyny, w tym dużo buraków, trochę jęczmienia, więcej owsa, minimalna ilość kartofli; wreszcie trzecia część leżąca odłogiem. Był to ugór, na którym pasło się bydło wiejskie i dworskie w przykładnej zgodzie, ponieważ o regulowaniu serwitutów nie było jeszcze mowy.

Najstarszy syn mojej babki - Karol, który ukończył Instytut Rolniczy w Puławach, przez dłuższy czas staczał z matką formalne walki, zanim ją i starego Rybińskiego namówił na 7-mio polowy płodozmian! Głównym argumentem "contra" było to, że krów nie będzie gdzie paść... Ostatecznie pozostawiono dla nich kilkanaście morgów z pod wyrąbanego już dawniej lasu, tak zwaną "Ossjańską Górę", gdzie wypędzano je o 6-tej rano i skąd wracały dopiero na dój wieczorny. Dostawały wtedy w lecie trawę z ogrodu, koszoną przez"stróża" z piekarni, a noszoną przez dziewczęta w ogromnych "weretach" /płachtach płóciennych/. Na jesieni dawano liście buraczane, a w zimie wytłoki. O ilość mleka nikt nie dbał specjalnie i tak na dwór zawsze wystarczało, a o sprzedawanie nie chodziło. Całe też lato trzymano bydło w nocy nie w budynku, ale w dużej zagrodzie, zwanej "oborą"/podczas gdy budynek nosił nazwę "krowiarni"/. W zagrodzie tej słano pod krowy słomę i stamtąd wywożono nawóz. Był on naturalnie pośledniejszego gatunku, wypłukany przez deszcze, ale na tym też tak bardzo nie zależało; ziemia i tak rodziła... Opowiadano, że w niektórych okolicach, np. na Pobereżu, nawozić wogóle nie było można, gdyż wówczas pszenica była zbyt bujna i wylegała. Ładowano więc gnój na fury i zrzucano z wysokiego brzegu do Dniestru!

Ale lata biegły, bogata gleba wyczerpywała się i w ostatnich czasach przed wojną postępowe, racjonalnie postawione, gospodarstwa, przestawały być u nas rzadkością.

Bożek Eros na swoim kwiecistym rydwanie odwiedzał po wsze czasy sadyby kresowe, tak jak wszystkie inne na całym świecie, bowiem zasięg jego władania jest nadewszystko szeroki. Ale nam młodym, mającym z nim swoje sprawki i konszachty tajne, trudno było uwierzyć, aby te poważne matrony, w mantylach i robronach, władające dziś naszą rozhukaną młodością, miały również kiedyś do czynienia z kołczanem pełnym złotych strzał... Niechętnie /z wyjątkiem jednej Buni Skrzyneckiej/ mówiły starsze panie o bożku skrzydlatym, jak gdyby nigdy nic nie było... Jedno mogłyśmy zaobserwować : wdowy rzadko po raz wtóry za mąż wychodziły, dochowując wiary poza grobem i poświęcając się dzieciom całkowicie. Nieliczne od tej reguły bywały wyjątki, a jeśli bywały, - to bardzo romantyczne.
Babunię nieraz wyciągałam na opowiastki o tym, jak to dawniej bywało. Ze ściśniętym grozą sercem słuchałam historji tej 18-to letniej dziewczyny, której wybrany przez rodziców towarzysz życia o dwóch laskach szedł do ołtarza..."Była najlepszą żoną i mieli 7 synów zdrowych i dorodnych" - tak się kończyło opowiadanie. Innym razem słowa staruszki przenosiły moją wyobraźnię do pokoju panieńskiego, w którym młoda mężatka zdejmuje suknię ślubną i welon z iluzji... Przedarła welon i powiedziała /naturalnie po francusku/ : "Ainsi s'en vont toutes mes illusions!"... I była również najlepszą żoną i również miała dzieci...

Wynikało z tych starych historji, że bożek Eros miał mało do powiedzenia w owych czasach, kiedy wola rodziców była prawem, a obowiązek świętą powinnością. I z wielką ulgą słuchało się potem, jak jednak czasem po długich latach tęsknoty przychodziło szczęście, co prawda na bardzo krótko, jak w tym znanym przypadku pp.L z Woło-

czysk.- Kochali się jako młodzi, ale postanowiono za nich inaczej. Ją wydano za mąż, on się ożenił.- Minęły lata. Oboje owdowieli.- Oboje mieli dzieci. Ona obie córki wydała za mąż, - i wtedy,wolna zupełnie tym razem, sięgnęła po swoje szczęście. Trwało ono 21 dni... Nagła śmierć ukochanego przez całe życie człowieka po raz drugi spowiła ją we wdowie welony. Pozostała przy pustym ognisku jako matka obcych dzieci... Może pozostała dlatego, że w tych dzieciach była cząstka jego i ona tę cząstkę w nich kochała!

Drugie, podobnie romantyczne zdarzenie, było pogodne, jak jesienny wieczór bez chmurki. Taki sam początek : kochali się. On i ona. Tylko on nie ożenił się wcale. Walczył w powstaniu, sprawie Ojczyzny oddał najpiękniejsze swe lata. I nie widywał nigdy tej, którą wbrew jej woli skuto małżeńskim łańcuchem z możnym, bogatym panem. Minęła młodość. Już pomiędzy kruczą gęstwiną niejeden włos siwy się przewija... Twarz delikatną, prześliczną pokryła sieć zmarszczek. Przygasły cudne oczy, co tyle łez wylały w nieszczęśliwym, niedobranym związku... Już i córkę jedynaczkę wydała za mąż, już troje wnucząt do kolan jej się tuli, gdy staje na ślubnym kobiercu z umiłowanym swoich lat dziewczęcych! U boku jej biała jak gołąb głowa... Dwoje romantycznych staruszków... Idylla ich życia, raczej zachodu tego życia, to było coś tak prześlicznego, pełnego poezji, że doprawdy można było mieć wdzięczność do nich za to, że potrafili tę cudowną miłość wcielić w rzeczywistość, i nam młodym dali tę rzeczywistość oglądać!

Przeżyli ze sobą lat kilkanaście w niezmąconej zgodzie i szczęściu, on odszedł pierwszy, ona za nim w lat parę. Trudno mi wyobrazić sobie, jak te lata bez niego przeżyła, jak je przeżyć potrafiła!... Ale kobiety tego pokolenia miały wiarę niezłomną i żywą - i to było ich siłą.

Kresowiacy bawili się hucznie i buńczucznie. Bawili się u siebie, w swoich pałacach i dworach ogromnych, mogących licznych gości pomieścić. Bawili się na sławnych kontraktach kijowskich, na niemniej sławnych jarmarkach jarmolinieckich. Bawili się podczas karnawału we Lwowie i w Warszawie.- Gdziekolwiek to było, wnosili ze sobą ochotę i pański gest. Lubili i umieli wydawać pieniądze. Nie było w tem blagi, ani chęci pokazania się, zaimponowania, jak to nieraz sądzono w Królestwie... Rozrzutność kresowca i hojność pochodziła z nadmiaru /w danej chwili/ pieniędzy w kieszeni, z nadmiaru temperamentu i życia. Gdy na wsi, na balu młodzież się rozhulała, to nieraz banknoty rzucała muzyce! : "Herszku! graj!..."
I Herszko grał.- Była to sławna przez długie lata kapela żydowska, złożona z muzykantów rzeczywiście bardzo utalentowanych, przez wymagania paniczów-wodzirejów podciągnięta na wysoki, prawdziwie artystyczny poziom. Czy dlatego, że byłam młodą i nogi same rwały się do tańca, ale mi się zdaje, że już nigdy żadna muzyka tak na sali balowej nie zagra, jak grał Herszko i jego kapela!- Sławny był też w szerokim zasięgu Kresów i jeździł w najodleglejsze okolice, zamawiany i rozrywany. Bo wiadomo było, że gdzie Herszko będzie, tam zabawa udać się musi, zwłaszcza jeżeli Witold Z. poprowadzi tańce. Wodzirej urodzony, pan całą gębą, elegancki, w cudownie skrojonym fraku od najlepszego krawca, otwierał bal z panną domową i przez całą noc nie spoczął, niewyczerpany w pomysłach coraz to nowych i coraz ładniejszych figur w mazurze i kotyljonie. Rozwijał się korowód strojnych par, skręcały się i rozkręcały skombinowane sploty do taktu straussowskiej melodji... To znów, na zmianę, sztywny, dystyngowany kotyljon, zapisany u panien w karnecie, ukłony i rozmowa... A potem mazur!- Hej! dzia,dzia!... Płyną pary, zda się ziemi nie dotykają wcale, tyle życia w każdym ruchu i taka lekkość subtelna!- Co to był za taniec!... i jacy tancerze!
Nad ranem, rozochocony, urodziwy nad miarę, stawał Alfred Z. do ko-

zaka - naprzeciw niego "drobiła" przepisowe kroczki, ze skromnie spuszczonymi oczami - jak przystoi prawdziwej "mołodyci" - Terenia Z, rodem z Ukrainy. Kozaka miała we krwi, bo ją ta melodja na szerokim, rodzinnym stepie wykołysała... "Kozaka dla pana Ż! - wołano - "Dalej Herszku! Graj!"... I Herszko grał... Brawo!... brawo!. Echa rzęsistych oklasków niosły się przez otwarte okna w pachnącą letnią noc... Brawo! brawo!...Bis!...

To działo się w nowszych, moich już czasach, ale i wtedy obowiązywała ta sama etykieta i etyka zabawy. Tak samo na rozłożystych kanapach, wzdłuż ścian, siedziały mamy i babki, śledząc z zajęciem tańce młodych i czuwając aby wszystko odbywało się "comme il faut". Tak samo wtedy, każdy młody człowiek obowiązany był z każdą obecną panienką przynajmniej raz zatańczyć. Nie wolno było pominąć żadnej, bo to było uważane za impertynencję. Tak samo jak dawniej, nie wolno było specjalnie wyróżniać panny i usilnie jej asystować, jeżeli się nie miało względem niej poważniejszych zamiarów. Nazajutrz po balu ojciec lub brat "wyróżnionej" miał prawo młodego człowieka zapytać : "Jakie są pana projekty?"... Więc każdy się pilnował i nie awansował się bez przyczyny.- Tańczono walca, polkę, kontredansa z galopem w ostatniej figurze /galop w baczkach, przez dziadzię zwany "galopadą"/, bo w nim można było wyładować nadmiar życia bez uchybienia dystynkcji. Przecież bez zgorszenia wspominano zdarzenie, gdy prowadzący tańce młodzieniec wypadł przez otwarte drzwi do ogrodu z wyrwaną futryną na plecach!- Taka bywała ochota!

Był jeden dwór na Podolu, gdzie panienka domowa /rówieśnica mojej matki, więc lata 70-te/ nie tańczyła inaczej, tylko w "szufladkę", to znaczy, że danserowi nie wolno było objąć jej w pół, tylko musieli trzymać się w tańcu za skrzyżowane ręce... W anegdocie przetrwało jej powiedzenie : "Je ne valse pas, je ne polque pas, qu'avec papa"... Ale też matka jej była,nawet na ówczesne czasy,

niebywałą rygorystką, a zakazy jej i ograniczenia wywoływały krytykę jednych, ogólną wesołość drugich.

Bezpośrednim skutkiem balu były nieraz "konkury".- Poznało się dwoje młodych, oboje nawet często z Kresów, ale ze stron odległych - panna się młodemu człowiekowi podobała, więc najprzód przez osoby trzecie dyplomatyczne wybadanie, czy młody człowiek miałby "szanse"?... i jeżeli tak, jeżeli rodzice nic nie mieli przeciw temu - prośba o pozwolenie "starania się".
Mój pierwszy"konkurent" też jeszcze prosił o pozwolenie, a przecież to już były lata 900-tne. Wkrótce jednak potem zwyczaj ten upadł zupełnie, wszystko się uprościło, rodzice stracili przemożny głos w decyzji o losie córek... Nastały "nowe czasy".

Bale na Kresach odbywały się dawniej często i przy różnych okazjach : imieniny, zaręczyny, rocznica ślubu... Korzystano ze sposobności, żeby się zjechać i zabawić. Podczas jarmarków jarmolinieckich, o których powiem osobno, otwierał swe salony pałac hrabiów Orłowskich, gdzie gromadziła się śmietanka kresowego towarzystwa. - Bywały śliczne bale w Łysowodach, w Wodyczkach, w Wolicy i w Bębnówce. Tam młodsza córka, wyjątkowo piękna panna Marta, zbierała liczne hołdy. Starsza Paulina była również bardzo przystojna : blondynka z czarnymi oczami, pełna wrodzonego wdzięku. Matka zachwycała się niemi głośno i - nie bez pewnej złośliwości - powtarzano sobie powiedzenie, z którymi stale wyrywała się przy gościach : "Martochon! que tu es belle!... Elle est délicieuse, Paule!..." - Pan Jan J., ojciec tych panien, słynął z dowcipu i ciętego języka. - W albumie mojej matki, której był kuzynem, była żądnie wymalowana przez niego gałązka moreli w kwiecie. Jak mi opowiadał mój wuj Franciszek, pod spodem napisał : "C'est la fleur du pêché, gardez vous ma cousine d'y toucher!/Ale cenzura starszych uznała ten dwuznaczny wierszyk za niestosowny i musiał w rezultacie z albumu panienki zniknąć, zachowując się w tradycji ustnej, mniej

na to widocznie surowej!

Pani Jadwiga J. była jedną z najbardziej inteligentnych i zajmujących w towarzystwie osób. Artystycznie uzdolniona, nie zaniedbywała malarstwa, w którym się kiedyś kształciła. Miała w ogrodzie pracownię i nietylko sama w niej spędzała niejedną godzinę z pędzlem w ręku, ale uczyła rysować i malować wiejskich chłopców, u których zauważyła lub wykryła talent. Jednego takiego pupila wysłała na swój koszt do Odessy, do szkoły malarskiej, potem dopomogła mu do wyjazdu zagranicę. Chłopak okazał się naprawdę utalentowany i wybił się. Osiadł w Paryżu i pani J. pokazywała mi kiedyś w jednem z pism francuskich pochlebną o nim wzmiankę. Pisano o nim "Monsieur Lipicache", - a był to sobie zwykły Lipikasza z kresowej chłopskiej chaty w Bębnówce.- Założyła także w Bębnówce warsztat mebli koszykarskich, skąd zaczęły się rozchodzić po całej okolicy meble gięte, ogrodowe, na śliczne, jaskrawe kolory malowane.

Czasem bal wydawano dla uczczenia córki, która dorosła i pierwszą długą suknię dostała. Bo wówczas długa do ziemi suknia była symbolem dojrzałości : dawała wstęp na bale prawdziwe, prawo do miłości i zamążpójścia!... O tej pierwszej długiej sukni marzyło się skrycie, tej pierwszej długiej sukni winszowali starsi, a zazdrościły młodsze panienki... Dotąd pamiętam moją pierwszą długą suknię - niebieską płócienną - i życzenia z tej okazji pamiętam z ust pani Haliny Ż. w Oleszkowcach : "Panno Wando, winszuję pani długiej sukni!" - Zarumieniłam się wówczas z radości i podniecenia, bo przecież ta długa suknia wyważała przed każdą z nas bramę na świat szeroki i dopiero kiedy się ją włożyło, rozpoczynało się życie. Przedtem było się "podlotkiem". Nie wolno włosów upinać, grzywki fryzować, nie wolno siedzieć w salonie z gośćmi, nie wolno odzywać się niepytanej... O! mnóstwo ograniczeń znosiła długa suknia!... Więc też śniło się o niej, choć była taka niewygodna, choć brudzi-

ła się w dole, dotykając ziemi, choć gniotła się, gdy trzeba ją było do góry unieść, tym ruchem specjalnym, w którym celowały kobiety z natury szykowne, którego nigdy nie mogły się nauczyć te inne,- pomimo starań usilnych! - Dorosła panna miała również szereg ograniczeń, które dopiero małżeństwo znosiło : nie całowano jej w rękę /chyba jakiś kuzyn, no i narzeczony/, nie nosiła pierścionków /tylko zaręczynowy/, piór strusich, sukien jedwabnych, czarnego koloru /o ile nie była w żałobie/. Życie kobiety dzięki temu dzieliło się na kilka epok, z których każda miała swoje przywileje... Było to jakby"dawkowanie"przyjemności, miast pełną jej czaszę wychylić jednym haustem. Zdaje się, że dzięki temu zachowywały-my dłużej zdolność cieszenia się byle czem... i dłużej były-my młode!

Ale powracam jeszcze do bali.- Opowiadano mi zabawną anegdotkę. Pewien obywatel, który miał 4 córki, zaprasza sąsiada na bal. "A to z jakiej okazji?" - pyta zaproszony. "Z okazji wywiezienia z domu ostatniej guwernantki!"... Nauczycielki, po części francuzki, dokuczyły mocno w niejednym domu! a ten biedak, mając 4 córki użył widocznie wyjątkowo, kiedy aż bal wydawał z radości!

U jednych z obywateli na Podolu właśnie huczną zabawą uczczono pierwszą długą suknię drugiej z rzędu córki. Ponieważ przed takiem wstąpieniem w świat panienkę starano się jaknajmniej pokazywać, trzymając się metody ciotki Telimeny. - więc też nikt z młodzieży nie znał tej 17-to letniej, świeżej jak kwiat dziewczyny. Panicze młodzi formalnie potracili głowy, wszyscy wrócili z balu w Kazimirku zakochani! A w dwa tygodnie później, tragedja straszna : wujostwo panienki, pragnąc jej zrobić przyjemność na imieniny, 26-go lipca zapowiedzieli również bal. Mieszkali na Wołyniu, trzeba było jechać końmi z górą 40 wiorst. Hanka czuła się dziwnie nieswoja, znużona, osłabiona... Prosiła matkę, żeby zostać w domu.- "Niepodobieństwo! Bal specjalnie dla ciebie"... Pojechała.- Zemdlała w pierwszym walcu. Wyniesiono ją z salonu i wnet pojęto, że to już agonja!... Więc

150

umilkła kapela balowa, a ozwał się dzwonek.... Przyjechał ksiądz z Panem Bogiem... W godzinę potem nie żyła!... Umarła ślicznа Hanka, zaledwie na progu życia stanąwszy, rozstała się ze światem... Wszyscy uczestnicy tego tragicznego balu przez dłuższy czas nie mogli się otrząsnąć ze strasznego wrażenia.

Wprowadzanie córki w świat, bywanie z nią, - to było ważne zadanie, do którego matki przywiązywały wielką wagę i które traktowały jako obowiązek. Był to rzeczywiście jedyny wówczas sposób wydania panienki za mąż. Należało jej dać sposobność poznania ludzi i spotkania tego, który był jej przeznaczony. Starsi chętnie zabawiali się w swaty, projektowali, układali małżeństwa, które czasem dochodziły do skutku, a częściej nie... Byli i tacy, którzy dla zupełnie obcych sobie urządzali przyjęcia, bo lubili patrzeć jak się młodzież bawi i tańczy, a mając duży dom i odpowiednie środki i warunki uważali sobie to poniekąd za obowiązek.

Do takich należeli księstwo Czetwertyńscy z Ubarowa na Podolu, w powiecie winnickim. Byli to starsi, bezdzietni ludzie. Zwykle raz do roku spotykało się ich w Ostapkowcach, gdzie przyjeżdżali z wizytą, książę grał na ogromnej trąbie, księżna akompaniowała mu na fortepianie. Trzeba było wysłuchiwać tego rzępolenia, chwalić i dziękować. Księżna była przez męża zahukana i na ten temat skomponowano zapewne anegdotę, którą sobie ze śmiechem powtarzano. Podobno, gdy księstwo mieli gdzieś nocować, to książe, znalazłszy się w gościnnym pokoju badał łóżka i przeznaczywszy dla siebie z góry to, które uważał za wygodniejsze, zwracał się do żony i mówił ze współczuciem : "Ma pauvre Ernestine! comme tu seras mal couchée!..." Raz do roku, zwykle wczesną jesienią, wydawali u siebie śliczny bal, na który spraszali mnóstwo osób. Chyba wszystkie panny z pewnej epoki przeszły przez Ubarów!... Nie pamiętam jednak, aby się jakie małżeństwo tam ułożyło. Wtedy, tak jak i dziś, Los poczynał sobie

do-é kapry-nie i czasem z dalekich stron pojawiał się Królewicz... O piękną Martę J. starał się baron Ram-z Kurlandji Opowiadano sobie, że początkowo ojciec panienki nucił półgłosem : "Ram tam, tam,... potem zaś, gdy wizyty konkurenta stawały się coraz częstsze, "Ram tu tu, Ram tu,tu..." Było to tak w jego stylu, że prawie wierzę w autentyczność tej anegdotki! Do małżeństwa jednak nie przyszło i kto inny był panience przeznaczony.

Z biegiem czasu huczne zabawy na wsi stawały się coraz rzadsze. Wyjeżdżano zimą zagranicę, wyjeżdżano na karnawał do Warszawy i do Lwowa. Miasto zaczęło wywierać swój zgubny wpływ na dom... centralny punkt rodzinnego i zbiorowego życia. Ludziom coraz mniej chciało się sprawiać sobie kłopot licznymi przyjęciami. Przytem i wymagania wzrosły. Goście pragnęli komfortu, młodzież zapomniała jak to niegdyś doskonale sypiało się w stodole na sianie!... panie zapragnęły osobnych pokoi... Już nie można było umieszczać gości jak się dało i liczyć na ich wyrozumiałość! Opowiadano sobie kpiąc historyjkę z dawnych lat, kiedy to jakiś dom był taki przepełniony, że dzielono pokoje kredą na dwie połowy, mówiąc : "Tu ksiądz biskup, a tu pani Podkomorzyna!...."

W ostatnich kilkunastu latach przed I Wojną, bawiono się na Podolu nie mniej ochoczo, tylko już na mniejszą skalę. Tańce poprzedzała zwykle jakaś impreza : majówka, kulig,konny, spacer lub polowanie. Wynikały one same z siebie, gdy się wieczorem młode towarzystwo zjechało. I "mamy" zaczęły znikać z kanap... Fakt ten uwiecznił humorystyczny toast na jednej z takich czysto młodzieńczych zabaw : "By z tych wszystkich zabaw nie wynikło plotek

Wypada nam wznieść zdrowie okolicznych cioteк!...."

W urządzaniu majówek celował jeden z dworów okolicznych, gdzie było 4 dorosłych synów, nie licząc, zawsze na każde zawołanie gotowych, kuzynów... Mając taki miejscowy "kontygent" do tańca, można było śmi

ło zapraszać gości!

W sąsiednim majątku żyła długie lata babunia, na której imieniny, 22-go listopada, tańczono zawsze do rana. 80-cio letnia staruszka nie kładła się, tylko w swoim białym, koronkowym czepeczku, przyozdobionym na uroczyste okazje fioletową kokardą, siedziała całą noc na kanapie, patrząc jak młodzi tańczą i ciesząc się ich zabawą. Gdy umarła, brakowało nam przez lata całe tych tradycyjnych "wieczorynek" na św Cecylję, na której - jak mawiali panicze - kolacja była zawsze "jubbo", a stoły dla młodzieży na folwarku nie rzadko nakrywano prześcieradłami w zastępstwie obrusów, których zabrakło. Uważano to za "shoking", ale przechodzono do porządku dziennego wobec ogólnego poważania i sympatji, jaką cieszył się dom staruszki, zwłaszcza wobec tego, że w całej tej rodzinie panował zawsze rozkoszny "bałaganik", nieporządek i sławne muchy!... Te muchy były przysłowiowe. Zupełnie sobie dziś nie umiem wytłumaczyć, co powodowało takie ich ilości! Dom był dość obszerny, kuchnia, jak wszędzie na Kresach, w drugim budynku, ponieważ rodzina była bardzo liczna, więc w pokoju jadalnym ogrompy stół - zawsze na wszystkie deski rozciągnięty - gromadził dokoła siebie, na codzień, po 20 z górą osób. Zasiadało się do herbaty. Obok każdego nakrycia oganiaczki do much z ciętych, kolorowych papierów przytwierdzonych do kijka.... Pan domu, starszy, poważny szlachcic, niesłychanie zrównoważony i spokojny opowiadał, z kostycznym uśmiechem, jak kiedyś w dobie rewolucyjnych fermentów, podniecających młodzież i gorętsze umysły /rok 1905-ty/, oznajmiono mu w czasie herbaty, że przyjechał "stanowy" w interesie. Wstał od stołu i z czerwoną oganiaczką w ręku wyszedł do oczekującego w kancelarji stróża ładu społecznego. Ten formalnie zdębiał.... Pan Ż. wymachujący prowokacyjnie czerwoną flagą... Podobno wyjąkał tylko te słowa : "I wy toże?"../i pan także/ Qui-pro-quo wyjaśniło się i było dużo śmiechu z tej historji, u źródła której były muchy....

Pani Ż. była osobą bardzo wykształconą i inteligentną, Dużo czytała, zajmowała się też w okolicy biblioteką ruchomą, mówiła

zato mało i jakby z trudnością. Może,podtrzymując obowiązkową rozmowę w salonie i"bawiąc" gości, myślami była gdzie indziej, dość, że do elokwentnych nie należała! Starsza jej córka była zaręczoną z kuzynem i konkury te trwały lata. Nikt w okolicy nie mógł zrozumieć dlaczego tak zwlekają ze ślubem. Wreszcie ustalono datę : na lipiec. Po pewnym czasie dowiadujemy się, że termin znowu odłożony. Przy spotkaniu babunia nie wytrzymała i zainterpelowała panią Z. : "Dlaczego ślub panny Ewy jest opóźniony?" - i usłyszała odpowiedź : "Z powodu much!" - Istotnie, powód ten był poważny. Trudno było sobie wyobrazić urządzenie większego przyjęcia i uczty weselnej w tym sezonie, gdy skrzydlate, brzęczące roje obsiadały momentalnie każdy wnoszony półmisek, topiły się w zupie i właziły do ust przy konwersacji!... Więc racja była - ale humorystyczna.

Siedząc przy ogromnym stole w Żuczkowcach widziało się przez duże okno górzystą drogę po drugiej stronie stawu. Często na tej drodze ukazywał się zakurzony "kocz"/powóz/, czwórka bałagulska w poręcz zaprzężona, głośne "bałsbany", a w chwilę potem rozsuwaliśmy krzesła, bo do pokoju wchodziły siostra pana domu z córkami i synem. Brunetka, małego wzrostu, zawsze uśmiechnięta, energiczna i pogodna - mimo,że jej życie nie oszczędziło... Męża straciła, po śmierci jego okazało się, że z majątku jego nic nie zostało. Z ogromnego dworu i dostatków przenieść się trzeba było do małej wioski, którą jej brat wydzielił i gdzie zamieszkała, wychowując dzieci i borykając się często z niedostatkiem.

Niewielki dom, pod wysokim i spadzistym dachem, krytym słomą, niskie, szerokie okna półkratowane w małe szyby, pod oknami pachnące rabaty, wewnątrz pokoje przepełnione antykami, przywiezionymi z "tamtego" dworu; niesłychany ład, porządek i czystość. Dzieci chowane arcy-skromnie, sukienki w domu szyte, żadnych zbytków, żadnych zachcianek Ograniczenie wymagań do minimum - i wielka kultura wewnętrzna.

Nazwisko i koligacje doskonałe, ale leciutkie, pogardliwe wzruszenie ramion w stronę tych rzeczy, rekwizytów odchodzącej w dal przeszłości... Tylko ogromne poczucie godności osobistej i odpowiedzialności życiowej - oto co dzieci te wyniosły z pod skrzydeł matki. Po ojcu pochodziły z rodu, w którym nie było "ludzi przeciętnych". Na dobrą czy na złą stronę... Mianowano ich "oryginałami".

To młode pokolenie, o którym mówię, nie poszło również utartą ścieżką.- Chłopcy wcześnie stanęli do"roboty" w organizacjach wolnościowych, młodsza córka wyrwała się na uniwersytet - jedna z pierwszych Podolanek na wyższej uczelni.- Starsza pozostała przy matce, ale i ona światopoglądem i zapatrywaniami wybiegła daleko poza ramy ówczesnem życiem zakreślone. Była"postępową" w stosunku do podwładnych i służby. Nie protekcjna, macierzyńska, opiekuńcza, ale koleżeńska i siostrzana... Oczywiście zetknięcie się ze światem myśli i pracy młodszego brata /bo starszy wcześnie odbił się od rodziny i z najbliższymi poróżnił/, miało przemożny wpływ na dziewczęta.- Ten syn młodszy, przez matkę ukochany, związał się w Odessie pracą partyjną i miłością ze studentką komunistką i kiedy ją na Sybir zesłano, podążył za nią. Matka go nie powstrzymywała. Owszem - pobłogosławiła na drogę... Uważała, że ma obowiązki względem tej dziewczyny - Polki tak jak on... Ożenił się z nią w parę lat potem, ale do kraju już nigdy nie wrócił, niepodległej Ojczyzny nie ujrzał. Umarł w Rosji na tyfus.- Matka go przeżyła; przeżyła również młodszą córkę, która umarła jako młoda wdowa, pozostawiając dwie małe córeczki. Dziejami tej rodziny wkraczam w trudne, powojenne czasy, nie objęte tą książką. Ale chodzi mi o wykazanie, co znaczy hart kresowy.

Starsza córka zabrała matkę i sierotki do siebie. Była żoną profesora matematyki w szkole średniej - uposażenie nader skromne. Skromniejsze jeszcze mieszkanie dwupokojowe w proletarjackiej dzielnicy. Staruszkę matkę trzeba było otoczyć opieką, której z każdym

dniem więcej potrzebowała; dziewczynki nakarmić, ubrać i wykształcić. Młodsza była chorowita, obie bardzo trudne w prowadzeniu. Niepospolity był hart tej kobiety, która nietylko w tych warunkach i z temi obowiązkami umiała dać radę, ale zachowała zawsze beztroską pogodę ducha i radość życia, którą wprost promieniała. Podołała wszystkiemu i wszystko doprowadziła do pożądanego końca. Obie panienki skończyły szkołę średnią, starsza wydział prawny, młodsza medycynę. W międzyczasie wyszły za mąż, za pożądnych i solidnych ludzi, mają byt zapewniony i fach własny w ręku. Toż to bajka! Toż to bohaterstwo!... Cudze dzieci tak wychować i tak nimi pokierować w dobie, gdy ludzie mówią, że im własnych mieć nie wolno, bo ich na to "nie stać"... I wśród tych zmagań z życiem codziennem, wśród tej nieprawdopodobnej ekwilibrystyki budżetowej, przeżyła ta kobieta najstraszniejszą tragedję : straciła ukochanego męża w nieszczęśliwym wypadku tramwajowym!... Została wówczas zupełnie sama, bo staruszka matka nie mogła już być dla niej oparciem, a dziewczynki były niedorosłe. Ale się nie załamała. Nie ugięła się pod ciężarem. Uważała, że jej nie wolno!

Dziś mieszka sama w tym samym mieszkanku. Na ścianie fotografja ojczystego domu i druga, domku pod strzechą, gdzie się żyć nauczyła, "Zawsze lubiłam życie proste" - mówiła mi nieraz. "Siennik na łóżku, obrus z grubego płótna na stole, gliniany dzbanek, najprostsze potrawy..." - Nigdy nie jeździ tramwajem, nie mówiąc już o taksówce...Z Woli na Żolibórz, albo na Pragę piechotą - to dla niej jest spacer!... Wstaje o 5-tej rano zimą i latem. Zimą, kiedy miasto jeszcze śpi, zapala lampę - wiosną i latem przy pierwszych promieniach słońca, siedząc w głębokim fotelu matki - czyta. Czyta bardzo dużo, rzeczy poważne, rzeczy najnowsze, interesuje się zagadnieniami z przeróżnych dziedzin, chodzi na odczyty, należy do Koła Wiedzy Religijnej i głęboko, gruntownie wmyśla się w te wszystkie sprawy. Utrzymała moc stosunków z przyjaciółmi swoimi i męża,

obraca się w środowisku wyjątkowo intelektualnym. Ludzie wysoko postawieni, nie omijają skromnego mieszkanka, skromnie, ach jakże skromnie! ubranej gospodyni! Kresowiacy odwiedzają ją z serdeczną zawsze radością, odnajdując w rozmowie z nią swoje najmilsze wspomnienia - w tym małym mieszkanku warszawskim, z oknami od podwórza... Promieniuje tu myśl i serce : jedno i drugie wyniesione z ziemi kresowej, rozbudzone przez matkę-kresowiankę, rozkwitłe na podłożu natury kresowej, oddziedziczone po przodkach.
Jest taka nieprzeciętna, taka inna, taka mądra życiowo, że ze czcią głęboką można przed nią schylić głowę, a słuchając jej prostych, zdrowych rad niejednego się nauczyć i pojąć, jak żyć należy!

Najbliższym sąsiedztwem Widawy była Bokijówka, która wraz z pr przyległymi Trytelnikami, stanowiła piękną, szlachecką fortunę pana Piotra Ż.

Już jako posunięty w latach kawaler objawił on naraz chęć żeniaczki. Dziad mój wystawał mu swą cioteczną siostrę, starszą już pannę, córkę Michała Grabowskiego, krytyka i literata, o którym wiadomo, że pierwszy poznał się na pięknie poematu "Marja" Malczewskiego. Zważywszy epokę, sfrancuziały gust, lekceważący stosunek do polskiej mowy i środowisko ziemiańskie, z którego się wywodził - należy przyznać, że był to dowód śmiałej i niezależnej myśli. Jakoż cały ten ród odznaczał się wybitną indywidualnością charakterów i niepospolitą inteligencją. Pan Michał, pogrążony w książkach po uszy, zaniedbywał gospodarstwo na ogromnych, czarnoziemnych polach swojej Aleksandrówki. Zamiast pilnować robót, wolał folgować fantazji i "z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody..." Tak słaby brał udział w otaczającem go życiu, że opowiadano o nim anegdotę, jak spotkawszy raz na dziedzińcu wiejską kobietę z dzieckiem na ręku zapytał : " A czyja to detyna?"/czyje to dziecko?/ "Wasze Pane" - odpowiedziała mamka.

157

Z tego to domu, z ruiny zaglądającej w oczy, z bezładu i z ogniska wielkiej umysłowej kultury, wziął sobie pan Piotr małżonkę. Opowiadał mi stary lokaj - Bazyli - że był w Bokijówce, gdy młoda para zjechała po ślubie. Pan Ż. pożyczał go sobie bowiem na przyjęcie żony. "Gdyby nie ja, nie wiem co by było!" - mówił staruszek. "Bo jak pani Ż. zobaczyła dom, brudny, zaniedbany, opuszczony, chciała zaraz wyjeżdżać!" - I najwyraźniej sobie przypisywał, że małżeństwo nie rozleciało się na wstępie... Jakoś męczyli się ze sobą lat kilkanaście, strasznie niedobrani; na świat przyszły kolejno trzy córeczki, majątek chylił się do upadku. Pan Piotr karygodnie zaniedbywał gospodarstwo, zaplątał się w długi lichwiarskie, ziemię rozdawał po kawałku wiejskim faworytom... Okradali go i oszukiwali go wszyscy. To też, gdy zamknął oczy, wdowie i dzieciom groziła po prostu nędza. Zaproszeni do Widawy dla rozpatrzenia interesów sąsiedzi, po krótkiej naradzie wydali wyrok : sprzedać Może pozostanie kilkanaście tysięcy na wychowanie dzieci.

Sprzedać?... A ziemia kresowa, ziemia świętość, ziemia dziedzictwo już wzięła jej duszę w swoje niepodzielne władanie... już uległa jej atrakcyjnej, wszechpotężnej mocy... już posłyszała w duszy twardy nakaz pokoleń : "trwać i wytrwać"!
Aleksandrówki rodzinnej już nie było... zaprzedać znów w ręce obce, w ręce wrogie - szmat ojcowizny?... Nie zachować go dla tych główek płowych, do kolan jej się tulących?...
Siedziała milcząca, z twardo zaciśniętemi ustami, z oczami suchemi, w których tliła gorączka. Z widawskiej kancelarji dawno wyszli sąsiedzi - doradcy, a z nimi opuścił jej ściany głos trzeźwego rozsądku. Został ból tak wielki, że zwolna, z każdą chwilą narastał w bohaterstwo... Kobieta łamała się ze sobą i porachunek czyniła swoich moralnych sił... Bo ta walka, do której się wyrywała, którą miała rozegrać o zagon ojczysty, wykraczała najzupełniej poza sfe-

rę ludzkich możliwości i sięgała w dziedziny wyższe, te, w których trzeźwy rozum nie ma nic do powiedzenia, gdzie rozstrzyga miłość do ziemi i płynące z niej niespożyte siły...

Patrzył na nią mój dziad, a znając ją dobrze, czytał w jej duszy. Długo milczał i ważył wszystko w tem milczeniu, ale tak wierzył w jej rozum, w jej wolę żelazną, że zdobył się wreszcie na decydujące słowa : "Maryniu! nie sprzedawaj! Spróbuj jeszcze! Ty poradzisz!"

Spróbowała - W lata całe potem, mówiła mi nieraz, że wszystko tej chwili i dziadkowi mojemu zawdzięcza.

Co się potem działo, jak walczyła, jak pracowała, o tem trudno nawet mieć pojęcie! Trzeba było przepędzić zgraję złodziei, wziąć się do uprawiania zaniedbanych pól, doprowadzić do porządku inwentarz i narzędzia, zdobyć zboże na zasiew i pieniądze na zapłacenie robotnika... Terminy, procenty, długi, korowód żydów, niegdyś uległych - teraz hardych i nieustępliwych... Od świtu do nocy na nogach, w polu, przy robotach, przy ważeniu i udstawianiu zboża. Albo na bryczce roztrajkotanej, dzwoniącej żelastwem, zaprzężonej w chude, wynędzniałe"chabety" trzęsła się 90 wiorst do Kamieńca, aby w bankach, w urzędach wyprosić prolongatę.... Lata całe potem panowie powtarzali z podziwem : "Spłaciła "perezakładnę"!"...

Nigdy dobrze nie rozumiałam,na czem polega ta "perezakładna", ale z zasłyszanych rozmów wywnioskowałam, że to było coś, czego nikt nigdy nie spłacił!.... A ona spłaciła. Spłaciła wszystkie długi co do ostatniego grosza, doprowadziła gospodarstwo do kwitnącego stanu - wtedy odnowiła dom, kupiła czwórkę koni i karetę i wydała bal Właśnie najstarsza córka dorosła.

Epoka jej walk i zmagań sięga w lata mego dzieciństwa. Nie miałem wówczas świadomości bohaterstwa, o które się ocierałam

Bywałam często w Bokijówce, gdzie długie lata było brudno i mieszał głodno. Dziewczynki biegały bose, zaniedbane, na stole chleb razowy - bieda.-Ale z najmłodszą Karynusią bawiłam się doskonale w ogromnym, cieniatym ogrodzie i dopiero po latach, gdy już dwór był doprowadzony do porządku, a życie postawione na przyzwoitej stopie, zdałam sobie sprawę z tego jak było przedtem i jaka jest ogromna różnica... I z tych już czasów dobrze pamiętam ciotkę Ż.

Otyła, w luźnych kaftanikach, swoistą modą uszytych, o gładko zaczesanych, siwiejących włosach, przedzielonych nad czołem, a z tyłu byłe jak zaplecionych w cienkie warkoczyki i spiętych niedbale paru szpilkami. Twarz okrągła, jowialna, trzęsący się w śmiechu podbródek. Siedziała w salonie, tuż przy drzwiach od przedpokoju i brudną talją kart układała wieczne pasjanse. Pogodna i gościnna - lubiła, gdy ją odwiedzano, ale specjalnie się dla gości nie wysilała, ani w przyjęciu, ani w rozmowie. A rozmowa z nią była niesłychanie ciekawa : coraz to się trafiała jakaś niebanalna uwaga, jakiś nieoczekiwany zwrot... oryginalny sąd... Lubiła brać ludzi i życie oraz różne zdarzenia na wesoło, humorystycznie. Otwarcie też okazywała swoje sympatje i antypatje. Uważano ją za nierówną i fantastkę. Mnie się zdaje, że była raczej leniwa /może zmęczona życiem?/ i że nie chciało się jej nałamywać. Postępowała więc w drobnych sprawach według nastroju chwili bieżącej. Była oczywiście "oryginałem", bo w tem starszem pokoleniu mało kto był przeciętny i banalny! Bogata natura kresowa produkowała jeden przy drugim "typy", więc i ona była "typem".

Pomimo dobrobytu, który ją na stare lata otoczył, który sobie własną, nadludzką pracą i wysiłkiem zdobyła - nie zmieniła osobiście trybu życia. Jedzenie najprostsze, pokój urządzony po spartańsku. Siennik na łóżku, w którym leżała nieraz, w późniejszych latach, całe dnie, drąc pierze lub łuszcząc kukurydzę. Te dwa ulubione przez nią zajęcia budziły zdumienie i częściowe

160

zgorszenie u jej rówieśnic - "wersalskich dam" z salonów kresowych. Zdaje się, że niektóre nigdy jej tego nie mogły darować, ale ona nic sobie nie robiła z tego, co kto o niej mówi czy myśli... Pasjans, darcie pierza i łuszczenie kukurydzy - to był dla niej wypoczynek, odprężenie nerwów. Jak ja ją dziś dobrze rozumiem!

W owych czasach siadywałam często przy jej łóżku. "Pierze, najlepiej drzeć leżąc" - pouczała. "Wtedy się nie rozlatuje ". W pokoju, za parawanem, stała,na zwykłym, niemalowanym stołku, miednica, obok dzbanek z wodą. Na oknie, na stole, między papierami - próbki zboża na miseczkach od filiżanek.- Czasem stawał we drzwiach żyd, arendarz z Trytelnik - Srul.- Lubiła żydów, nie byli dla niej niebezpieczni, gdyż była od nich mądrzejszą, a podziwiała bystry rozum, zmysł do interesów, zdolność ograniczania się do minimum i przestawania na małem, wielką pracowitość. Utrzymywała, że się od nich bardzo wiele nauczyła w tych czasach, gdy tak ciężko borykała się z życiem. Im zaś imponowała poprostu - i mówiąc o niej, tylko cmokali.... Jej słowo było dla nich większą gwarancją niż wszelkie"rewersy" i podpisy. Handlowali z nią chętnie, choć nigdy okpić się nie dała. Pieniądze - nieraz duże - chowała rozmaicie : a to do pudełek z zapałkami, a to pod stos bielizny w szafie... Czasem zapominała gdzie je położyła i rozpoczynało się szukanie... -Dom w dzień i w nocy był zawsze na roścież otwarty, choć zaraz za dziedzińcem wjazdowym szła droga dość uczęszczana, a z drugiej strony leżał ogromny, cienisty ogród, w którym się skryć, i do którego uciec było bardzo łatwo.... Gdy ją zapytałam kiedyś czy się nie boi złodziei, odpowiedziała śmiejąc się : "Jak dom jest otwarty, to nikt kraść nie przyjdzie, bo sądzi, że tam nic nie ma, kiedy nie zamykają..." Pamiętam, jakiego raz dziwnego doznałam wrażenia, gdyśmy z Marynusią wróciły późną nocą z jakiejś sąsiedzkiej zabawy. Na klamkę tylko zamknięte drzwi wejściowe, z przedpokoju duży salon, pogrążony w szarym mroku letniej nocy.

której szepty i wonie wpływały swobodnie przez otwarte szeroko drzwi na taras. A po obu stronach tarasu tylko ogromne drzewa na straży... Dalej gęstwina klombów i ciemność... Na krańcach ogrodu, po pomiędzy krzewami łyskała srebrna powierzchnia stawu, w którym rozgłośnie grały żaby....W bezbronności tego domu, otwartego na ciemność i noc, było jakieś niesłychane piękno i poezja, które przemówiły do mojej wrażliwej duszy i pozostawiły w niej niezatarty ślad.

Z ciotką Ż. nie można było się nudzić. Zawsze wynikało coś niespodziewanego i zabawnego.- Kiedyś latem, pojechałam z wujem Karolem do Bokijówki, panienek nie było, więc zabawiała nas ciotka, która bardzo lubiła Karola. Poszliśmy przejść się po ogrodzie. Schodząc z tarasu, ciotka niewiele myśląc, rzuciła pod krzak piwonji pęk kluczów, który trzymała w ręku i którego nie miała ochoty nieść ze sobą. "Ależ ciociu! jakże można!" - zaprotestował Karol. Podniósł klucze i schował do kieszeni. Zapomniał o nich oczywiście i wróciliśmy do Widawy. W godzinę potem wpada konny posłaniec : "Oddaj klucze! Nie mogę wydać kolacji!" - Ach! jak się potem przez dłuższy czas śmiała z Karola : "A co? - czyje schowanie lepsze?"

O ile lubiła, gdy ktoś do niej przyjechał, o tyle sama miesiącami nie ruszała się z domu. Nie cierpiała też pisać i chyba nikt z sąsiadów nie otrzymał od niej listu, nawet w owych czasach, gdy "sekretniki" kursowały tak często pomiędzy naszymi domami!
Pewnego razu babunia napisała do niej z zapytaniem, jaki malarz bielił ostatnio dom w Bokijówce? Zauważyła, że robota była wyjątkowo dobrze wykonana, a że nas czekało - jak co roku - bielenie domu na zewnątrz, więc chciałaby zamówić tego samego majstra. Posłaniec wrócił bez odpowiedzi, mówiąc : "Pani kazała skazaty, szczo zaraz prijidut" /Pani kazała powiedzieć, że zaraz przyjedzie/.
Spojrzałyśmy zdumione na siebie. Nie była w Widawie przeszło rok, pomimo doskonałych i zażyłych stosunków pomiędzy naszymi domami. Jakoż po pewnym czasie usłyszałyśmy na Nazurkowej Grobli "bałabany"

i w chwilę potem wtoczył się na dziedziniec zakurzony "kocz"/powóz/, byle jak zaprzężony w czwórkę i wysiadła z niego roześmiana ciotka, "Petro Żełenyj" - powiedziała zamiast przywitania. Obie z babunią wybuchnęłyśmy śmiechem. "Kuzynko!- Dlaczegoż kuzynka tych dwóch słów na kartce nie napisała ?... Przecież o to tylko chodziło!...." Zafalował obfity, gorsetem nie skrępowany, biust pod kaftanikiem, /do którego zwykle jadąc z wizytą lub wychodząc do gości, przypinała koronkowy, biały żabot dla podkreślenia uroczystości chwili/, zatrząsł się podbródek, roześmiały się oczy : "Kiedy ja nie cierpię pisać! Wolałam już przyjechać i powiedzieć !" - Taka była.

Z babką moją, siostry cioteczne, przez męża, mieszkały o miedzę przez lat 50 i nigdy między niemi do "brudeszaftu" nie doszło. Zawsze do siebie mówiły per : "kuzynka".

Bokijówka była jedną z tych wsi katolickich na Podolu, gdzie ludność, mówiąca pomiędzy sobą po rusińsku, uważała się z racji swojego wyznania za "polskich". Jakoż prawdopodobnie tak było. Byli to potomkowie mazurów, którzy tu niegdyś przybyli i kolonizowali te ziemie bogate a niczyje. Ze swego katolickiego wyznania byli bardzo dumni, w ogóle uważali się za coś lepszego od miejscowych rusinów prawosławnych i w małżeństwach łączyli się prawie wyłącznie pomiędzy sobą.

Tradycja w tym dworze od kilku pokoleń chciała, żeby pierworodnego syna trzymał do chrztu najstarszy gospodarz. Zastosowano się do tego obyczaju, gdy przyszedł w Bokijówce na świat wnuk pierworodny. Może po latach chrzestny ojciec szedł w tłumie, co gromił i niszczył odwieczną sadybę szlachecką, niepomny swoich ojcowskich obowiązków względem dziecka?... Bo tłum - to zawsze tłum i hypnozie jego poddają się nawet silne jednostki, a cóż dopiero nieuświadomiony kresowy chłop!

O tym pierwszym wnuku opowiadała ciotka Ż, doskonałą historyjkę. Matka przy połogu bardzo chorowała i wyczerpaną wysłali doktorzy na czas dłuższy do Krynicy. Zostawiła więc u babki niemowlę z mamką. Gdy wróciła po kilku miesiącach, był to już spory chłopczyk, do którego wyrywało się jej serce... Podeszła więc do niego stęskniona, ale malec z wrzaskiem skrył główkę na ramieniu mamki, która powiedziała : "Win tak czużych ludej boisia!"/On się tak obcych ludzi boi/.

Zupełnie inny typ domu : słoneczna, biała Żaglówka - Pałacyk na wysokich suterenach, otoczony ślicznym ogrodem, z okien widok na pokryte brzozowym laskiem wzgórze, leżące naprzeciw, po drugiej stronie jaru.- Cudowna nadzbruczańska okolica O parę wiorst pasmo zielonych Miodoborów - łańcuch wzgórz, grających jesienią najwspanialszą gamą kolorów. Las mieszany : brzoza, buki, graby i dęby - więc złoto i czerwień i wszystkie tony rdzawe, symfonia barw niezrównana. Prześliczne tam były spacery nad skalistem korytem Zbrucza : do Kręciłowa, na ruiny Satanowskiego zamku. Po drugiej stronie rzeki była już "Austrja" - Galicja, gdzie wszystko było wolno - nawet głośno śpiewać "Jeszcze Polska nie zginęła!" - Włócząc się tak w tych naszych spacerach wzdłuż pogranicza, patrzyliśmy na tamtą stronę z podziwem. Krajobraz ten sam, ziemia ta sama - a taka wielka, taka zasadnicza różnica!... Wyczuwaliśmy całą sztuczność tego politycznego rozgraniczenia i gniewało nas ono podświadomie... Skrzywdzeni czuliśmy się po tej "naszej" stronie, uciskani niesłusznie... Dziś w tem miejscu biegnie ta sama linja... tylko rozgraniczenie jest jakże ogromne!... Z jednej strony wolna, niepodległa Polska, z drugiej - Podole nasze, bolszewickim butem w błoto wdeptane i miejsca dla nas już tam nie ma, choć Zbrucz szumi tak samo, tak samo brzmi rusińska piosenka i Miodobory pachną tak samo, jak za czasów naszego dzie-

ciństwa!....

Z Żaglówką łączyły nas od paru pokoleń zażyłe stosunki sąsiedzkie i przyjacielskie. W roku 1910 obchodzono tam złote gody pp Mniszków, w parę lat potem kolejno spoczęli oboje na parafjalnym, górzystym cmentarzu w Satanowie z widokiem na Zbrucz i Miodobory. Bóg nie dał im doczekać naszej kresowej tragedji - łaska to Jego, a ich szczęście! Bo można sobie wyobrazić, jak strasznem przeżyciem byłoby dla nich wyrzucenie z rodzinnego gniazda. Dla nich, którzy całe swe długie życie tu przeżyli, wtuleni w białe ściany domu, gdzie brali ślub, gdzie rodziły się ich dzieci, gdzie po latach święcili złote swoje gody!

Pan Zygmunt Mniszek, wysoki, na starość lekko pochylony, łysawy, starannie zaczesujący "pożyczkę", zawsze elegancko ubrany, wzór dystynkcji, manier, kurtuazji dla pań - Po obiedzie palił fajkę na długim cybuchu, którą mu zapalał lokaj - Michał.
Pan Zygmunt umiał każdemu powiedzieć coś miłego; w wysokim stopniu posiadał kunszt rozmowy towarzyskiej, salonowej, poruszając tematy, które mogły interesować całe towarzystwo lub też pojedyńczą osobę. Miał takie przyzwyczajenie, że prawie każde zdanie rozpoczynał od słów : "O to,to,to" - zacierając przytem ręce i nachylając się ku temu, do kogo się zwracał. Nigdy głośniejszego słowa, gwałtowniejszego gestu. W stosunku do żony zawsze ugrzeczniony i uważający. Na tem tle zapamiętałam też charakterystyczną opowiastkę. Pewnego razu byli w Żaglówce goście, zdaje się sami panowie. Grali w gabinecie w karty, a tymczasem w salonie pani Mniszkowa zasiadła do fortepianu i przez godzinę grała "sztukę" po "sztuce". Była to muzyka niżej średnia, to też nikt jakoś nie pospieszył ani z pochwałą, ani z podziękowaniem... tego nie mógł znieść mąż... więc pod-

szedł do siedzącej jeszcze przy klawiaturze niefortunnej artystki i mówiąc : "Oto,to,to, nagrała się Ruszka!",z galanterią pocałował ją w rękę.

I odtąd na Podolu, gdy która z pań marnie grała, nazywało się to : "Oto, to, to, nagrała się duszka!"

Staruszkowie byli ze sobą niesłychanie zżyci. Zawsze razem jeździli z wizytami, gdy byli sami w domu grali we dwójkę w karty. Dzieci mieli tylko dwoje, syna i córkę, za to bardzo liczną gromadkę wnuków i prawnuków. Gniazdo to słynęło z wielkiej pobożności i z głębokich zasad moralnych i było wzorem rodziny w pełnym tego słowa znaczeniu.

Gospodarzem pan Zygmunt nie był, ani koniarzem, ani bałagułą. Pod tym względem odcinał się od przyjaciół i sąsiadów i może właśnie prawem kontrastu te jego"wersalskie" maniery, dystyngcja i równowaga składały się na to, że był typem swojej epoki - i to jeszcze jakim!

Przyjaźnił się z Antonim Jaroszyńskim. - Zaiste, tajemnicze i niezrozumiałe są prawa przyjaźni! Co tych dwóch ludzi, wręcz od siebie odmiennych, mogło łączyć?... i ku sobie pociągać?... Ale pan Zygmunt akcentował tę przyjaźń i gdy syn jego zaręczył się z córką pana Antoniego, z radością wszystkim opowiadał : "Oto, to, to, mój syn się żeni z córką mojego przyjaciela Antoniego!"

Pan Antoni był to typowy "bałaguła". Była to specjalna rasa ludzi na Kresach, dla których istnieje tylko koń, bat, jarmark, zamiany, handlowanie, sprzęganie czwórek. Toteż Tytus Mniszek trafnie pisał o swoim teściu :

"Pomiędzy dwoma jarmarki
W but długi pcha szarawarki,
Aby objechać folwarki."

166

Natomiast pan Antoni mawiał o zięciu, który mu się pod względem bałagulskim "nie nadał". - "Łacina do batoga"!
Był to niskiego wzrostu, krępy mężczyzna, mówiący zlekka przez nos, zawsze zadowolony i pogodny. Konie miał swego chowu, miał i kupne i cała ta czworonożna "czereda" /gromada/ była w ciągłym ruchu Z jarmarku na jarmark, a nuż się sprzeda?.... A nuż się zamieni?.... Sam znał się na koniach doskonale, a brak znajomości u innych wyzyskiwał najbezczelniej, ciesząc się, gdy komuś wpakował "kalicz"/kalekę/. "Przecie wiedział co kupuje! " - Opowiadano, że czasem na jarmarku dłuższy czas, w gorących i przekonywujących słowach zachwalał komuś zebraną czwórkę, unosząc się nad jej zaletami Ale zaledwie przybili targu, zwracał się do stojących obok świadków transakcji i mówił półgłosem : "Gałgany były!"
Nikt się jednak na niego nie obrażał, nie oburzał, bo zwykle takie ostatnie "gałgany" nie były.... tylko jemu zbrzydły, bo był w wiecznej pogoni za tymi "najlepszymi", których się nigdy nie znajduje!... Lubiony był ogólnie, bo kompan był niezrównany, kieliszkiem nie gardził, anegdotkami sypał jak z rękawa. Gospodarował przykładnie na swojej Borszczówce, orząc wołami, które kupował, jeden z ostatnich na Podolu, utrzymując ten sprzęgaj, który doprawdy nie wiem dlaczego, coraz więcej wychodził z użycia?...

Co sobie mieli do powiedzenia?... Jakie tematy poruszali z panem Zygmuntem?... o tem nic mam pojęcia! Jeździli obaj do Jarmolińiec na "Petra i Pawła", jeden na "targowicę", gdzie był w swoim żywiole, drugi do pałacu Orłowskich, gdzie zginał się w dystyngowanych ukłonach i prawił damom dusery.... - Dwaj przyjaciele....

Kilkakrotnie wspominałam o "bałagułach". Dla nieświadomych rzeczy, parę słów wyjaśnienia.

Według encyklopedji "bałagułe" - znaczy "furman". Krótko i węzłowato. Ani się można domyśleć, jaka bogata, charakterystyczna i kolorystyczna treść kryje się pod tym jednym, zbagatelizowanym przez encyklopedję słowem!....

Więc tak, oczywiście, bałagułą nazywano pierwotnie na Kresach kierowcę zaprzęgu, składającego się z kilku koni, dobranych byle jak, często różnej maści, zaprzężonych niedbale w rozmaite kawałki uprzęży, powiązane ze sobą konopnymi sznurami, połatane dla mocy kawałkami blachy, a ciągnące czasem wóz naładowany towarem, czasem budę jarmarczną na kołach, czasem prototyp omnibusu pasażerskiego, pełnego gergoczących zajadle żydków w drodze na jarmark do oddalonego miasteczka.

Z tego to paradoksalnego zaprzęgu bujna fantazja kresowca urobiła typ sepcjalny, przez młodych panicżów zwłaszcza ulubiony, przystosowany doskonale do błota w okresie wiosennych i jesiennych roztopów, beztrosko przewalający się latem po szerokich, zakurzonych gościńcach, czwórką założoną "w poręcz", z uprzężą nabijaną blachą mosiężną, z parcianymi często lejcami i orczykami /dla większego szyku/, z głośnymi "bałabanami",przyczepionymi do szerokiego rzemiennego pasa na szyi koni zawieszonego. Buńczucznie rozpierał się taki szaraban na drodze, gdzie łatwo cztery takie same, bez zawadzenia o siebie, mogłyby się zmieścić. Konie krępe, zwięzłe, koniecznie "różnomastki", czasem znów cztery deresze o czarnych grzywach. Coś, co się rzuca w oczy, co wybiega poza wytworny styl "salonów", coś - jakby bunt pierwotnego kraju na przymus dystyngcji i francuskiej maniery....

Przyjęło się to, zakorzeniło, zdobyło prawo obywatelstwa na całej ukraińnej ziemi od podnóża Miodoborów podolskich po stanice Mochorta - hen, tam, na odległych, z Chersońszczyzną graniczących, stepach....

stepach.... Do tego kozak na kśle, szerokim na pół metra, okręcony pasem jaskrawym, obciskającym stan, a w dole szerokie spodnie bufiaste i buty czarne, wysokie, pięknie jak lustro "szuwaksem" wyczyszczone. Na głowie czapka z "osełedcem", - ruśińska w ustach mowa - Zaparłby się siebie panicz kresowy - ten, w salonie po francusku pannom prawiący "dusery", gdyby się do swich kozaków, do swoich Semenów i Wasylów, nie zwracał w ich rodzinnym języku, w tej śpiewnej, ślicznej mowie /dziś nam obrzydzonej przez sztuczny nacjonalizm ukraiński/ - mowie, w której zastygły melodje dumki stepowej, na tle wiatru od Czarnego Morza...

I zwolna, słowo "bałaguła", przystało do tych miłośników amatorskiego, kresowego zaprzęgu, do tych jarmarkowiczów, w wiecznej pogoni za tym "czwartym" do dyszla, czy do orczyka....

-- ----------

Sławne jarmarki jarmolinieckie, za swoich najdawniejszych czasów, miały typowy, dla tego rodzaju "imprez" /jakby dziś powiedziano/, charakter.

Kraj słabo zaludniony, a właściwie słabo zabudowany - brak dróg bitych, wielkie odległości od miast, w których możnaby poczynić zakupy, wszystko to sprawiało, że potrzebny był przynajmniej raz do roku w stałym terminie punkt zborny, gdzie zjechaliby się kupcy i kupujący i gdzie możnaby robić interesy.- Wybrano letni dzień 29-go czerwca, kiedy to i drogi suche, więc dojazd łatwiejszy i zboże częściowo już w snopie - więc można było poczynić transakcje na pierwsze wagony pszenicy złocistej, daru żyznych pól czarnoziemnych.- Żydowskie miasteczko przeobrażało się na te kilka dni i zmieniało swój wygląd do niepoznania.- Na dużym placu otwierali kramy kupcy, przybyli z Berdyczowa, Kijowa, Odessy, nierzadko z dalszego Wschodu.- Bogate adamaszki, cieniutkie kaszmiry, czeczuńcze i termołamy, szale tyftykowe na czarnym lub białym tle, ręcznie we wzorzyste kraje haftowane, w barwnych harmonijnie zlewających się barwach

ze sobą... - Płótna, weby najcieńsze, lniane, chłodne w dotknięciu jak woda źródlana. A obok sukna, derki, sławuckie burki, kożuchy, baranice i czapki futrzane, skóry, uprzęże i wszelki sprzęt gospodarski.- Nie brakło złotnika, który pokazywał łańcuszki misterne, cudnie wyrabiane zausznice, bogate sznury, ulubionych nieraz przez babki nasze, korali - grających w słońcu niczem gorąca krew... Wszystko, czego dusza zapragnie i oczym myśl zamarzy...

A wśród ścisku i tłoku pełno znajomych, dawno nie spotykanych przyjaciół...

Targowica końska specjalnym rozbrzmiewała gwarem : coraz słychać było trzaskanie z bata, tentent przejeżdżanej czwórki... Tam się skupiali amatorowie handlowania końmi, tam spiesznie kierował kroki swe każdy "bałaguła", dla którego nie było większej rozkoszy, jak dobrać pary i czwórki, sprzęgać je i rozprzęgać, wpakować "gałgana" żydowi, a czasem najlepszemu przyjacielowi, co do którego można było być pewnym, że przy pierwszej okazji zrobi to samo!...

Panie, długie godziny spędzały u bławatników i niejedną w owych czasach tam się kupiło wyprawę. Niejeden stary tyftyk na ścianach, zrabowanych podczas pogromów dworów, pochodził z jarmolinieckich bud jarmarcznych.

Żydków wszędzie roiło się mnóstwo : kupcy, faktorzy, myszuresy /słudzy/ z zajazdów, pilnie obsługujący swych gości.

Nie brakło cyrku z akrobatami i klownami.

W późniejszych czasach te demokratyczne rozrywki zostały zastąpione przez kabarety, które zjeżdżały z Kijowa, a nawet z Petersburga. W owym czasie już mniej pań jeździło do Jarmoliniec, miały inne źródła zakupów niż budy jarmarczne! - Zato panicze młodzi zjeżdżali tam tłumnie, hojni dla muzy podkasanej, a rosyjskie romanse cygańskie niejeden banknot zdobyły za chwilowe wzruszenie pod wpływem muzyki, wina i pieśni.- Pito tęgo.- Przecie to szlachta polska,

kresowa, stara szlachta buńczucznie rozpierała się w przygodnych restauracjach i zajazdach. A wiadomo - szlachta polska za kołnierz nie wylewa!

Plątały się tam oczywiście jakieś "panienki", takie od "łatwej przygody" i kiedyś, wujowi mojemu, poważnemu i znanemu z solidności, Karolowi R. łobuzerska młodzież - kuzynkowie - urządziła kawał. Paczka ta, mocno już mając w czubku, namówiła jedną z "panienek", suto ją z góry opłaciwszy, aby klęknęła Karolowi na kolanach i pocałowała go.- Młoda osoba ryzykowała niewiele. Bywała prawdopodobnie już nieraz w trudniejszych sytuacjach!... Więc też bez namysłu wykonała polecenie, a cała sala restauracyjna trzęsła się od śmiechu, patrząc na to, jak potraktowany w tak obcesowy sposób "pater familiae" uwalniał się od niepożądanego na kolanach ciężaru i wycierał się po otrzymanym pocałunku...

Takich i innych figli bywało zapewne więcej. Ale jako panna nie mogłam brać udziału w wesołych kolacyjkach młodzieży i nawet mi o nich tak bardzo nie opowiadano... to nie było "comme il faut" /przyzwoite/...

Podczas gdy w miasteczku życie szumiało jedną falą /demokratyczną/, - w salonach Orłowskich wzbierała druga fala : wytworna, wonna, arystokratyczna. Doroczny jarmark dawał asumpt do pięknych, eleganckich przyjęć, na których w dawnych czasach hrabia Aleksander Orłowski z żoną przyjmowali śmietankę towarzystwa kresowego, a później synowie jego Mieczysław i Ksawery podtrzymywali tradycję, goszcząc licznych swoich przyjaciół w pałacu na tle prawdziwie pańskiego zbytku i wykwintu.

Zarówno ojciec, jak synowie byli to niesłychanie piękni i wytworni ludzie. - Bawiono się, tańczono.- Bale w Jarmolińcach były uważane za najświetniejsze na Podolu.

W ostatnich jednak latach przed I Wojną, zbierali się

w pałacu już sami tylko panowie.- Gospodarzem był wówczas Ksawery, kawaler. Zmienił się więc z tego powodu charakter przyjęć. Jednocześnie zmieniał się także charakter samego jarmarku. Był to teraz głównie targ na konie, zjazd męski, trochę sportowy, bo jako atrakcję wprowadzono wyścigi z przeszkodami.

Ale mimo to, wszystko razem poszarzało, tak jak poszarzało złoto na pasach słuckich i kwiaty tkane na barwnych kobiercach wschodnich.

Szło inne - nowe życie, dystansując to stare, w kierunku którego śle dzisiaj blady uśmiech-wspomnienie...

K O N I E C

172

Wedle otrzymanych pośrednio informacji pamiętnik ten miał w rękach Jarosław Iwaszkiewicz ale go nie rozpoznał, ponieważ nie orjentuje się w licznych krewnych „Szymanowskich – Rościszewskich i Zaleskich" „Moje Artur Taube (Siostrzeniec brat Karola Szymanowskiego) rozpoznałby go."

Pamiętnik wydał się J. I.-wi „antypatyczny i pretensjonalny". –

Kraków 17 II 1972

Ofert S. Zeitgeber